

110

Druck 890 m.

Wojcicki Matense Cod. III. 4. To. Debr.

Stabat Mater

Andante

Primo

Clarinete

Violoncello

Violone

[Siemienińska Lujeński]

CZYTANIE POSTĘPOWE.

AF500
ZBIÓR

811. 34635 I
101

POWIASTEK MORALNYCH, WSCHODNICH,
LEGEND, ŻYWOTÓW, OBRAZÓW
MORALNYCH I PRZYPOWIEŚCI
POLSKICH.

PRZEZ

AUTORA
WIECZORÓW POD LIPĄ.

Wydanie szkolne.

LESZNO I GNIEZNO.

DRUK I NAKŁAD ERNESTA GÜNTHERA.

1848.

43453



66274

Imprimatur.

Poznań, dnia 24. Grudnia 1847.

Konsystorz Jeneralny Arcybiskupi.

(L. S.)

X. Jabczyński.

Imprimatur.

Czarnecki, Censor.

Posen, den 27. März 1847.

ROZDZIAŁ I.

Czytanie początkowe.

1. Rodzina.

W domu mam rodziców i rodzeństwo: ojca, matkę, braci i siostry. Mój ojciec, matka i my dzieci składamy rodzinę. Inni krewni, jak: dziadunio, babunia, stryj, wuj, ciotka, również należą do rodziny. W poczciwej i przykładowej rodzinie wszyscy kochają się i szanują między sobą. Jeżeli jedną osobę z rodziny spotka jakie szczęście cała rodzina się weseli; jeżeli smutek, wszyscy są smutni.

2.

Ojciec pracuje na roli i żywi ją. Bądź uprawia rolę, bądź trudu się jakim rzemiosłem, bądź inną jaką pracą. Matka prowadzi gospodarstwo domowe. Rodzice dużo ponoszą kłopotów z wychowaniem dzieci: karmią je, pielęgnują, a jeżeli które zachoruje, sprowadzają lekarza i kupują lekarstwa. Dużo jest ojców z ciężkością piecujących na utrzymanie rodziny. Nadewszystko małe dzieci przynależają wiele kłopotu matce. Gdym był małym, nieumiałem ani chodzić, ani stać na nogach, ani o nic postarać się dla siebie, i gdyby nie oien rodziców, życie moje zarazby się było skończyło. Pamiętam, kto mię zawsze nosił na ręku, kto mię karmił, pielęgnował, pieścił, kołysał i usypiał miłą piosenką. Matka moja ma wiele innych jeszcze zatrudnień: szyje, robi pończochę, przedzie, pierze, uprząta i ogląda kuchni; lecz nigdy o nas dzieciach nie zapomni. Gdym zachorował, sie-

działa przy mojem łóżeczku strapiona, i modliła się za mnie. Z mojego powodu przepędziła wiele nocy bezsen-nych. Ojciec, jeżeli mógł, wyręczał ją i czuwał nademną.

3.

Odkądem zaczął mówić i rozumieć, rodzice wol-nyim czasem mówili mi o Panu Bogu i Jezusie Chry-stusie, nauczając pacierza. Powiadali mi, co złe, a co jest dobre, zalecając, abym dobrze robił, a złego uni-kał. Abym od grzechu miał wstręt, karali mię za moje złości i psoty. Kiedym podrósł, wzięli mię ze sobą do kościoła, a potem posłali do szkoły. Jeszcze i teraz paniętają, aby mi na uczeniu niebrakło. Co też niepodejmują starań, żeby ze mnie zrobić rozsąd-nego, pracowitego i dobrego człowieka! Czynią to, ponieważ taka jest wola boska, i z wielkiej miłości ku mnie. Nigdy też niepotrafię odstać im tego, co dla mnie zrobili i robią. Przynajmniej chcę być wdzięcznym; chcę kochać rodziców z całej swojej duszy i modlić się za nich codziennie. Gdy przyjdzie na nich starość, gdy ich siły opuszczą, będą mi ze mnie podpore i pociechę. Pamiętam, co mój czwarte przykazanie boskie: „Czcij ojca i matkę twą, abyś żył długo.“

Rodzice, równie jał mni, kochają braci moich i siostry. Kochając braci i siostry moje, staram się być dobrym i łagodnym dla nich bo to rodzicom sprawia pociechę, a Panu Bogu przyniosć, że się dzieje wola jego święta.

Rodzice nieoząc czętokoć wydolać pracy i za-trudnieniom domowym, rzymują slugi: parobków i dziewczki. Sluzi powinni być postuszni, skromni, wierni i pracowici. Doby pandaj im mieszkanie, pożywie-nie i stósowne zslugi, obchdząc się z nimi z równą dobrocią, jakb naleźdi do rodziny. Dzieci powinny także obchodzi się dobrze grzecznie ze slugami, któ-rym nie mają prawa rozkazwać, a jeszcze mniej ich łajać.

4.

Każdy ma swoje zatrudnienie w domu; od rana do późnej nocy wszystko na nogach i w pracy. W godzinach wolnych od nauki, dzieci powinny, o ile mogą, pomagać swoim rodzicom. Jeżeli są starsze wiekiem, zajmą się młodszymi braćmi i siostrami, lub inną pracą stosowną do ich sił. Dobre dziecko lubi pracować. Rodzice wyznaczają mu czas do zabawy, która będzie tém miłszą i weselszą, im lepiej pracował i był grzeczniejszy.

5. Mieszkanie.

Ludzie niemogąc zawsze żyć na otwartém powietrzu, pod gołém niebem, stawiają domy dla ochrony od wiatrów, deszczów i mrozów, niemniej od drapieżnych zwierząt i złych ludzi.

W każdym domu wiele jest rzeczy do widzenia. Zewnątrz cztery ściany z kamienia, cegły lub drzewa, w ścianach okno i drzwi, a wszystko dachem nakryte.

Cztery ściany są prostopadłe. One niedopuszczają zimna i deszczu wewnątrz. Ściany te bywają budowane albo z kamienia, albo z cegieł, albo z drzewa, gdzie indziej plecione z chrustu i wylepione gliną.

Dach jest częścią wyższą w domu; zwykle bywa pochyły, i chroni mieszkanie od wilgoci z góry. Dach bywa albo z dachówek, albo z gontów, albo z dranic lub słomy. Słomiany dach nazywa się strzechą; w tém niedogodny, że się łatwo zapalić może. Dach spoczywa zwykle na krokwiach i belkach.

Okna są w ścianach. Składają się one z kilku szyb szklanych, oprawnych w ramy drewniane. Póki szkła nieznano, w miejscu szyb były pęcherze, lub cienkie deszczułki drewniane. Przez okna wpada światło do izby. Okna można otwierać dla wpuszczenia świeżego powietrza. W małych chatkach są małe okienka, w wielkich domach i pałacach duże.

Drzwi bywają w środku domu. Są z drzewa, niekiedy okute żelazem i osadzone na zawiasach, aby się otwierać i zamykać mogły.

W domu jest zawsze kilka izb, kuchnia i sień. Są schody prowadzące na piętro lub na strych. W miastach bywają domy o jednym, dwóch, trzech i więcej piętrach. Pod domem zwykle są piwnice.

6. Sąsiedztwo.

Obok i naprzeciw naszego domu jest wiele jeszcze innych domów. Mieszkańcy najbliższych nas domów zowią się sąsiadami. W sąsiedztwie żyjące osoby znają się na wzajem. Dobrzy sąsiedzi żyją ze sobą w zgodzie i oddają sobie różne usługi. Jeżeli który ma jakie nieszczęście, drugi go odwiedza i pociesza lub pomaga. Wiele chat stojących obok siebie tworzy wieś.

7. Wieś.

Kiedy wiele chat stoi obok siebie, tworzą wioskę lub wieś. Mieszkańcy wsi nazywają się włościanie lub wieśniacy. Wszyscy razem stanowią gminę lub gromadę.

We wsi zwykle chaty bywają porozrzucane. Środkiem idzie droga. Koło chat są ogródki z owocowymi drzewami; najczęściej zaś stare dęby i lipy ocieniają je swemi gałęzmi. Za chatami ciągną się role uprawne i łąki, także ogrody warzywne.

Wieśniacy trudnią się rolnictwem lub chowem bydła. Dla tego tuż przy każdej chacie jest stodoła, obora, stajenka i chlewy. W stodole składa się i młóci zboże. W stajni i oborze stoją krowy i woły, konie i owce; chlewy przeznaczone na nierogaciznę. Po dziedzińcu chodzą kury, gęsi i kaczki. Jest i budka dla psa, domowego stróża.

We wsi oprócz rolników są inni rzemieślnicy, jak: kowal, młynarz, szewc, tkacz, cieśla i t. p.

Szczęśliwa to wieś, która ma szkołkę parafialną,

do której dzieci chodzą na naukę. W szkółce mieszka nauczyciel.

We wsi bywa kościół; jest to najwspanialszy i najpiękniejszy budynek, najczęściej z wysoką wieżą lub dzwonicą. Na dzwonicy są dzwony, ogłaszające parafianom, że czas na mszę lub nieszpory. Dzwony dają znać kiedy kto umrze, lub biją na gwałt kiedy pożar we wsi. Miejsce, gdzie chowają umarłych, zowie się cmentarzem, który bywa przy kościele lub w polu ogrodzony parkanem. Na cmentarzu są groby oznaczone krzyżami. Ludzie pobożni często chodzą na cmentarz modlić się za dusze swych rodziców, krewnych lub przyjaciół.

Przy kościele mieszka ksiądz pleban i organista lub kościelny. We wsi lub za wsią w ozdobnym miejscu stoi dwór pański. Pan, jako właściciel wsi, mając obszerne pola, łąki, bory, stawy, ma też i gospodarstwo większe niż uboższy wieśniak. We dworze są piękne i duże pokoje, sprzęty okazalsze; w stajniach dużo dobrych koni, w oborach bydła wszelkiego rodzaju, a stodoły i szpichrze pełne zboża. Dobry pan, który pełni wolę boską, jest ojcem uboższych kmotków: kiedy są w biedzie i głodni, wspiera ich i karmi; kiedy chorzy, posyła im lekarza i lekarstwa; kiedy potrzebują rady lub pomocy, daje pomoc i radę. Pan Bóg wszystkich niechciał tworzyć bogatymi, dla tego nie trzeba bogactw zazdrościć, a tylko prosić Pana Boga, aby w serca bogatych panów wlał litość i miłosierdzie.

8. Miasto.

Miasto wcale inaczej wygląda jak wieś. Domy, czyli kamienice, lepiej są zbudowane; stoją jedne przy drugich w prostych rzędach i tworzą ulice w różnych kierunkach, oraz place. W miastach widać wiele kościołów, klasztorów, ratusz na środku rynku, domy zajzdue, szpitale, szkoły i teatru. Niektóre miasta by-

wają otoczone murem, w którym są bramy zamykane na noc.

W małych miasteczkach mieszka dużo żydów trudniących się handlem, i mieszczan rolnictwem lub rzemiosłami. W większych miastach są fabrykanci, kupcy, artyści, i wszystkiego rodzaju rzemieślnicy, jak: zegarmistrze, stelmachy, farbiarze, ślusarze, kotlarze, tokarze, kapelusznicy, drukarze, ruśnikarze i t. d.

W mieście są także aptekarze, piwowary, cukiernicy, piekarze, rzeźnicy i t. p. Miasto tém się różni jeszcze ode wsi, że wielu mieszkańców niemają ani roli, ani ogrodów, uprawą których niemogliby się trudnić, ponieważ zajmują się innym rodzajem pracy. W mieście jest jeden plac wielki, zwany targiem; bywa jeden lub parę dni w tygodniu, w których ludzie z okolic przywożą na targ zboże, jarzyny, mléko, masło, sér, jaja, kury, owoce i inne rzeczy do pożywienia, i takowe sprzedają mieszkańcom miasta. Nawzajem wieśniacy muszą wiele towarów kupować w mieście, jak: sukno, różne materyje, naczynia, sprzęty, narzędzia żelazne i t. p.

9. Zwierzchność.

We wsi, składającej gromadę lub gminę, rozsądza drobniejsze sprawy sołtys lub wójt. W miastach i miasteczkach są burmistrzowie na to postanowieni. Kilkadziesiąt lub kilkaset wsi z miastami, zowie się powiatem lub obwodem, którym rządzi urzędnik. Kilka lub kilkanaście takich obwodów stanowi prowincję; w tej postanowiony jeszcze wyższy urzędnik. Kilka takich prowincyj składa kraj, który jest albo księstwem, albo królestwem, albo cesarstwem lub Rzeczpospolitą. W takim kraju zwykle jest jedno największe miasto nazwane stolicą, i tam mieszka książę, król lub cesarz. Głowa zaś całego duchowieństwa, czyli księży, jest papież, naczelnik naszego kościoła katolickiego. Po miastach i miasteczkach są trybunały, czyli sądy, gdzie rozstrzy-

gają się sprawy między mieszkańcami. — Mieszkańcy jakiego kraju mają prawa, podług których są rządzeni. Urzędnicy, czyli rząd, przestrzegają, aby nikt przeciw prawu niewykroczył, i żeby się nikomu krzywda nie działa. Gdyby praw niebyło, niktby niebył pewny ani majątku, ani życia. Mieszkańcy płacą podatki na utrzymanie urzędników i wojska, które jest potrzebne dla obrony kraju. Wojsko składa się z różnego rodzaju żołnierzy, to jest z piechoty, jazdy i artylerji. Piechota nosi karabiny z bagnetami; jazda siedzi na koniach, uzbrojona pałaszami i lancami; artylerja ma armaty czyli działa. W wojsku są różne stopnie; niższy musi słuchać starszego; starsi nazywają się oficerami, którzy znowu są: porucznikami, kapitanami, majorami, pólkownikami i jenerałami. Nad wszystkimi jest wódz naczelny czyli hetman.

10. Ziemia, i co się na niej znajduje.

Na powierzchni ziemi są góry i doliny; gdzie zaś niema ani gór, ani dolin, jest płaszczyna czyli równina. Mała wypukłość ziemi nazywa się pagórkim, wielka, górą. Góry są z kamieni lub skał. Spodnia część góry nazywa się stopą, najwyższa, wierzchołkiem lub szczytem. Góry rzadko stoją osobno, lecz zwykle łączą się z sobą, i to zowią łańcuchem gór. Większa część gór okrytą bywa lasem lub krzakami i różnemi zioły. Szczyty wysokich są najczęściej nagie, a na najwyższych śnieg leży zimą i latem. Jeżeliście widziaty, dzieci moje, lub jeżeli zobaczycie Tatry około Krakowa, przekonacie się, że ich wierzchy zawsze są śniegiem i lodami pokryte.

Wewnątrz gór znajdują się rozmaite kruszce, jak: złoto, srebro, żelazo, miedź, ołów; bywają także diamenty, szmaragdy, rubiny i inne drogie kamienie. Z kruszców najpożyteczniejsze jest żelazo. Nasza Polska ma bardzo wiele kopalni żelaza.

Z ziemi wydobywa się sól, bez której ludzie obejść się niemogą. Wielka ilość soli znajduje się u podnóża naszych gór. Najstawniejsze kopalnie są w Wieliczce i Bochni pod Krakowem.

Przeciwnie górcom są wklęsłości ziemi. Wielka wklęsłość między górami nazywa się doliną. Wąska wklęsłość zowie się wąwozem. W górach znajdują się także pieczary czyli jamy; niektóre sama natura utworzyła, inne porobili ludzie, dla ukrycia się w czasie wielkich i krwawych wojen. Wklęsłości napelnione wodą i błotem, nazywają się błotami lub trzęsawiskami. Najczęściej rosną na nich trawy, krzaki, a niekiedy i drzewa. Wielka wklęsłość ziemi, zalana wodą, która nieodplywa, zowie się jeziorom; jeżeli ma upust, stawem. Długie, a wąskie wklęsłości, napelnione bieżącą wodą, mają nazwisko rzek, strumieni i potoków, podług tego jak są szersze, dłuższe i głębsze. Na polach, łąkach, w lasach napotykamy bieżące wody: sąto albo rzeki, albo strumienie i potoki. Każde z nich ma dwa brzegi, prawy i lewy. Obróciwszy się w stronę biegu wody, brzeg, który masz po prawej ręce, jest prawy, który po lewej, lewy. Strumienie mają niekiedy bardzo wysokie brzegi, niekiedy niskie. Brzegi bywają obrosłe trawami, kwiatami i różnemi krzewy. Wklęsłość, którą woda bieży, nazywa się korytem. Kiedy deszcze spadną, albo kiedy na wiosnę topnieją śniegi i lody, rzeki wtenczas wzbierają, i wystąpiwszy ze swego łoża, czyli koryta, zalewają bliskie łąki i pola, a nieraz i wsie położone nad rzeką. Takie wezbranie sprawia wielkie szkody; woda wywraca domy, porywa stogi siana i zboża, zrywa mosty, i niszczy w polu pracę rolnika. Rzeki, strumienie, potoki, mają początek swój w górach; ten początek nazywa się źródłem. Źródła są małeńkie, żeby i dziecko przeskoczyło; lecz w dalszym swoim biegu, łącząc się z innymi strumykami i wodami, powiększają się niezmiernie; aż w końcu

staną się wielką rzeką, która wpada albo do innej większej rzeki, albo do morza. — Na płaszczynach strumyki płyną spokojnie, lecz w górach mruczą po kamieniach, a często spadają z wysokości z wielkim szumem; taki spadek wody nazywają wodospadem. Na mniejszych rzekach płyną czółnami i łódkami. Na wielkich chodzą nawet okręty i różnej wielkości statki, przewożące podróżnych i towary. Na potokach dla przechodu bywają kładki; na rzekach mosty drewniane, murowane lub żelazne, po których można prowadzić wozy z największemi ciężarami.

Ze wszystkich wód największe i najwspanialsze jest morze. Jestto przestrzeń wód, mająca tysiąc i więcej mil szerokości i długości; w wielu miejscach na milę bywa głębokie. Woda morska jest słona i niedobra do picia. W głębi morza żyją najosobliwsze ryby i różne potwory; niektóre mają po kilkadziesiąt łokci długości. Jak wozami po ziemi, tak okrętami po morzu żeglują ludzie; a że tam niema żadnej drogi, tylko woda a niebo, więc radzą się nieba, czyli gwiazd, także wschodu i zachodu słońca, i podług tego wiedzą, w którą stronę mają płynąć. Żeglarze czyli pływacy morscy proszą Boga o dobry wiatr; okręta zwykle za pomocą wiatru płyną, który dmąc w żagle, pędzi je po morzu.

11. Firmament.

Spójrz w górę, gdy jesteś na dworze, a zobaczysz piękne błękitne sklepienie, nazywające się niebem, lub firmamentem. Niebo wydaje się nam jak wydrążona bania, której brzegi opierają się o ziemię. Jeżeli niebo nie jest mgliste lub zachmurzone, widzimy we dnie słońce, w nocy zaś księżyc i niezliczone mnóstwo gwiazd. Słońce, miesiąc i gwiazdy zowią się ciałami niebieskimi. Ciała niebieskie są niezmiernie wielkie, większe niż ziemia o wiele razy, ale dla tego wydają się małe naszym oczom, iż są oddalone na tysiące tysięcy mil.

Słońce wschodzi co rano, a zachodzi co wieczór. Strona, w której wschodzi, nazywa się wschodem; w której zachodzi, zachodem; strona, gdzie je widać w południe, zowie się południem; strona zaś, gdzie słońce niepokazuje się, jest stroną północną. — Zdarza się, że człowiek zabłądzi w jakimś miejscu i nie wie gdzie się obrócić; lecz jeżeli pamiętał, w której stronie w domu miał wschód i zachód, tedy zaraz się pomiarkuje i trafi do domu.

12. Dzień i Rok.

Czas między wschodem a zachodem słońca zowie się dniem. Po dniu następuje noc. Zawsze dzień idzie po nocy, a noc po dniu; ten porządek niezmienna się od stworzenia świata. Dzień z nocą, razem wzięty, nazywa się dobą. Taka doba ma dwadzieścia cztery godzin; każda godzina 60 minut, a każda minuta 60 sekund. Na sekundę tyle potrzeba czasu, ile na wymówienie słowa. Ażeby wiedzieć, ile czasu minęło co dzień, używamy zegarów. Jedne zegary są wielkie na wieżach, inne wiszą w izbie na ścianie, a inne są małe i noszą się ze sobą.

Prawie nigdy dzień nie jest tej długości co noc. Pochodzi to ztąd, że słońce raz dłużej, raz króciej świeci nad nami. Jeżeli więc dzień jest długi, za to noc bywa krótka; jeżeli dzień krótki, noc długa. Wtenczas noc jest najkrótsza, kiedy dzień najdłuższy. Od tego czasu dnia coraz ubywa, aż przyjdzie do tego, że dzień bywa najkrótszy, a noc najdłuższa. Dzień i noc, czyli czas od wschodu do wschodu słońca, zawsze ma 24 godzin. Przeciąg czasu od najdłuższego dnia, aż do powrotu najdłuższego dnia, nazywa się rokiem. Zwyczajny rok ma 365 dni i zaczyna się 1. Stycznia. Sto lat nazywa się wiekiem.

Rok dzieli się na 12 miesięcy. Nazwiska miesięcy są następujące: Styczeń, Luty, Marzec, Kwiecień, Maj,

Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik, Listopad, Grudzień. Miesiące: Styczeń, Marzec, Maj, Lipiec, Sierpień, Październik i Grudzień mają po 31 dni. Zaś: Kwiecień, Czerwiec, Wrzesień i Listopad po dni 30. Miesiąc Luty ma dni 28, a co cztery lata 29.

Zwyczajny rok składa się z 52 tygodni. Tydzień każdy ma 7 dni; a te są: Poniedziałek, Wtorek, Środa, Czwartek, Piątek, Sobota i Niedziela. Pierwsze sześć dni zowią się roboczemi; Niedziela przeznaczona na służbę bożą. Oprócz Niedzieli obchodzimy inne dni, zwane Świątecznemi; i tak jest: Święto Bożego narodzenia, Trzech króli, Wielkanoc, Wniebowstąpienie, Zielone Świątki, Boże Ciało i inne.

Rok dzieli się także na cztery pory, które są: wiosna, lato, jesień i zima. Według pory roku rolnik rozkłada swoje prace; w jesieni i na wiosnę siewa, a zbiera zboże w lecie, które chowa na zimę, aby miał z czego siebie i swoją rodzinę wyżywić. Kto niepracuje przez wiosnę, lato i jesień, ten w zimie z głodu umiera.

13. Bóg.

a.

Bóg stworzył niebo i ziemię i wszystko, co się na niej znajduje. Więc jest Stworzycielem wszech rzeczy, które są jego tworam.

Jak Bóg cały świat stworzył, jest temu wiele tysięcy lat, a przecież nic się niepsuje i wszystko idzie w porządku po dziś dzień. Co się potem ze światem robi, od jego świętej woli zależy. Bóg wszystkiem rządzi, wszystko opatruje i nad każdą rzeczą czuwa.

Jako Bóg wszystkie rzeczy stworzył i czuwa nad niemi, tak téż są one jego własnością i może z niemi zrobić, co mu się podoba, Bóg jest wszech rzeczy Panem.

Bóg także i moim jest Panem. Należę do niego ze wszystkiem co mam i co mieć mogę. Od niego

wziętem dobrze ukształcone ciało i duszę nieśmiertelną. Powinienem uważać to wszystko jako własność bożą.

Niemogę robić co mi się podoba i co do głowy przyjdzie; ale wszystkie sity i zdolności obracać dla przypodobania się Panu Bogu.

b.

Każda rzecz miała swój początek. Każda rzecz będzie miała swój koniec, gdy taka będzie wola Pana Boga. Bóg zawsze jest dla naszego rozumu istotą niepojętą. Będzie istniał na wiek wieków. Bóg niema ani początku, ani końca. Bóg jest wieczny i nieśmiertelny. Jako jest nieśmiertelny, tak zawsze zostanie czem jest. Bóg niezmienna się jak wszystko, co nas otacza. Codzień widzimy, jak twory boskie zmieniają; te giną lub umierają, owe rodzą się; Bóg jeden tylko niezmienny.

Dusza moja także jest nieśmiertelną. Będzie albo wiecznie szczęśliwą, albo nieszczęśliwą na wieki, podług tego, jak zasłuży sobie na ziemi. Żadna rzecz znikoma i doczesna niemoże mię uczynić szczęśliwym, lecz raczej nieszczęśliwym. Dla tego powinienem szczególniejsz starać się o szczęśliwość wieczną, o oglądanie Boga i o królestwo niebieskie.

c.

Wszystko, co widzimy, Pan Bóg stworzył z niczego. Niepotrzebował na to ani żadnych narzędzi, ani materyału, ani pracy, ani czasu. Rzekł słowo, i wszystko się stało. Równie mu łatwo rządzić wszystkiem i trzymać w porządku. Pismo święte powiada: że Panu Bogu nic nie jest trudnego. Zatem wszystko może, co chce. Bóg jest wszechmocny.

Całą ufność moją położę w Bogu i będę się doń uciekał we wszystkich smutkach i dolegliwościach, bo on jako Wszechmocny wybawi mię i wspomże w każdym nieszczęściu i potrzebie.

d.

Co tylko Bóg stworzył jest dobre i odpowiada swemu przeznaczeniu. Każda rzecz w najdrobniejszej części należy do ogólnego porządku stworzenia. Nigdzie nic niebrakuje, nigdzie niczego nadto. Co Bóg stworzył, dobre jest. Jeżeli nam zesła cierpienia, choroby, nędzę, kalectwo, dzieje się to dla naszego większego dobra. Bóg zna wszystkie drogi prowadzące do szczęśliwości człowieka. Bóg jest nieskończoną mądrością.

Dla tego nigdy niechcę szemrać przeciw dopustom bożym; bo raz że to są próby, któremi miłości naszej ku sobie doświadcza; powtóre, że wiem, iż chce mojego dobra. Co bądź mię spotka, czy złe, czy dobre, zawsze będę powtarzał: Co Bóg zrobił, dobre jest. Będę się oprócz tego starał, ćwiczyć się w dobrem, poznawać je, i dobrymi uczynkami zasługiwać się Panu Bogu. Czyniąc tak, będę wzrastał w mądrości i miłości bożej, i stanę się miłym Bogu i ludziom.

e.

Pan Bóg zna przeszłość, terażniejszość i przyszłość; największe nawet tajemnice nasze są mu wiadome. Pan Bóg jest wszystkowiedzący.

Nigdy ani myśleć, ani czynić źle niebędę. Owszem przy każdej sposobności przypomnę sobie: Bóg zna moje najskrytsze myśli, a każda zła myśl jest grzechem w oczach Pana.

f.

Pan Bóg na to ludzi stworzył, aby ich zrobił szczęśliwymi. Na ten koniec oddał pod zarząd człowieka całą ziemię. Wywyższył go nad wszystkie ziemskie istoty i uczynił panem ziemi. Odbieramy od niego nietylko to, co nam potrzebne do życia, ale i to, co uprzyjemnia i umila pobyt nasz na świecie. Naprzód

chce nas zrobić szczęśliwymi na ziemi, a potem szczęśliwymi wiecznie w niebiesiach. Bóg niestwarzał nic dla siebie, bo sam nic niepotrzebuje. Niemniej też nie był obowiązany robić tyle dobrego dla swoich stworzeń; bowiem to, co uczynił, stało się jedynie przez miłość jego i dobroć nieograniczoną. A zatem Bóg jest dobrocią nieskończoną i najczystsza miłością.

Pragnę sercem i ustami głosić wielką miłość i niezmierną dobroć boską, i darów jego używać tak jak sam przykazał. Będę się starał być równie miłującym, równie dobrym względem moich bliźnich, jak Bóg miłującym i dobrym jest względem mnie. Kochać go będę nad wszystko, dopełniając wiernie święte jego przykazanie.

g.

Pan Bóg nie tylko nam daje co jest dobre, ale nawet gotów jest odwrócić od nas wszelkie złe. Nieskwapliwym jest w karaniu nas, chociażbyśmy zasłużyli, jeżeli tylko zapragniemy szczerzej poprawy. Dobrodziejstwa jego są bez miary; lituje się nad nami, ilekroć popadniemy w jakie nieszczęście. Jest zatem dobroczynny i miłosierny.

Jakkolwiek mogą być wielkie grzechy nasze, niepowinniśmy mimo tego zaniedbywać skruchy i poprawy. Bóg miłosierny lubi przebaczać. Z naszej strony bądźmy równie wyrozumiali względem bliźnich. Przebaczejmy z serca tym, co nas rozgniewali lub obrazili! Bo dopiero wtedy będziemy mogli szczerze i z ufnością wyrzec: „I przebacz nam nasze winy, jako i my przebaczymy naszym winowajcom!“

h.

Kto grzeszy, a trwa w ciągłym grzechu, zasługuje na karę. Często Pan Bóg nie zaraz karze grzesznika. Zwykle zostawia mu czas dłuższy lub krótszy do poprawy. Czego zaś Pan Bóg najbardziej pragnie,

oto, aby grzesznik skorzystał z czasu i opuścił drogę prowadzącą do zguby. Pan Bóg jest wyrozumiały. Biada więc grzesznikowi, który poprawić się niechce! Przez całe życie moje będę się starał pozbywać złych nałogów, albowiem niewiem godziny, w której Pan mię wezwie.

i.

Bóg miłuje, chce i robi tylko dobre, a złem się brzydzi. Kto dobre pełni, miłym mu jest; kto złe, tym się brzydzi. Bóg jest święty.

Starać się będę coraz więcej poznawać dobro, miłować je i pełnić, a nienawidzić i brzydzić się złem. Tak czyniąc, zbliżę się do świętości i coraz bardziej kształcić się będę na podobieństwo boskie.

k.

Ponieważ Bóg jest święty, możemy być pewni, że wszystko, co nam objawił, jest prawdą. Bóg zatem jest samą najczystsza prawdą.

Mówiąc zawsze prawdę, nieoszukując nikogo, stanę się człowiekiem prawym; przeciwnie, jeżeli będę mówił nieprawdę, jeżeli kogo oszukam, stanę się kłamcą i oszustem. Kłamca jest dzieckiem szatana, albowiem szatan jest ojcem kłamstwa.

l.

Ponieważ Bóg jest święty, możemy wierzyć, że nam da, co obiecał. Bóg jest wierny.

Ja również chcę dotrzymywać przyrzeczeń, nigdy niezobowiązując się do niczego, cobym niemógł dopełnić. Przyrzekać coś złego, grzechem jest, a dotrzymać grzesznego przyrzeczenia, jest to podwójna wina.

m.

Że Bóg jest święty, z tego wynika, iż każdemu da, co mu się słusznie należy. W skutek tego nagrodzi dobre uczynki, a złe ukarze. Bóg koniecznie

nagrodzi dobre; również i kara na złe jest niechybną, jeżeli nie w tém, to w przyszłym życiu. Bóg jest sprawiedliwy.

Im większe jest dobro, tém większa nagroda; im większe złe, tém straszniejsza kara. Kto jest tak zły, iż niekocha Boga świętego i dobrego, niech się przynajmniej lęka jego sprawiedliwości. Unikać więc będę grzechu, a dobrych uczynków pełnić nieprzestane. Tak postępując, niemał czego się obawiać, ani za żywota, ani w godzinie śmierci.

n.

Pan Bóg jest w niebiesiech, na ziemi i na każdym miejscu; Bóg wszędzie obecny.

Wiém, że Bóg jest przy mnie, gdziekolwiek się obrócę, i że w każdej chwili może mi przyjść na pomoc. Jeżelibym chciał co złego popełnić, choćby w najskrytszym miejscu, sama myśl, że Bóg na mnie patrzy, wstrzyma mię od grzechu.

o.

Bóg wszędzie obecny, a jednak widzieć go niemożę; albowiem jest duchem. Również widzieć niemożę mego własnego ducha, choć wiem, że jest we mnie. Jestem ciałem i duszą zarazem; Bóg zaś jest czystym duchem.

Ponieważ Bóg czystym duchem, powinienem więcęć ubiegać się o rzeczy duchowe niż cielesne. Głównie więcęć będę miał staranie o dobro moje duchowe. Im więcęć ukształcę duszę w tém życiu, tém doskonalszy stanę w obliczu Boga. Przeciwnie nieufać będę dobrom cielesnym, albowiem one oddalają ducha od jego źródła, które jest Bogiem.

p.

Pan Bóg ma wszystkie najdoskonalsze przymioty, w stopniu tak wysokim, iż człowiek nie jest w stanie

ogarnąć je swoim rozumem. Pan Bóg niema żadnej ułomności; jest doskonałym.

Ja także mogę starać się o nabycie dobrych przymiotów; lubo zawsze w porównaniu będą o wiele mniejsze od przymiotów boskich. Mogę stać się Bogu podobnym, jako stworzony na jego obraz i podobieństwo, jednakże nigdy nie jestem w stanie być równym Bogu. Jeżeli niczego niezaniedbam, jeżeli wszystkiego dopełnię, co jest w możności mojej, stanę się doskonałym jako człowiek, równie jak Bóg doskonałym jest jako bóstwo.

ROZDZIAŁ II.

Powiatki moralne.

1. Pokusa.

Jaś ze Stasiem przechodzili pewnego razu kolo sadu pełnego dojrzałych jabłek, gruszek i śliwek; a że wrota były otwarte, weszli przez ciekawość. Po większej części były tam drzewa młode; to też owoce wisiały tak nisko, że dość rękę wyciągnąć, aby zerwać.

— Rwijmy śliwki — rzekł Jaś do Stasia; ani żywej duszy niema w sadzie.

— Niemożna — odpowiedział Staś; te owoce nie do nas należą, niemamy więc prawa obrywać je.

— Co to szkodzi — zawołał Jaś — gospodarz ani się postrzeże, żeśmy mu co urwali.

— Zawsze to będzie grzechem z naszej strony — mówił Stasio — nienależy bowiem, nawet najmniejszej drobnostki, sobie przywłaszczać. Czyś zapomniat, co nam tato powiadał o tym chłopcu, który poszedł za złodziejstwo na cale życie do kajdan?

— Niepamiętam — odpart Jaś.

— Ja ci przypomnę: oto, że najpierw zaczął od owoców, potem poszedł do większych, nakoniec do pieniędzy, jak to mówią: „od rzemyka do nożyka, a od nożyka na szubienicę.“

Jaś zamyślił się nad tem, przyznał, że brat ma prawdę po sobie; i niechęc dłużej mieć pokusy, wziął go za rękę i wyszli ze sadu.

Jakie to szczęście dla Jasia, że miał tak roztropnego brata, który mu nie dał ulegnąć pokusie.

2. Dąsy.

Był to zły nałóg w Michasiu, iż zawsze się nachmuzył i podąsał, skoro mu się zdawało, że go kto obraził. Zdarzało się, że nieraz po kilka dni nieodpowiadał na pytania, które mu czyniono, i ciągle chodził ze spuszczoną głową. Ojciec Michasia martwił się niezmiernie tym brzydkim nałogiem swego syna; a gdy ciągle napomnienia i przestrogi nieprzydawały się na nic, kazał wszystkim w domu, aby skoro się Michaś podąsa, wszyscy się dąsali na niego. Ten sposób taki był skuteczny, że od tego czasu nigdy się Michaś niedąsał; a jeżeli mu kto jaką przykrość wyrządził, wymówił ją zaraz i starał się o zgodę.

3. Lenistwo.

Władys był synem majątnych rodziców, dla tego więcej mógł używać przyjemnych rozrywek, niż inne ubogie dzieci. Rodzice pieszcząc go, kupowali mu wiele zabawek, dawali nawet pieniądze na różne rozrywki. Myśleli oni, że tym sposobem zachęcą go do pilności i nauki. Lecz inaczej się stało! Władys tak zasmakował w życiu próżniaczem i rozrzutnem, iż praca i nauka mu obrzydła. Nigdy nieszedł prostą drogą do szkoły, lecz zawsze gdzieś biegał na psotne rozpusty, a często nawet i nieprzyszedł na lekcycje, kiedy się za-

dał z zepsutymi chłopakami, z którymi zbijał baki po ulicy, lub patrzył na mustrujących się żołnierzy. Na próżno go lajali i karali rodzice i nauczyciel; został takim, jakim był, ani w nauce, ani w moralności niezrobił postępu, i przez całe życie tylko zawadzał ludziom.

4. Kłótnik.

Marcinek ciągle się kłócił to z braćmi, to z siostrą, to ze sługami, to nakoniec z współuczniami w szkole. Jeżeli zdarzyło się, że najmłodsza siostra dotknęła się jakiejś rzeczy do niego należącej, przezywał ją a niekiedy i potracił. Idąc na przechadzkę, zawsze się swarzył, to o to, że bracia szli za prędko, to, że za wolno, to znów, że nie po tę stronę, gdzie chciał. Jeżeli które z rodzeństwa usiadło na ławeczce w ogrodzie, spychał, lub się kłócił, póki mu nieustąpiono. W szkole też samo robił z współuczniami, tak, że żaden niechciał siedzieć obok niego. Niedobry ten chłopak jeszcze się pysznił z tego, że go się drudzy bali, przypisując to swojej sile i wprawnemu językowi. Na ulicy także zaczepiał każdego, ale nieraz trafiwszy jak kosa na kamień, tego wziął po skórze. Z takim natęgiem przyszedłszy do lat dojrzałych, stał się prawdziwym zawadyją, i nieraz po karczmach lub miejscach publicznych wszczynał kłótnie i bojki. Zdarzyło się pewnego razu, iż pokłóciwszy się z jakimś podróżnym, w zapalczywości porwał nóż i przebił go, za co poszedł przed sąd, który go skazał na długie i ciężkie więzienie. Otóż widzicie dziatki, do czego prowadzi umysł hardy i kłótniwy!

5. Z cichapek.

Franuś uchodził za najlepszego chłopca w obecności rodziców i nauczycieli; lecz skoro myślał, że go nikt niewidzi, popuszczał sobie wędzidła, i robił rzeczy najzdrożniejsze i godne kary. Długo mu się udawało

oszukiwać czujność rodziców zręcznym ukrywaniem swoich postępów, lub składaniem na drugich własnej winy. Nakoniec złapano go na gorącym uczynku i ukarano jak zasłużył. Kara ta jednak niepoprawiła go; potem napróżno obchodzono się z nim z największą surowością, już na całe życie został pozornym świętoszkiem, i był wzgardzony od tych, co wiedzieli, czém to ziółko pachnie.

Doświadczenie uczy, że hipokryzja, czyli udana cnota, jest występkiem, z którego bardzo trudno się poprawić.

6. Kłamstwo.

Ojciec pewnego razu posłał był Antosia na pocztę z listem wielkiej wagi, zalecając mu po kilka kroć, aby nigdzie się po drodze niezatrzymywał i listu niezgubił. Cóż się dzieje? Oto Antoś spotyka się na ulicy z drugimi znajomymi chłopcami, i zachodzi w pogadankę; od słówka do słówka przyszło do tego, że jeden pchnął drugiego, i tak popychając się, Antosiowi list wypadł w błoto, któryś z chłopców nadeptał go, rozdarł kopertę i już adresu przeczytać niebyło można. Zobaczywszy to Antoś, zmieszał się niepomalu, a znając surowość ojcowską, był pewnym kary, gdyby się przyznał do przypadku z listem. Niewiedząc jak się wykręcić, wrócił do domu i powiedział, że oddał na pocztę. Cóż się więc stało? Oto mija tydzień i drugi, a odpowiedzi niema; ojciec sam idzie na pocztę i pyta czy list poszedł. Lecz jakież było jego pomieszenie i gniew, gdy go przekonano, że taki a taki list nie został oddany! Antoś wzięty przez ojca na indagację, wyznał cały przypadek z listem, i dowiedział się z wielkim swoim smutkiem, że przez swoje kłamstwo stał się przyczyną znacznej straty dla ojca. Odtąd stale przedsięwziął sobie nigdy niekłamać, choćby go to najwięcej miało kosztować. Dotrzymał słowa, lecz dużo wody upłynęło, zanim odzyskał dawne u ojca zaufanie.

7. Gadulstwo.

Magdusia byłaby wyborną dziewczyną, gdyby była umiała, jak to mówią, trzymać język za zębami. Z natury swojej miała nadzwyczajny pociąg do gadatliwości i dogadzając tej wadzie, prawiała przed pierwszym lepszym, kogo spotkała, wszystko, co tylko wiedziała, tak o swych rodzicach, jak rodzeństwie, sąsiadach, przyjaciółach, znajomych i nieznanym. Że zaś więcej mówiła złego o drugich niż dobrego, a przytém często przekrecała niejedno, więc też ściągnęła na siebie nieawisć i pogardę powszechną u ludzi. Bolało ją to niezmiernie, lecz nieszczęściem nie poprawiło.

Przyszedłszy do pewnych lat, poszła w służbę do pewnych państwa, gdyż rodzice jej byli ubodzy. Z początku podobała się państwu, ponieważ była pracowitą, porządną i pełną dobrych chęci, lecz wkrótce straciła ich przychyłność, przez swoje gadulstwo i plotki, tak, że ją odprawiono przed końcem roku. Nie lepiej powiodło się jej i w innych domach, i w końcu tak ją okrzyczano, iż nigdzie a nigdzie służby znaleźć niemożliwa, i ciągle musiała biedować jak najemna wyrobnica.

8. Sumiennosć.

Na podwórzu przed domem ojcowskim Ignas bawił się w piłkę, gdy któryś z sąsiadów przechodząc prosił go, aby wybiegł na pagórek, i jak zobaczy nadchodzącą pocztę, uwiadomił go zaraz. Ignas, uprzejme i grzeczne dziecko, przyrzekł sąsiadowi, że mu zrobi tę usługę. Jakoż zaraz pobiegł na wzgórek, zkąd widok sięgał daleko na gościniec. Już tam czekał kawalek czasu, gdy inny chłopczyk przyszedł doń i namawiał, aby poszli ryby łowić na wędkę. Lecz Ignas, który acz bardzo lubił tę rozrywkę, tą razą musiał odmówić, ponieważ dał słowo sąsiadowi.

— I dopókiż tu będziesz stał na słońcu? — mówił nowoprzybyły chłopczyk.

— Dopóki poczta nienadejdzie — odrzekł Ignas.

— Pójdź ze mną lepiej; wszak dosyć długo tu czekasz.

Ale Ignas nie dał się namówić, pamiętając na słowa, które mu ojciec często powtarzał, że uczciwy człowiek zawsze powinien słowa dotrzymać. Dla tego choć długo jeszcze czekał, choć mu upał słoneczny dokuczał, nieruszył się z miejsca, i prawdziwą radość uczuł, gdy mógł sąsiada uwiadomić o zbliżającej się poczcie! Dzieci! czybyście to samo zrobili na miejscu Ignasia?

9. Miłosierdzie.

Niedawno temu wielki pożar pochłonął prawie całą wieś, i przyprawił o nędzę kilkanaście rodzin, które przy nadchodzącej zimie nie miały nigdzie przytulku, ani sposobu do życia. Pleban tej wioski, mąż świętobliwy, straciwszy równie jak drudzy cały swój dobytek w tym ogniu, nietroszcząc się o siebie, całkiem zajął się losem swych nieszczęśliwych owieczek, już to jeżdżąc po obywatelach, już po okolicznych wioskach, dla zebrania zapomogi dla nieszczęśliwych pogorzalców, tak w zbożu, jak w pieniądzech, jak w odziewku. Pan Bóg błogosławił jego staraniom i w krótkim czasie zebrał był znaczny zasitek, tak w gotówce, jak w zbożu i odzieniu. Pewnego dnia, gdy Pleban rozdelał zapomogę między najpotrzebniejszych, wszedł do niego chłopczyk z pobliskiej wioski, który mu wręczył dwuzłotówkę i przechodzoną kapotkę, ofiarując to na pogorzalców w tych słowach: „Małoć to bardzo, księżo Plebanie, tak mało, żem się wstydził pokazywać z taką odrobiną; ale kiedym pomyślał, że tu może jest jaki chłopczyk, co i tego niema, żal mi się zrobiło i przynoszę co mam.“ Ksiądz Pleban bardzo się rozczulił tą mową dziecka; przeżegnał je, przycisnął do serca i rzekł: „„Synu! oddajesz jak ona wdowa w Ewangelii, wszystko co masz, a tem samém dajesz wię-

cój, niż drudzy, co więcej dali. Ofiara twoja miłą się stanie Panu Bogu. Bądź takim przez całe życie, a błogostawieństwo boskie spłynie na ciebie.“

10. Oko boskie.

Rodzice wyjechali z domu, studzy się rozbiegli, i tylko Karolek został z Marylką na gospodarstwie. Karolek opatrzywszy się, że pusto w domu, rzekł do siostry: — Słuchaj Marylko, teraz mamy porę najeść się dobrych rzeczy.

Na to rozumniejsza Marylka odpowiedziała: — Poszukaj jakiego miejsca, żeby nas nikt niewidział, to pójdę z tobą.

— Nie bój się — mówił Karolek — chodźmy do mlęczarni, tam najemy się śmietany, i nikt niezobaczy.

Na to Marylka: — Przed mlęczarnią stróż rąbie drzewo i będzie nas widział.

— Więc wleźmy na strych — mówił Karolek — tam pełno jabłek i gruszek rozestanych na słomie.

— Cóż sobie myślisz, braciszku! — rzekła Marylka — a zapomniałeś to, że na dachu siedzi człowiek i gonty przybija?

— Więc pójdziemy do piwnicy; tam różne soki stoją w butelkach; jest tam i słodkie wino, i inne przysmaczki; a do tego w piwnicy ciemno i nikt nas zobaczyć niemoże.

Na to Marylka: — Ach, braciszku! i ty myślisz, że nas nikt niemoże widzieć w piwnicy? Czyś zapomniał, że w niebiesiech jest oko, które widzi w najgrubszych ciemnościach, przed którym i najszerzy mur niezastoni?

Karolek przerażony temi słowami siostry, rzekł: — prawdę mówisz, siostrzyczko; zapomniałem o tem oku boskiem, które jest na każdym miejscu i widzi wszystko, tak, iż żaden zły uczynek przed niem się nieutai.

Ucieszyło to bardzo Marylkę, że brata odciągnęła

od grzechu, i darowała mu obrazek, gdzie było wymalowane oko Opatrzności, otoczone złotymi promiennymi, z tymi wierszami pod spodem:

Bóg wszystko widzi, w każdym miejscu jest obecny;
Przed nim się nieukryje postępek twój niecny.
Z grzechem się nieuchowasz ni w wodzie, ni w ziemi,
I zapisany będziesz z grzeszniki innemi.

II. Muchy i pająki.

Młody jeden królewicz zwykł był mawiać: Na co też Pan Bóg stworzył muchy i pająki? Stworzenia te żadnego pożytku nieprzynoszą człowiekowi. Żebym miał na to sposób, wszystkiemy wytepił.

Zdarzyło się, że sąsiedni król wpadł z dużym wojskiem, pobit żołnierzy, którym królewicz hetmanił, i jego samego zmusił do ucieczki. Nieszczęśliwy królewicz tulając się po lasach, gdy bardzo był zmordowany, rzucił się pod drzewo i usnął. Jeden z żołnierzy nieprzyjacielskich, którzy go ścigali, odkrył go, a poznawszy w nim królewicza, dobył szabli, i zamierzył się, aby go zabić. Wtém mucha usiadła na twarzy królewicza i tak mocno ukluła, że się natychmiast zbudził, a postrzegłszy niebezpieczeństwo, dobył oręża i uderzył na żołnierza, którego do ucieczki zmusił.

Niewidząc się bezpiecznym w lesie, wynalazł ciemną jaskinię z ciasnym otworem i w niej znalazł na noc spoczynek. Tymczasem w nocy przyszedł pająk i wniście do jaskini zasnuł swoją cieniutką siecią. Nad rankiem dwóch żołnierzy nieprzyjacielskich zatrzymało się przed jaskinią, taką między sobą mając rozmowę, którą królewicz słyszał:

— Założyłbym się — mówił jeden, wskazując na jaskinię, — że się tu schował.

— Niepodobna — odpowiedział drugi — bo wchodząc, byłby popsul tę sieć pajęcą.

I obadwa żołnierze precz poszli, królewicz zaś padając na kolana, i wznosząc ręce do nieba, zawołał:

„Dzięki ci wszechmocny Boże! wczoraj zachowałeś mi życie za pomocą muchy, a dziś sięcią pajęczą zasłoniłeś mię od nieprzyjaciół.“

Widzicie dziatki, że Pan Bóg nie na próżno nie stworzył; wszystko, co uczynił, służy ku dobru naszemu.

12. Pory roku.

— Mój ojcie! żeby ta zima nigdy się nieskończyła! — mówił mały Henryś, wracając z przejazdu jednokonnemi saneczkami, które mu ojciec był kupił — jaka to rozkosz jeździć w zimie; po gładziutkięj drodze konik leci jak ptaszek, i mnie się zdawało, że miał skrzydła i leciał. Och, żeby ta zima zawsze trwała!

Mój Henryczku! — rzekł ojciec, podając mu tabliczkę marmurową — napisz mi swoje życzenie o zimie.

I Henryczek napisał ręką trzęsącą się od zimna.

Przemięła pora mrozów i śniegów, a nadeszła wiosna.

Ojciec wyprowadził Henrysia do ogrodu i przechodzili się między kłoby hiacyntów, tulipanów, lilij i narcysów. Chłopak nieposiadał się z radości, wachał je i dziwił się blaskowi kolorów.

— Są to wiosenne kwiaty — rzekł ojciec — piękne, ale krótko trwają.

— Co za szkoda! — zawołał Henryś — czemu ta wiosna, taka zielona i kwiecista, nie trwa przez cały rok?

— Napiszesz mi to, co mówisz, na tabliczce — rzekł ojciec.

I Henryś napisał życzenie o wiosnie.

Tymczasem wiosna ustąpiła miejsca latu.

Rodzice z Henrysiem wyjechali na wieś, po drodze widzieli złocące się łany pszenicy i żyta, które wietrzyk kotłował; widzieli łąki, na których kilkudziesiąt

košarzy ścinało trawę; ówdzie, stada bydła i owiec chodziły po błoniach, a całe sady rumienity się od wisień i trzeseń. Henryś używał na wiśniach i trześniach; zabiegł do lasu, a tam znowu nęciły go poziomki i czernice. Cały dzień przeroskoszował na wsi; a gdy wieczorem wracał z rodzicami do miasta, spytał go ojciec: — Nieprawdaż Henryczku, że i lato ma swoje przyjemności?

— Chciałbym, żeby się nigdy niekończyło! — odpowiedział Henryś; i musiał zapisać swoje życzenie.

Nakoniec zbliżyła się jesień. Cała rodzina wyjechała na wieś; już niebyło tak gorąco jak w lecie; powietrze łagodne i niebo czyste, bardziej uprzyjemniały przechadzkę. Widok pól odmienił się i miasto kłosów zbożowych stały kopy na polu, które zwożono do stódół; wszędy ruch wielki i śpiewy pracujących kmiotków. Gdzie było spojrzeć, wszędy owoc dojrzaił: na drzewach śliwki, jabłka i gruszki; na grzędach melony i arbuzy, a w ulach pszczelnych pełno miodu. Henryś chciałby się był na sto części rozerwać, żeby wszystkiego choć po troszę użyć. Używał też немало; czy to otrzęsano owocowe drzewa, czy podbierano pszczoły, czy zwożono zboże, wszędzie był Henryś. Nakoniec ojciec wziął go z sobą na polowanie; widział, jak psy goniły zająca, jak się porywały stada przepiórek i kuropatw, jak dzikie kaczki ciągnęły nad głową. Widział to, i nieposiadał się z radości.

— Nie prawdaż Henryczku — mówił ojciec — jaka to miła pora jesienna, ale zima nadchodzi, i przyjemności jesieni ustaną.

— Niechby nigdy nienadeszła! — odparł Henryś zasmucony — żeby to zawsze trwała ta jesień.

Ojciec słysząc to życzenie Henrysia, wyjął tabliczkę i kazał mu odczytać, co sam był napisał o zimie, wiosnie i lecie. Zawstydzil się chłopczyzna i zrozumiał

zarazem, że każda pora roku jest dobrą i każda ma swoje przyjemności i korzyści.

— Widzisz więc synu mój — dodał ojciec — jak życzenia nasze częstokroć są nierozsądne, i jak to dobrze, że nie od naszej woli zawisł porządek w naturze. Gdy długo pożyczysz, sam się przekonasz, że to, czego nieraz bardzo pragniemy, gdyby Pan Bóg nam dał, byłoby może z większą szkodą dla nas, niż pożytkiem, i dla tego nigdy nieszemrz na los, w jakim cię pan Bóg postawi.

13. Echo.

Mały Pawełek niewiedział, co to jest odgłos, lub echo. Biegając raz po dworze, krzyknął potrzaskując biczykiem: Hej! Hej! — i usłyszał jak ze starego muru coś zawołało: Hej! Hej!

Chłopak się zdziwił, i zawołał:

— Kto tam gada? — I głos z muru odpowiedział: — kto tam gada?

— Co ci do tego? — Głos odpowiedział: — co ci do tego?

— Głupiś! — głos odpowiedział: — Głupiś!

— Ty sam. — Głos znowu: — ty sam.

Pawełek wpadając w gniew, coraz grubiej łajał, i również niegrzeczne odbierał odpowiedzi; w końcu niemogąc wytrzymać, pobiegł do starych murów i szukał owego hardego chłopca, który śmiał ząb za ząb klócić się z nim, i chciał go obić. Lecz ani żywej duszy tam niebyło. Czując obrazę swoją Pawełek, na pół z płaczem poskarżył się matce, że jakiś chłopiec w starych murach ukryty przezywał go grubemi wyrazy.

— Rozumiem cię mój synu — odpowiedziała matka, — zdradzasz się, bo sam przychodzisz ze skargą na siebie samego. Dowiedz się, żeś tylko swoje własne słowo słyszał; bo takie stare mury i sklepienia zwykle powtarzają każdy głos, lub huk. Gdybyś był krzyczał co grzecznego i przyzwoitego, odebrałbyś był

odpowieź grzeczną i przyzwoitą. Tak samo bywa i w życiu z ludźmi. Jeżeli z bliźnim obchodzisz się z dobrocią i uprzejmością, takiego samego i ty doznasz obejścia; przeciwnie, postępując po grubiańsku, grubiaństw tylko spodziewać się możemy.

14. Brzoskwinie.

Kmiotek jeden poczciwy i roztropny mając potrzebę pomówić ze swoim dziedzicem, poszedł do dworu, i zastał pana i panię w ogrodzie, właśnie kiedy zbierano brzoskwinie. Gdy w prostocie swęj dziwił się pięknemu owocowi, pani rzekła doń: „Wy, mój Michale, nieznacie tego dobrego owocu; skosztujcie go; i jeszcze na wam pięć brzoskwiń, weźmiecie dla żony i dzieciom po jednej.“ Gdy kmiotek wrócił, a brzoskwinie pokazał, wielce dziwiły się dzieci onych piękności, i jak było czterech synów, każdy dostał brzoskwinę, również i matka miała jedną.

Wieczór, gdy synowie zabierali się spać, spytał ich ojciec, jak im smakowały brzoskwinie.

— Dobry to owoc, tatusiu — rzekł najstarszy — schowałem pestkę, posadzę w ziemi, aby drzewo wyrosło.

— Zrobiesz jak rolnik — mówił ojciec — potrzeba, synu! myśleć na przyszłość; kto sieje, ten zbiera.

— A ja — odezwał się najmłodszy, — zjadłem moją brzoskwinę i cisnąłem precz pestkę, i matusia dała mi jeszcze połowę swojej.

— Mądregoć nic tu niema — rzekł ojciec — postąpiłeś sobie zwyczajnie, jak wszystkie dzieci w twoim wieku. Jeszcze będziesz miał dosyć czasu nabrać rozumu.

Drugi syn rzekł znowu: — pestkę, którą mały braciszek cisnął, podjąłem i stłukłem, i znalazłem smaczne ziarnko; sam zaś zaniostałem moją brzoskwinę i przedałem synowi karczmarza, który mi dał tyle pieniędzy, że i kilka takich brzoskwiń kupić mógłbym na targu.

Ojciec wstrząsnął głową i rzekł: — Otóż to roztropnie, roztropniej nawet niż potrzeba. Tobie być tylko handlarzem i kupcem mój synu.

— A tyż Grzesiu? — zapytał ojciec trzeciego, licząc po starszeństwie.

— Ja, mój tatusiu — odrzekł w prostocie serca — zaniósłem moją choremu Staśkowi, który niechciał jej wziąć, ale m gwałtem mu wcisnął i uciekłem.

— Któż z was, dzieci moje, najlepszy użytek zrobił z brzoskwini? — zagadł ojciec.

Trzej bracia odpowiedzieli jednogłośnie:

— Zapewne, że Grzesio.

Ale Grzesio milczał na to; matka tylko przycisnęła go do serca i łzą oblała.

15. Najlepsza spuścizna.

Dwóch sąsiadów miało dużo dzieci. Jeden, pan Mikołaj, był bogaty, ufał w grosz gotowy, w piękne gospodarskie budynki, obfitość bydła i zboża, a mało dbał o to, czy dzieci umieją czytać i pisać, i czy to wiedzą, co człowiekowi dobrze wychowanemu wiedzieć potrzeba koniecznie.

Drugi, pan Szymon, szczupłego był majątku, ale zato miał dobre dzieci i pilne w nauce. Mawiał on zwyczajnie: „Widzicie dziatki moje, że wam majątku zostawić niemogę; dużo się wyłożyło i wyklada grosza na waszą naukę i nabycie pożytecznych wiadomości i rzemiosł; bądźcie tylko zawsze pobożnemi i pracujcie, a Pan Bóg nieda wam umrzeć z głodu.“

Zdarzyło się, że w parę lat na dom pana Mikołaja napadli złodzieje, i zabrali mu wszystko, co było z gotowego grosza. Pan Mikołaj darł sobie włosy i ręce łamał, a pan Szymon pocieszał go: — „gdybym był w stanie, sąsiedzie mój, pomógłbym ci, ale wszystko, co mam, idzie na dzieci, które, gdy przyjdą do lat, o twoich dzieciach niezapomną.“

Nigdy nieszczęście samo nieprzychodzi, zawsze drugie gorsze po nióm następuje. W kilka miesięcy dom i gospodarskie budynki ze zbożem i bydłem spaliły się panu Mikołajowi, który na raz tak podupadł, że musiał pójść w służbę, a dzieci rozebrali litościwi sąsiedzi i krewni.

Pan Szymon wtedy mówił do synów swoich: — Dzieci moje! nie ufajcie ani w majątek, ani w pieniądź! Albowiem to tylko jest waszą własnością, coście się nauczyli; to jedno niespali ogień, niezabierają złodzieje.

Synowie usłuchali świętych przestroóg i napomnień ojcowskich, i po jego śmierci każdy z nich miał albo dobrą posadę przy jakim urzędzie, albo trudnił się rzemiosłem zyskowném, i pamiętając na przyjaźń ojców, nieraz jałmużną i inną pomocą wspierali dzieci pana Mikołaja, które się tylko włóczyły po żebraniu.

16. Natura i sztuka.

Pewnego czasu przechodził się Julek z matką po ogrodzie i ujrzał ogrodnika, który od rana obcinał, oskrobywał i szczepił drzewa.

— Mamo! — rzekł Julek — dla czego ogrodnik zadaje sobie tyle pracy? Widziałem przecież w lesie tyle drzew rosnących swobodnie, a nikt je ani obcina, ani szczepi, ani oskrobuje, ani podlęwa.

— Prawda, mój synu — odpowiedziała matka. — Jednakże między leśnemi a ogrodowemi drzewy wielka jest różnica.

— Jakaż to różnica? — zagadł Julek.

Matka zamiast odpowiedzieć, zerwała kwiatek z kłębku i owoc z drzewa, i podała oboje synowi. Julek skosztował owoc i powiedział, że słodki; powąchał kwiatek i przyznał mu woń przyjemną.

Poczem poprowadziła Julka do bliskiego lasu; zerwała kwiat polny i podjęła owoc leżący pod dziką jabłonką. Julek powąchał kwiat, lecz nie znalazł w nim

woni; skosztował owoc i zaraz cisnął, powiadając, że cierpki i twardy.

— Teraz przekonaj się mój synu — rzekła matka — i pamiętaj, że człowiek bez wychowania i nauki jest jak dzikie drzewo, jak kwiat polny. Kwiatek ten lubo piękny, woni niema; drzewo daje owoc, ale cierpki. Dobrze wychowany człowiek jest podobien szczepionemu drzewu, które słodki i smaczny wydaje owoc.

17. Orzech włoski.

Dwóch chłopaków znalazło włoski orzech, przechodząc kolo parkanu pańskiego ogrodu.

— To mój orzech — rzekł Piotruś — jam go pierwszy zobaczył.

— Nie — to mój, — wołał Pawełek — bo ja go podjąłem.

I od słówka do słówka chłopaki poszli w czuby, wyzywając się ostatniemi słowy.

— Czekaście, ja was pogodzę! — ozwał się nadchodzący parobek. Rozdzielił bijących się chłopców, odebrał im orzech, stłukł go, i rzekł: — Jedna połowa lupiny należy się temu, co pierwszy zobaczył orzech, a druga dla tego, co go podjął; ziarnko zaś sam biorę jako sędzia.

18. Kmiotek i syn jego.

Pewien kmięć miał obszerne grunta, ogrody, łąki, zabudowanie gospodarskie, porządne i liczne stada bydła i owiec. Parobków i dziewczek trzymał też niemało; a widząc wszystko czerstwe, wesole i dobrze okryte, każdy domyślał się, że gospodarz musi być człowiek z głową, pracowity, zapobiegły i dbający o najmniejszą rzecz.

Zdarzyło się, iż musiał daleką drogę odprawić. Przywołał więc syna jedynaka i rzekł doń — mój Staszku, potrzeba mi dom i gospodarstwo opuścić na

jakiś czas; w mojej niebytności zarządzajże domem i gospodarstwem, jakby ja sam.

Chłopak niezmiernie się przeraził, niewiedząc azali podola tak trudnym obowiązkom; chciał zrobić jakieś przedstawienie, ale ojciec pocałował go w czoło, siadł na wóz i pojechał.

Staszek z razu bardzo trwożliwie wziął się do pracy, bo niewszystko wiedział, jak być powinno; ale wkrótce nabrał odwagi, powtarzając sobie: tak się memu ojcu podobało, niechże i tak będzie.

Gospodarował więc gorliwie; w każde miejsce zajrzał, starał się o niczem niezapomnieć, i tak się wprawił, że już wcale niepopelniał takich błędów, jak z początku.

Podróż ojcowska przewlokła się do kilku miesięcy: gdy wrócił a obszedł naprzód koło domu, potem koło bydła, nakoniec zajrzał w pole, ucieszył się, gdyż wszędzie zastał dobry ład i pilność. Nawet i w okolicy przebąkiwali sąsiedzi: jaki ojciec taki syn — i wskazywali Staszka za przykład synom swoim.

Ojciec uściskał syna i oddał mu pochwałę, że tak dobrze gospodarował.

— Ależ mój ojcze — rzekł Staszek — cóżbyście zrobili, gdybym był popsuł i tylko szkody narobił?

Ojciec na to z uśmiechem odpowiedział:

— Mój synu, wiedziałem ja dobrze, co jest w twoich siłach, chociaż ty sam o tém niewiedział; chciałem więc, żebyś się poznał na sobie i popróbował, dla tego oddałem ci od razu całe gospodarstwo; prawda, żeś się dobrze napocił i namartwił, ale już wyszedłeś na czleka.

19. Drzewo rodzące dukaty.

Boleś miał szczególniejszą skłonność, drugich w pole wywodzić. Raz pisał list u siebie; przed nim leżało pięć dukatów, które miał do listu włożyć i posłać księgarzowi na kupienie książek.

Mała jego siostrzyczka Emilcia weszła do pokoju, a zacząwszy przewracać po stole, zwyczajem dzieci, zobaczyła dukaty i spytała: — Bolciu, powiedz mi, z kąd się biorą dukaty?

Boleś na to: — Dukaty rosną na drzewie. Posadź dukat w ziemię, a zaraz drzewo wyrośnie i będzie miało dużo dukatów.

To rzekłszy, pisał swój list pilno, i nieuważał jak Emilcia wzięła dukaty, pobiegła do ogrodu i powsadzała w ziemię. Gdy zaś list skończył, ona wróciła i rzekła: — Bolciu, teraz będziemy mieli dużo dukatów, wszystkie posadziłam.

— Gdzieś posadziła? pokaż! — wołał Boleś i ciągnął ją za rękę, aby mu wskazała miejsce. — Ale dziecko błędziło tylko po grządkach tu i ówdzie, wskazując: tu posadziłam — nie — tam posadziłam! — a gdy szukano, nic nie było. Słowem, dukaty przepadły na wieczne czasy!

Gdy się ta historia doniosła do ojca, zawołał syna i rzekł: — Widzisz Bolesiu, oto za kłamstwo zapłaciłeś pięć dukatów. Niedziwić się Emilce, że chciała sadzić dukaty; bo to dziecko — ale na twoją złośliwość i ustawną chęć rozsiewania kłamstwa, gniewam się na prawdę.

20. Pastuszek.

Pastuszek pał krowę na wygonie; niedaleko był sad peten wisień; widok dojrzewających jagód zncić chłopaka, puścił więc krowę samopas, a sam dalej na drzewo obrywać co dojrzalsze.

Bydłę niewidząc nikogo przy sobie, wlało w pobliski łąn pszenicy i spasty duzo kłosów, wydeptało i popsuło jeszcze więcej.

Ktoś idący drogą widząc szkodę, zaczął krzyżeć na niedbałego pastuszka, który dopiero postrzegł swoje niedbalstwo i lekkomyślność. Zeskoczył więc co prę-

dziej z drzewa, wyrwał z plotu kół ogromny, i mszcząc się na biednym bydłeciu, zaczął je niemiłosiernie po bokach okładać.

Tymczasem ojciec jego, który stał za węglem i na wszystko patrzył, przystąpił do chłopca, i spoglądając nań surowo, zapytał: — kogo to bić należy, czy ciebie, czy bydłę, które samo niewie gdzie lézie? które z was pokazało więcej łakomstwa, czy ty, coś wlaźł na wiśnię, czy bydłę, co puszczone samopas wlaźło w zboże? A teraz jeszcze tak nielitościwie pastwisz się, i zapominasz o własnej winie, i o tém, żeś pierwszy dał zły przykład nierozumnemu bydłeciu?!

Chłopak zawstydził się, poznając swój błąd i słusność wyrzutów ojcowskich.

21. Źródło.

Jednego dnia w czasie lata upał był niezmierny; mały Franuś, któremu ojciec kupił był strzelbinkę na ptaszki, biegał z nią pomiędzy krzaki, polując makolągwy i wróble. Tém ciągłym uganianiem tak się umęczył, że pot lał się strumieniem z niego, a policzki pałały, a w gardle zasychało od pragnienia. Zapuściwszy się za ptaszkiem do lasu, natrafił na czyste źródelko bijące z pod starego dębu.

— Ach jakie szczęście! — zawolał — ochłodzę się, bo już prawie omdlęwam. — I położywszy się na ziemi, pił a pił zimną jak lód wodę, która mu się zdawała najprzedniejszym napojem. Na chwilę ożywiła go zdrojowa woda, lecz zaledwo przyszedł do domu, uczuł ciężkość i niemoc we wszystkich członkach, i prawie bez zmysłów upadł na łóżko. Niebawem okazała się niebezpieczna gorączka. Biedny Franuś w ciągu swojej choroby nieraz, kiedy bardzo cierpiał, przeklinał nieszczęsne źródło, mówiąc: — ktoby się był spodziewał, patrząc na to piękne źródelko, że w niem taka trucizna się mieści?!

Słyszając to ojciec, rzekł do Franusia: — Synu mój, nie źródło winno twój chorobie, ale twoja nieostrożność i niepomiarkowanie.

22. Mały Kościuszko.

Ludwiś jedynak u swoich rodziców odebrał takie pieśzczone wychowanie, że się lękał lada przymrozku, uciekał przed kroplą deszczu; a kiedy zima nadeszła ze śniegiem, lodem i wiatrami, to i piernikiem toruńskim niewyciągnąłbyś go na podwórze z ciepłego pokoju; jeżeli zaś konieczna wypadła potrzeba, musiano go od stóp do głów zawinać w futra i ciepłe chustki. A jednak, kiedy go zapytywali rodzice i krewni, do czego ma ochotę? odpowiadał nadąwszy się: — Chcę być takim jenerałem jak Kościuszko.

Ta odpowiedź często obijała się o uszy jego nauczyciela, który tém zniecierpliwiony, tak się doń odezwał:

— Piękny mi to jenerał; czyliż niewiesz mój Ludwisiu, że Kościuszko był żołnierzem, że umiał znosić mróz, deszcz, upał, słoty i wszystkie niewygody? I tobież to się zachciewa być jenerałem? tobie, co nigdy z kataru i kaszlu niewychodzisz? tobie, co potrzebujesz piernatów i poduszek, kiedy Kościuszko sypiał na twardej ziemi, pod gołym niebem? Lada haba więcej wytrzyma niż ty; bo przecie widzisz co dzień, jak mimo niepogody i zimna pracują w polu. Mój kochanku, zdejm z serca pychę i niemyśl o jenerałstwie, jeżeli obyczajów swoich z gruntu nieodmienisz.

Ludwiś usłyszawszy takie kazanie od nauczyciela, rozmyślał nad niem, i przekonał się niebawem, że prawdę mówił. — Będę się hartował — ciągle powtarzał sobie — będę żył jak żołnierz! — Poczem pobiegł do nauczyciela i opowiedział mu, jak mocne zrobił postanowienie. — Dobrze mój Ludwisiu — odrzekł tenże — dotrzymaj tylko słowa i zacznij od najłatwiejszej rzeczy. Naprzód wyrzuć z pod siebie pierze, śpij na

twardym sienniku, pod cienką koldrą, i nieszukaj w długim śnie przyjemności, ale o tyle go używaj, ile do zdrowia potrzeba.

Ludwiś usłuchał dobrej rady, i choć go matka żałowała, przecież odrzucił piernaty; z początku szło mu trudno, lecz w kilka dni przyzwyczał się.

— Teraz — mówił nauczyciel — zrzuć z siebie flanelowe kaftaniki, nienoś ciągle futerka, nieobwiązuj szyi grubém chuściskiem, a natomiast przywdziej lepsze suknie, chódź z gołą szyją, i codzień od stóp do głów umywaj się zimną wodą.

Ludwiś poszedł za dobrą radą, przewyciężył wstręt do zimnej wody, ubierał się lżej, a choć z początku było mu przykro, tydzień niewyszedł, a przyzwyczał się.

Po niejakiem czasie, mówił znowu nauczyciel: — kiedyś tyle na sobie dokazał mój Ludwisiu, więc teraz, czy to mróz, czy upał, czy śnieg, czy burza, będziemy przynajmniej na godzinę wychodzić codzień w pole, a przyzwyczałwszy się do zmian powietrza i do trudów ciała, będziesz mógł śmiało powiedzieć: chcę być jenerałem Kościuszko! a pewnie nikt cię za to niewyśmieje.

Ludwiś zwyciężył i te trudności; hartował zdrowie, hartował siły, niezważając na porę roku; to sprawiło, że się nawet dwa razy lepiej uczył niż dawniej. Taki sposób życia dobry wywarł skutek; bo co pierwój zawsze był blady, skwaszony, i do niczego; teraz zyskał na sile, dostał świeżych rumieńców, i rokował, że na dzielnego męża wyrośnie. Jakoż i sprawdziło się, gdyż wyrosł jak dąbeczak, a kiedy skończył nauki, wszedł do wojska, prędko awansował, i w wojnie z nieprzyjaciółmi ojczyzny cudów waleczności dokazywał tak, że w końcu doszedł do stopnia jenerała.

Otóż macie gotowy przykład; gdyby był niewytrwał w dobrém postanowieniu, wyszedłby tylko na

rozpieszczonego panicza, co to, jak mówią, ani do Boga, ani do ludzi.

23. Woreczek z pieniędzmi.

Rodzice Marcinka byli to ubodzy komornicy, tak ubodzy, że często dziś niewiedzieli, zkąd jutro wezmą kawałek chleba. Jednakże nigdy nieźtorzczyli swemu losowi, ani upadali na duchu; a choć im się najgorzej wiodło, mawiali radzi: — ten sam Bóg, co daje ptaszkom pożywienie, i nas nakarmi.

Pewnego dnia bięda ciężko im dojęła, gdyż ani okruszyny chleba niebyło na cale obejście. Cóż tu począć? Matka wysłała Marcinka do bliskiego miasteczka, aby tam zastukał do serc litościwych i jakie wspomóżenie wyprosił. Biegał chłopczyzna od domu do domu, ale nieznalazł litośnych serc; tylko najczęściej połajanie i groźne słowa. Polykając więc gorzkie łzy, już myślał wracać do domu z próżnemi rękoma.

Gdy tak idzie, postrzega w piasku na drodze coś świecącego się; podnosi — i któż opíše jego zdziwienie, na widok jedwabnego woreczka, napelnionego samemi dukatami!

— Dzięki ci, dobry Boże! — zawołał Marcinek w radości, — teraz skończy się nasza bięda i od razu zostaniemy bogatymi.

Owoż co tylko mógł wyskoczyć pędził do domu, niosąc wesolą nowinę rodzicom. Z krzykiem wpadłszy do izby, wstrząsał woreczkiem, w którym złoto brzęczało.

— Co to masz? — zapytał ojciec.

— Worek złota, mój tato! — wołał Marcinek. — Teraz będziemy bogaci, możemy sobie nie jeden dom kupić.

— Powiedz, zkądęś to dostał? — zapytał ojciec cokolwiek groźniej. — Przecież na mój wstyd i nieszczęście nie jesteś złodziejem?

— Broń Boże, mój tatulu! — mówił Marcinek

z wyrazem szczerości — worek ten znalazłem w piasku na drodze; więc to nasza własność.

— Bynajmniej, mój synu; do nas on nienależy; i niewolno nam tego złota dotykać. Wiész przecie, że złoto i srebro nie rodzi się na drodze; zapewne ktoś musiał je zgubić, a ciężki grzech popełnilibyśmy, przywłaszczając je sobie.

— Ależ mój tatulku — odpart Marcinek — nikt a nikt niewie, żem te pieniądze znalazł! niepotrzebujemy też mówić o tem przed ludźmi; i bięda nasza skończy się nareszcie.

— Wstydz się, wstydz — przerwał ojciec — choćbyśmy przed ludźmi ten grzech utaili, przed Panem Bogiem ukryć go niepotrafimy! Lepiej być uczciwym ubogim, niż bogaczem występny.

Zmiarkował Marcinek, że przy złej sprawie obstał, i przyznał się do błędu. Ojciec zaś wziął woreczek i zaniósł go do urzędu. Gdy go oddawał w ręce burmistrza, był jakiś znaczny pan obecny temu, który słyszał jego zeznanie. Już ojciec Marcinka chciał się oddalić, niepowiedziawszy nawet swego nazwiska, gdy wtém obcy ów pan zatrzymał go i rzekł: — Worek ten ja zgubiłem; lecz widząc, żeście ubodzy, a tak uczciwi i rzetelni, tedy chciejcie go przyjąć odemnie.

Ojciec wzbraniał się przyjąć dar tak kosztowny, ale cudzy pan gwałtem mu wcisnął worek i precz się oddalił. Ze łzami radości wrócił ojciec do domu; włożył te pieniądze w gospodarstwo, i o ile dawniej był biędny, o tyle stał się majątnym, a opływając w dostatki i wygody, nie miał wyrzutów sumienia, albowiem jak w powyższym przypadku, tak w całym życiu postępował poczciwie, i Marcinkowi dawał przykład nieposzlakowanej rzetelności.

24. Co lepsze?

Ludwisia i Kasia zeszły się pod lipą i rozmawiały. Ludwisi ojciec był to pan, dziedzic wsi, a matka Kasi była wdową po ekonomie, i tylko z pracy rąk mogła się utrzymać.

Z toku rozmowy rzekła Ludwisia: — widzisz moja Kasiu, niema to jak być bogatą; położę się w miękkie łóżeczko i śpię sobie do dziewiątej, a żebym chciała, to i dłużej, bo mama niekaże mię budzić. Wstawszy, przynoszą mi kawę, lub czekoladę, i do tego babkę lub ciasteczka. Potem ubierają mię, i bawię się aż do obiadu; po obiedzie znowu się bawię, to lalkami, to obrazkami, i tak czas mi schodzi do wieczora; lubo, przyznam ci się, że nieraz tak się nudzę, że sama niewiem co robić.

— Cóż to jest nudzić się? — zapytała Kasia w swojej prostocie — nierozumiem, co panienka chce przez to powiedzieć?

— Zaraz ci wytłumaczę — odrzekła Ludwisia — kiedy się nudzę, to niemam do niczego chęci i nic mię niebawi. Wtedy na moje obrazki ani patrzeć nie mogę, lalki i zabawki w kąć ciskam, i tak mi smutno, tak czegoś tęskno, że ci opowiedzieć niemogę. Zawsze też najszczęśliwsza jestem, kiedy wieczór nadejdzie i pójdę do łóżka.

— A dla czegoż panienka niebawi się z innemi dziećmi? — zagadła Kasia.

— Mama mi niepozwala; mama mówi, że to nieprzystoi na panienkę dobrego wychowania, bobym się niegrzeczności nauczyła.

— A czemuż panienka nieidzie na przechadzkę gdzie w pole, lub do lasu?

— I tego mi niewolno, tylko z guwernantką, a guwernantce nigdy się niechce.

— To trzeba co robić, szyć, lub haftować.

— Mamy na to służące w garderobie, niech one

szyją i haftują; z resztą guwernantka zawsze mi powiada, że to tylko ubodzy pracować powinni, a nie panowie.

Kasia słysząc to, wstrząsnęła główką. — Jeżeli to tak u państwa — rzekła — to dalibóg lepiej, że mię Pan Bóg w ubogim stanie postawił. Mnie się nigdy nieduży. Rano wstawszy ze wschodem słońca, zaraz ubieram się, odmówię pacierz, a wypiwszy szklankę mleka z chlebem, pomagam matuli uprzątnąć izbę, potem zasiadam i szyję, haftuję, lub prasuję, albo też co innego robię; a tak ranek przeleci sama niewiem kiedy. Popołudniu matula pozwala mi pójść z drugimi dziećmi na przechadzkę, albo też na orzechy lub grzyby do lasu — a i na rozrywce wesolej czas zlatuje tak prędko, że ilekroć kładę się spać, zawsze sobie myślę: czemu to dzień taki krótki! Och nie panienko, niemieniałabym się z wami; lepsze moje wesole ubóstwo, niż twoje nudne bogactwa.

To powiedziawszy, w rzeźwych poskokach odbiegła Kasia do kupki dzieci bawiących się na łące, które na nią z daleka wołały; Ludwisia zaś ze spuszczoną głową i wzdychająca wróciła do ojcowskiego pałacu.

25. Modlitwa.

Cieszył się ojciec, rozplywała matka nad swoją Jadwisią; przesłicznąż to była dziewczynka, świeża jak poziomeczka, zgrabna i żywa jak ptaszek; a przede-wszystkiem taka pogodna w niej dusza, jak majowy poranek, wschodzący nad piękną okolicą i obiecujący dzień wesoly.

Dotąd nieznała jeszcze zwykłych zmartwień i niepokojów życia, bo młode jej latka spokojnie upływały pod okiem troskliwych rodziców. Ale jakby na próbę jej serca nagła choroba nawiedza drogą matkę, której coraz gorzej i gorzej, bo gorączka nieustępuje, i sami lekarze zaczynają wstrząsać głową i wątpić, czy będzie żyła. Przez cały ciąg choroby Jadwisia po całych no-

each czuwa przy łożu matki; to jęj napój podaje, to poduszki poprawia, to coś opowiada, i tak jak może biedastwo osładza cierpienia drogięj matki.

Po siedmiu dniach gorączka doszła najwyższego stopnia — głuche panowało milczenie w pokoju choręj, studzy płakali po kątach, bo każdy był pewien, że biedna matka niebawem oczy zamknie na wieki. Lecz w nocy szczęściem przyszedł sen pożądany, który jęj dodał sił i przywrócił życie. Jadwisia przez całą noc nieoddaliła się ani na krok jeden, słuchając oddechu matki i przechodząc przez wszystkie stopnie trwogi i nadziei.

Gdy dzień zaświtał w okna, chora otwarła oczy i rzekła: — Teraz mi lepięj; mam nadzieję, że mię Pan Bóg zachowa. — I wzięwszy trochę pokarmu, na nowo zasnęła.

W duszy przywiązanęj córki cudowna radość zabłysła; i oto; jakby szukając swobodniejszych miejsc swemu uniesieniu, wyszła na palcach z pokoju, a przebiegając dziedziniec, dostała się na bliski pagórek, właśnie gdy niebo zaczęło się rumienić wschodzącęm słońcem. Miotana uczuciem nadziei i boleści, stała przez chwilę nieruchoma jak posąg. Lecz patrząc na rosnącą coraz światłość dniową, porównywa ją w myśli z nowęm życiem, które sen powrócił jęj matce, i o cierpieniach, jakie przetrwała. Wzruszeń tych niemogło serce jęj zamknąć w sobie: pada na kolana, schyla głowę, krótką ale gorącą modlitwę zanosi do nieba i dwa potoki łez razem z rosą poranną sptywają na pagórek.

Gdy powróciła do domu, zdrowie matki polepszyło się znacznie, i niebawem wyzdrowiała całkiem. Jadwisia stała się stokroć piękniejszą i miłszą niż dawnięj, odkąd dusza jęj z Bogiem rozmawiała na wzgórk.

26. Podróż.

Ojciec miał syna, który uczył się malarstwa; chcąc zaś, żeby się wydoskonalił w tej sztuce, umyślił go wysłać do cudzych krajów.

Kiedy dzień wyjazdu nadszedł, wziął go ze sobą do ogrodu i wymienił mu wszystkie miasta i kraje słynące ze zbiorów malowideł i sławnych mistrzów, które miał zwiedzić.

Matka słysząc to, przestraszyła się; a składając ręce, rzekła: — Mężu mój! któż będzie czuwał i prowadził naszego syna w tych obcych krajach, aby się niezepsuł lub w jakie nieszczęście niepopadł?

— Nietroszcz się o to — odpowiedział ojciec — towarzyszyć mu będzie jego własne serce i Pan Bóg.

A powiedziawszy to, matkę i syna poprowadził do ula stojącego w pobliżu i rzekł: — Widzisz prosty skład i mądrość tego maluczkiego ludu; przeznaczeniem jego jest wysysać sok z kwiatów i robić miód i wosk. Do tego celu zmierzają wszystkie jego usiłowania i prace, leci w świat, a zawsze pamięta o swoim ulu i obowiązku; Pan Bóg drobnym istotom pokazuje drogę, aby się niezbłąkały, i dostarcza im obfitego kwiecia.

Począł obracając się do żony, dodał: — Czy myślisz, że nasz syn niewięcej wart nad to zgromadzenie pszczół; czy zapominasz, że w sercu swém nosi skarb szacowniejszy, nieznanym biędnym zwierzątkom?

I matka uczuła pociechę na te słowa ojcowskie.

27. Róża.

Było to w niedzielę przedemszą, jak Anusia strawiwszy kilka godzin przed zwierciadłem, wymuskana i wystrojona usiadła sobie na ławeczce przed domkiem swoich rodziców. Anusia przez próżność chciała się swoim stroikiem pochwalić przed różnymi ludźmi, przechodzącymi do kościoła. I w rzeczy samej dwóch mieszczan przechodząc rzuciło wzrok na nią i jeden rzekł: — ach jaka ładna, jaka świeża, pełna i rumiana! — Anusia biorąc komplement do siebie, grzecznie dygnęła i podziękowała z uśmiechem. Ale owi mieszczanie zaczęli się śmiać do rozpuku, i jeden z nich rzekł:

— Nie o tobie to mowa, próżna, zarozumiała i wywiedta dziewczyno! ale o téj róży, coś sobie u gorsu przypięta; albowiem pierwsza to róża, którą téj wiosny widzimy.

28. Podwieczorek.

Zwykle po południu, około czwartéj, dostawał Jasio krómeckę chleba z masłem na podwieczorek. Bywało, że nigdy o więcéj nieprosił, bo pocóż miał prosić, kiedy niebył głodny.

Jednakże od pewnego czasu, skoro dostał swój podwieczorek, zaraz gdzieś wybiegał, a powróciwszy po chwilce, znowu prosił matkę o drugą taką krómkę choćby suchego chleba. Z razu nieuważała na to matka i dawała co chciał, myśląc sobie w duszy: widać, że Jasio zdrów być musi, kiedy ma taki apetyt.

Że zaś po wiele razy tak wracał i o chleb się naprzykrzał, zastanowiło to matkę; więc pewnego dnia umyśliła wypatrzeć, dokąd Jasio wybiegał ze swoim podwieczorkiem. Nic niemówiąc, po cichu trop w trop poszła za nim, i postrzegła, że wleciał do chaty ubożego komornika. Domyśliwała się w części, lecz chcąc się naocznie przekonać, zajrzała przez okno i postrzegła leżącego w izbie chorego chłopczyka, któremu Jasio położył swój podwieczorek na łóżku, i nieczekając aż mu chory podziękuje, prędko na dwór wyskoczył.

Och! jakże szczęśliwéj matce bito serce, gdy się przekonała o miłosiernym uczynku swego dziecięcia. Otóż teraz rozumiem — myślała sobie — zkąd się w nim bierze taki apetyt! pocziwy! sam na suchym kawałku przestaje, a choremu oddaje krómkę z masłem! — Panie Boże! dochowaj mi go takim do późnéj starości.

Matka niechcąc, aby ją Jasio zobaczył, obiegła inną stroną, a powróciwszy do domu, postanowiła wziąć go na próbę.

Niebawem wbiegł Jasio swoim zwyczajem i do-

magał się o kawałek suchego chleba. Matka, jakby nic niewiedząc, udała rozgniewaną i rzekła: — Ruszaj precz! więcej nie dostaniesz. Jedna krómką dość na ciebie, a obżarstwo jest grzechem.

Jaś stuliwszy uszy, w milczeniu wychodził już za drzwi, gdy matka, niemogąc dłużej wytrzymać, zawołała nań ze łzami:

— Jasiu! dziecię jedyne! pójdź tu do mnie, niech cię przycisnę do serca; tyś dobry, tyś poczciwy syn, dostaniesz chleba ile zechcesz i kiedy zechcesz.

Zmięszał się Jasio i zaczerwienił, gdy usłyszał z ust matki, że wie o jego miłosiernym uczynku.

— Niemasz się czego wstydzić, — rzekła — jednakże dziecię moje, trzeba było mi powiedzieć, komuś podwieczorek nosił.

Na to odpowiedział Jasio:

— Niemógłem kochana mamó, albowiem ksiądz pleban wyraźnie mię nauczył, że lewa ręka niepowinna wiedzieć, co prawa daje.

Jasio wybiegł sobie na podwórze grać w piłkę z innemi dziećmi! matka tymczasem uklękła, prosząc Boga o błogosławieństwo nad nim, i pomyślała w sercu: Zaprawdę, cnotliwe dziecko jest ojcu zaszczytem, a matce radością!

29. Słodycz pracy.

Julek od najmniejszych lat zawsze był kwaśny, skrzywiony i z niczego niekontent. Nic go niemogło na długo zabawić, zawsze się znudził, i jak dzień boży łąził po domu, zawadzając każdemu i dokuczając. Rodzice martwili się nim, ale go bardzo kochali i dogadzali jak mogli, kupując mu różne zabawki i książki z obrazkami. Julka zabawiło to na jaką godzinę, poczem zabawki i książki w kąć cisnął, i znowu nudził siebie i drugich. Nauczyciel napędzał go jak mógł do pracy, już to dając mu stósowne przestrogi, już poka-

zując, jaki z nich pożytek odbierze; ale on na to odpowiadał: — Mój tato bogaty, a słudzy mi powiadają, że kto bogaty, uczyć się niepotrzebuje; — i nic też się nieuczył.

Pewnego dnia w czasie lata, rzekł do niego nauczyciel: — Julku! czas taki piękny, weź czapkę, pójdziemy w pole.

Julek długo niemógł znaleźć czapki, bo mu się szukać niechciało; nakoniec, kiedy ją służący odszukał, leniwo poszedł za nauczycielem.

Było to właśnie około żniw. Idąc drogą, spotykali drabiaste wozy naładowane snopami, koło których szli czerstwi parobcy, wyśpiewujący na całe gardło i pozdrawiający ich wesolą twarzą, jakby chcieli powiedzieć: oto zebraliśmy owoc całorocznej pracy.

Julek patrzył na nich z podziwieniem, ale nic nie mówił, tylko szedł z nauczycielem dalej na łan pszenicy, gdzie paręset żeńców zbierało zboże. Usiadłszy na przewróconych snopkach, przypatrywali się ciężkiej ich pracy. Słońce popołudniowe potężnie dopiekało; kroplisty pot oblawał czoła żeńców, a robota szła coraz dalej nietylko bez skargi, bez narzekania, ale wśród wesolych śpiewów i żarcików z tych, co niepospieszali za drugimi w robocie. W półgodziny może doszli do miedzy, i cały łan położył się w snopkach. Żeńce wetknawszy za pas sierpy, zebrali się w kółko, usiedli, a dobywszy z kobiałek to chleba, to sera, smacznie zjadali, nieprzystając zwyczajnych śmiechów i żarcików.

Julek jeszcze się bardziej zadziwił na ten widok, a obracając się do nauczyciela, rzekł: — Proszę mi powiedzieć, dlaczego ci ludzie tacy weseli? pracowali cały dzień w krwawym pocie, zgięci we dwoje, i teraz nie narzekają ani na ból krzyży, ani kładą się w łóżko? Z resztą nierozumiem, z czego się cieszą, bo przecież ten chleb z ościami i postne kartofle, to nie-taka smaczna potrawa? Czemuż ja, co mam i piękne

sukienki, co jadam na podwieczorek bułeczkę z konfiturami; co nic nie robię, bo na to są sługi, czemuż ja nigdy jak oni wesołym być niemogę?

— Mój Julku! — odrzekł nauczyciel uradowany, że chłopak pierwszy raz nad sobą pomyślał — zaraz ci powiem przyczynę. Prawda, że te chłopki są uboższe w porównaniu do twego ojca, ale nauczenni przestawać na małym, mniej potrzebują niżeli ty. Pamiętam bowiem sobie, że nie ten jest bogaty, co ma najwięcej pieniędzy, piękny dom, dużo sług, powozów, koni; ale ten, co najmniej ma potrzeb. Z resztą lubią pracować, a po pracy słodki wypoczynek i myśli wesołe, bo po całodziennym trudzie cieszą się w wieczór, że swoim obowiązkom uczynili zadość. Żebyś ty Julku poszedł za ich przykładem, tedy równie byłbyś wesoły i śpiewający jak oni.

Utkwito to mocno w głowie Julkowi; przez drogę, gdy wracali do domu, ani słowa nie mówił, a myślał.

Nazajutrz rano, wszyscy zdziwili się, że wstał wcześniej niż zwykle wstawał, i że nie marudził przy ubieraniu się. I nauczyciel także był zdziwiony i uradowany, gdy Julek z książkami pod pachą przyszedł doń i powiedział, że odtąd będzie się do nauki przykładał. Zasedli więc zaraz do roboty, i oto — kilka godzin nauki, które leniwemu Julkowi zdawały się zawsze niezmiernie długie, zleciały teraz jak biczem trzask. Gdy go na obiad wołali, zdziwił się nawet i nie chciał wierzyć, żeby tak wcześnie dano do stołu? Po południu znowu wziął się do książki — a gdy wieczór nadszedł, skakał, śpiewał, we wszystkim znachodził rozrywkę, i nikomu się nienaprzykrzył.

— Oj prawdęś pan powiedział — mówił, ściskając nauczyciela — bardzo mi teraz lekko i wesoło na sercu.

Od tego czasu Julek tak zasmakował w pracy, że dogonił, co był zaniedbał w naukach; w domu wszyscy go polubili, bo się nikomu nienaprzykrzał, ani dokuczał.

30. Kto z Panem Bogiem, Pan Bóg z nim.

Było to w ogrodzie; pod rozłożystą lipą siedziała na ławeczce Babunia, a u nóg jój, na murawie, siedzący Stasio, pięknie złożywszy rączki i oczki podniostszy w górę, przystuchiwał się z wielką uwagą słowom Babuni, która mu opowiadała dziwne rzeczy o Panu Bogu.

— Wszystko, co tylko oczy twoje widzą, stworzył Pan Bóg. Tutaj kazał rość tym czerwonym, niebieskim, żółtym kwiatkom; tam wielkim drzewom rodzącym gruszki, śliwki i jabłka, które tak lubisz; to błękitne niebo zasklepił Pan Bóg nad nami, i oświecił je słońcem, księżycem, gwiazdami. — Bozia dał ci rodziców i mnie, twoją Babkę; Bozia dzień i noc ze swoimi aniołami ma oko nad tobą, aby ci się co złego nie stało. Powiedz mi Stasiénku, będziesz ty za to szanował i kochał Pana Boga z wszystkich sił twój duszy?

— Będę Babuniu! — odrzekł Staś — będę go z całego serca miłował, i mówił pacierz co rano i co wieczór, abym był zawsze dobry i bogobojny.

W kilka dni po téj rozmowie z Babunią zdarzyło się, iż Staś z ojcem swoim i innymi chłopczykami poszedł do boru. Dzieci rozbiegły się po krzakach, śpiewały, krzyczały i rozswywoliły się na dobre. W boru tym był bardzo głęboki parów, kędy na dnie płynął strumyk. Stasiowi przyszło do głowy wdrapać się na wysoką ścianę parowu, z kąd mógł widzieć pod nogami swemi ojca i innych towarzyszy; to zaś najbardziej go bawiło, że się wydawali tacy maleńcy.

Ojciec posłyszawszy głos i klaskanie Stasia na téj wysokości, przeląkł się o niego, i zaczął wołać, aby na brzeg się niezbliżał, albowiem po deszczach ziemia rozmiękła łatwo mogła się pod nogami usunąć. Staś posłuszny rozkazowi ojcowskiemu już miał się cofnąć, kiedy nagle brzeg się pod nim załamał, i biedne dziecko toczyło się z ogromnej wysokości ku ostrym kamieniom, leżącym na dnie parowu.

Nieszczęśliwy ojciec załamał ręce, pewny, że mu się dziecko zabiło, skoczył jednak jak mógł najprędzej w nadziei uratowania go; a gdy przybiegł na miejsce — aż oto! Stasio wyskakuje z krzaku, który go gałęzmi swemi zatrzymał — wprawdzie bardzo przestraszony, w głinie obwalany, i z niejednym sińcem na ciele; ale z resztą zdrów i cały, dzięki Opatrzności!

Gdy powrócili do domu, zastali Babunię siedzącą na ganku, która dowiedziawszy się o przypadku Stasia, przycisnęła go do serca, rozplakała się i rzekła: — Dziecko moje! Pan Bóg widoczny cud nad tobą pokazał; tylko pobożność twoja uratowała cię, inaczej pewnie byłbyś się zabił.

Odtąd Staś codziennie rano i wieczór dziękował Bogu za ocalenie życia, i zawsze równie bogobojnym okazywał się, wzrastając ku pociesze Ojca i Babuni.

Dziś będąc w latach dojrzałych, pamięta ten wysoki brzeg parowu i cudowny ratunek.

31. Kanarek.

Anielka wychowała sobie prześlicznego kanarka. Była to ptaszyna oblaskawiona jak rzadko; nietylko bowiem na zawołanie przylatywała do niej, jadła z rąk, dzióbkiem całowała w usta, ale wszędzie, gdzie się ruszyła w domu, latała za nią jak piesek.

Pewnego razu siedziała Anielka przy stoliku i bawiła się stawianiem domków z kart. Sto razy obalily się jej piętrzaste pałace, sto razy na nowo zaczynała budować. Nakoniec — jaka szczęśliwa! wzniosł się wysoki pałac; brakuje jeszcze ostatniej karty na wierzchu; Anielka nieśmie odetchnąć, ręka jej drży, — kładzie ją wreście, i gmach stoi niewzruszony. Wszelką radość trzeba z kimsiś podzielić. Więc też i Anielka już chciała biędz do Mamy i pokazać jej swoje dzieło, gdy wtém — jaka szkoda! — kanareczek także zapewne ciekawy, wyleciał z klatki, a siadając swój

pani na ramieniu, zaczepił skrzydełkiem o pałac, i ów gmach, który tyle pracy kosztował, zamienił się w kupę gruzów.

Rozgniewana t \acute{e} m nieszczęściem Anielka, uniosła się bardzo i rączką uderzyła kanarka, mówiąc: — Masz za to brzydki ty ptaku! — W złości zwykle człowiek jest ślepy, i sam niewie co robi. Podobnie i Anielka uderzyła tak mocno ulubione swe ptaszę, że zaraz padło na ziemię, drgnęło kilka razy nóżkami, strzepnęło skrzydełkami, zmrużyło oczęta, i żyć przestało.

Dopieroż to w płacz, dopieroż krzyku na cały dom: — Kanareczku mój! kochany kanareczku! wstań, proszę cię, wstań; póki żywa bić cię niebędę, tylko wstań, tylko się niegniewaj na mnie!

Biędny kanareczek niemógł już ani wstać, ani się gniewać, bo nieżył, i choć go Anielka całowała i oblewała łzami, nieczuł tego. Matka usłyszawszy z drugiego pokoju j \acute{e} j płacze i narzekania, przyszła, i taką dała Anielce naukę:

— Moje dziecko! pamiętaj, nigdy nieunoś się gniewem; w gniewie popełniają się rzeczy, których pot \acute{e} m ni \acute{e} ma sposobu naprawić; uderzyłaś ptaszynę, przywróćze mu teraz życie!

Anielka przyrzekła poprawę, i faworyta swojego pochowała w ogródku pod krzaczkiem róży. Często biegala odwiedzać jego grób, na którym przyrzekala sobie nigdy w zapalczywy gniew niewpadać.

W rok po t \acute{e} m zdarzeniu znowu piękny kanarek latał sobie po pokoju Anielki.

— Mamo! czyto mój będzie ten kanarek? — zapytała Anielka z radością.

— Twój, dziecie moje; jest to nagroda za poprawę. Anielka pieszczotami, łakotkami, znowu obłaska-wiła go jak pierwszego wychowanca; ale nigdy a nigdy nieuniosła się gniewem ani przeciw ptaszynie, ani przeciw bliźnim swoim.

32. Wschód słońca.

Wieczór mówił ojciec do Kazia i Władzia: — Chłopcy! kto jutro chce rano wstać, ten pójdzie ze mną na przechadzkę i dostanie dobre śniadanko; a kto leniwy, będzie siedział w domu i nic niedostanie.

— Wstaniemy! na pewne wstaniemy! — zawołali oba chłopcy i powiedzieli ojcu dobranoc. Lecz gdy nazajutrz dobrze przed wschodem wszedł ojciec do ich pokoju, spali oba na zabój.

— Wstawać chłopcy! ubierać się! pójdziemy w pole. Pamiętajcie, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Na takie zachęcenie Kazio przetaił oczy, wyskoczył z łóżka, łap cap za to i za owo, i w pięć minut był już ubrany. Władzio podniósł się, usiadł na łóżku, ziewnął trzy razy, i na drugi bok się przewrócił.

— Wstawajże Władziu — wołał Kazio — bo Tato czeka na nas.

Lecz Władzio nieruszał się, tylko mruczał pod nosem: — Dajże mi pokój, mnie się chce spać. — Poczem ojciec niechcąc dłużej czekać, odszedł z Kaziem, niepytając się już o gnuśnego śpiocha.

Kiedy wychodzili z domu, dopiero świtała jutrzeńka, i tu i ówdzie odzywały się ptaszki zbudzone dniem nadchodzącym. Niebawem zapuścili się w gęstwinę leśną i ciągle idąc pod górę, dostali się na sam szczyt. Ztąd odślaniał się widok wspaniały; mgła ustępująca powoli z pól i dolin, pokazywała liczne wsie, pola zbożem okryte, stawy i wijące się strumyki. Niebo oblało się czerwonością, jaka zwykle wschód słońca poprzedza. Nareszcie i słońce wystąpiło z poza góry, rozświecając obłoki, że się zdawały być ulane z samego złota i srebra.

— Ach mój Tato! — zawołał Kazio — jakież to cuda! — żal mi tylko, że Władzio niewidzi tego wszystkiego.

— Dobrze mu, — odpowiedział ojciec — czemu taki leniuch; sam zawinił, sam się ukarał.

Napatrzywszy się wschodowi słońca, zaczęli się spuszczać z góry obrosłej pięknymi drzewy. Słońce przekradało się gałęzmi, rzucając blask na krople rosy, które iskrzyły się jak diamenty. Ptaszkowie leśni skakali z gałązki na gałązkę, przyśpiewując wesole piosenki; a ze wszystkich najcudowniejszy odzywał się słowik w krzewince.

Ojciec zatrzymał się na chwilę z Kaziem i przysłuchiwali się wdzięcznemu śpiewaniu.

— Jakżeż się cieszę, drogi Tato! — zawołał Kazio — że mię ze sobą wzięłeś na tę przechadzkę. Jakież to ładne śpiewanie! Szkoda, że Władzio tego nieśłyszy.

— Leniuch niemoże tego widzieć i słyszeć — odrzekł ojciec — co widzi i słyszy pilny; i poprowadził go dalej.

Nad brzegiem rzeki, pod rozłożystymi lipy, stał białutki domek; przed domkiem pod lipą był stół i ławeczka; na stole zaś mleko, bułeczki i świeże masetko. Kaziowi jeść się chciało po długiej przechadzce, zajadał też śniadanie smaczniej niż kiedykolwiek.

— Kochany Tato! — mówił, gdy mieli wracać do domu — jak żyję, niewiedziałem jeszcze tak pięknego poranka; proszę cię, gdy zaśluzę, weź mię znowu kiedy na taką przechadzkę.

Ojciec przyrzekł mu, i często go na przechadzkę wyprowadzał, bowiem był to pilny chłopaczek i lubił rano wstawać. Władzio zaś nigdy wstać niechciał tak rano, dla tego nic się nienauczył i do niczego niedoszedł w całym życiu.

33. Sprawiedliwy sędzia.

Był jeden bogaty i zaszczytami obsypany mąż, który pełnił urząd sędziego z ścisłą surowością. W są-

dach swoich trzymał się przepisów prawa ledwie nie na ślepo. Na żadne wstawienia się nie miał względu, a téż i największemi pieniędzmi przekupiłby się nie dał. Szanowano go bardzo, bano się jeszcze bardziej, ale miłości wcale nie miał u ludzi.

Pewnego dnia siedząc sobie na ganku, gdy zapatrywał się zachodowi słońca, wspomniął, że i jego życie także tak zgaśnie, może lada dzień, lada chwila, bo już téż latami dobrze był nachylony do grobu.

— Dzięki Bogu! — myślał w duszy — spokojnie, jak to słońce, mogę się rozstać z tym światem; bo jak to światło niebieskie oświecało równie złe jak dobre uczynki, tak i ja, wyświecając złe i dobre sprawy ludzkie, zyskałem imię sprawiedliwego sędziego. Nikogom nieukrzywdził, nikogo niesłusznie nieobwinił. Występny i oszukaniec zawsze surowie był przezemnie ścigany, bom umiał wymacać wszystkie jego skrytości. Spokojnie więc mogę położyć głowę; za sprawiedliwość na ziemi, czeka wieczna nagroda w niebie.

Tak mówił sędzia i rad z siebie przechadzał się po dziedzińcu.

Wtém ujrzał przechodzącą Zuzannę, ubogą komornicę; a poznavszy ją, zawołał z daleka: — a niezapominaj no, że od ciebie czynsz się należy i podatek. — Biędna wdowa przybliżyła się doń z pokorą, trzymając jedno dziecko na rękę, drugie, starsze, prowadząc, i rzekła z niskim ukłonem: — Panie mój, znasz naszą nędzę i upadek; Bóg świadkiem, zapłacić niemogę.

Sędzia odpowiedział groźnie: — Niezapłacisz? w takim razie prawo sobie poradzi. Kto się uiszcza regularnie z powinności swoich, ten tylko może się spodziewać litości u mnie.

Rozpłakała się uboga wdowa, znając surowość sędziego. On zaś spojrzął na nią z pogardą, i skinął, by precz odeszła.

Zdarzyło się, iż w tej okolicy panowała zaraźliwa gorączka, na którą umierało wiele ludzi. I Anioł pański nawiedził także dom sędziego, a oraz stanął przed łóżem ubogiej komornicy.

Sędzia przeczuł postać śmierci; myśli jego pomięszwały się i w oczach zrobiło się ciemno. Nagle ujrzał się w jakimś gmachu pełnym światła i wspaniałości; był to tron Najwyższego, i on stał przed nim. Chóry aniołów otaczały w uroczystym milczeniu tron boski, z którego taki blask uderzał, że oczu podnieść nieśmiały, tylko je spuścić na siebie. Ależ jakże się zdrygnął i przeraził, gdy postrzegł na swoim odzieniu same błoto i plamy, — aniołowie patrzyli na niego, a on wstydem spłonął i cofnął się.

Aż oto, o kilka kroków przed nim, klęcząca jakaś postać w szacie białej jak śnieg i przejrzystej, która gdy opromienioną twarz podniosła, sędzia poznał w niej komornicę Zuzannę, na którą często patrzył z pogardą; ten widok go przeraził, i rzekł do siebie: — Czy podobna, aby taka prostaczka stawiała się przed Bogiem w szacie, jaką aniołowie noszą; a ja wierny sługa sprawiedliwości, żebym się w łachmanach pokazał?

Wtém grzmiący głos zawołał go po imieniu; sędziego mróz przeszedł od stóp do głowy, bo przeczuł, że się straszny sąd nad nim zaczyna. Przed jego oczyma pojawił się obraz; było to więzienie; na zgnitłej słomie siedział więzień i wstrząsał kajdanami. W tym więźniu na pierwsze spojrzenie poznał jednego ze swoich dłużników, którego niegdyś był ścigał całą surowością prawa; obok słyhać było łkanie opuszczonej małżonki i kwilenie głodnych dzieci, wołających do niego: — Wydarłeś nam więcej niż życie, bo zabierając nam ojca, skazałeś na głód, na nędzę i wstyd!

Śmiertelna bladeść okryła oblicze sędziego, gdy wyczytał przed sobą płomienisty napis pańskiego wyroku: — Jaką miarką mierzysz, taką ci będzie oddane.

W téj chwili straszny grom zatrząsł niebieskie sklepienie, a oko przedwiecznego Boga błyszczało w ciemności jak trawiący płomień; i głos dał się słyszeć: — Spójrz na swoją szatę, czybyś śmiał stanąć w niej przed oblicznością pańską?

Sędzia zakrył sobie oczy i zachwiał się na nogach.

— Jakiego się trzymałeś prawa? — pytał głos.

— Szedłem za sprawiedliwością — wyjęknął sędzia.

I oto otworzyła się przed nim ciemna brama, z której przestrasch wyglądał jakby z głębi grobu.

I głos znowu zawołał: — Zuzanno! — a głos to był wdzięczny i miły, jak chłodne tchnienie wietrzyka w dniu gorącym; sędzia usłyszał te wyrazy:

„Zbliź się do mnie Zuzanno! miłość zmasała wszystkie twe grzechy; zbliź się sprawiedliwa niewiasto, coś wolata znosić nędzę i głód, niż przeklinać swego prześladowcę! Pracowałaś dla drugich w pocie czoła, a oni ci zatrzymali zapłatę. Nędza na ciebie przyszła i nikt nie miał litości nad tobą! Dłużników swoich niepowoływałaś przed sądy, i gdy twój pracy znowu potrzebowali, służyłaś im ochotnie, ponieważ czułaś ich potrzebę, jak swoją własną, a nadto nosiłaś w sercu przykazanie twego Zbawiciela i tę nieograniczoną miłość, która wyższa jest nad wszelkie ludzkie prawa i ustawy.“

I oto dwaj aniołowie zstąpili z niebieskiego tronu, niosąc wieniec życia wiecznego, który włożyli na czoło świętobliwej niewiasty, a tymczasem chóry aniołów śpiewały hymn: Zbawiony, kto żyje w miłości! albowiem żyje w Bogu, a Bóg w nim; jedna miłość zbawia na wieki!

Sędzia wyciągnął ramiona do tych niebiańskich postaci, lecz przed nim otworzyła się szeroka przepaść, która go oddzieliła od wybranych; ciemności nocne ogarnęły go, a grom pański ryczał nad głową i pod nogami; w téj okropnej chwili zbudził się sędzia.

Przestraszony, obłany potem, zerwał się z łoża i

zawołał: — Chwała Bogu! to tylko był sen! Oczy jego szukały blasku dziennego, i niemogły się od niego oderwać, jak tonący od pobrzeźnej skały. Wtém ciszę poranka przerwało bicie dzwonów, i prawie pod jego oknami rozległ się głos żałobny. Była to Zuzanna, biedna komornica, która umarła na gorączkę i teraz ją prowadzono na cmentarz. Za trumną szły płaczące dziatki, i kilku sąsiadów i sąsiadek oddawało ostatnią usługę.

Sędzia martwy jak kamień patrzył na pogrzeb, a w jego sercu budziło się coś, jakby nowe życie. — O wszechmogący Boże! — zawołał — pozwól mi jeszcze pożyć jaki czas, ażeby ten promień litości, który na mnie zesłałeś w śnie ostrzegającym, przejął mię na wskrós, i wydał ze mnie owoc pożyteczny Panu.

I upadł na twarz, i ukorzył się przed Bogiem w łzach i skruszeniu, gdyż dopiero teraz poznał, że był najnikczemniejszym z ludzi, chociaż mu się zdawało, że niebyło nadeń sprawiedliwego człowieka.

Kiedy zaś biedne sieroty powróciły z grobu Zuzanny, wziął je za ręce, wprowadził do swego domu i odtąd opiekował się niemi jak własnymi dziećmi.

Od tego czasu sprawiedliwość i miłość chrześcijańska stały obok siebie w każdym jego czynie i wyroku; bowiem nauka, którą odebrał we śnie, mocno wryła się w pamięć; mając przedewszystkiem na myśli osiągnięcie wiecznego zbawienia, rządził się czystą miłością, która jest najlepszym prawem na ziemi.

34. Mały pastuszek.

Pewien bogaty pan przejeżdżał około pagórka, gdzie siedział pastuszek i na całe gardło wyśpiewywał wesołą piosneczkę. Kilkanaście owieczek pastowało na wzgórkach, które, jeżeli się daleko rozbiegły, spędzały do kupy czujny piesek.

Odzieżek na chłopaku był lichej i podarty, ale

twarz miał rumianą i ożywioną, jak pączek róży, a w oczach jego błyskało szczęście i radość, a głos z pełnej piersi rozlegał się po dolinach.

Podróżny pan niemógł się nasycić widokiem rzeckiego pastuszka; wdał się z nim tedy w rozmowę; na każde zapytanie chłopak odpowiadał rozsądnie i przytomnie, aż przyszło do tego, iż mu wyznał jako niema ani ojca, ani matki, i że będąc sierotą, sam musi na kawalek chleba pracować. — Rozczulilo się serce obcego pana, wziął chłopaka za rękę, kazał się zaprowadzić do jego gospodarza, któremu powiedział: — Odstąp mi tego sierotę, wezmę go do siebie, i o jego wychowaniu i przyszłości pomyślę.

I tak się też stało, i chłopak mieszkał w mieście na dworze bogatego pana; miał piękne suknie, smaczny stół, i pełno kosztownych zabawek, zgoła wszystko, co tylko zechciał. Jednej mu tylko rzeczy niedostawało, to jest, złotej wolności, szerokich pól, łąk, różnych owieczek, przywiązanego i swawolnego pieska. Niewidował ani wschodu słońca, ani blasku księżycy w szemrzącym strumyku; ogród przy pańskim pałacu otoczony był wysokim murem; a kiedy chłopak chciał zanucić swoją wieśniaczą piosenkę, zdało mu się, jakoby kamień ciężył na piersi; i zaraz go porywała tęsknota, zwieszał głowę i smutny wałęsał się po wyspanych ścieżkach ogrodu. Z chłopca chciano zrobić uczzonego i dobrze wychowanego młodzieńca; dano mu kilku nauczycieli, mających go uczyć różnych rzeczy pożytecznych. Ale w jego sercu coraz było tęskniej, a w głowie coraz się bardziej płatało; jeżeli miał pisać, a wziął pióro do ręki, zaraz rysował owieczki, pagórek i na pagórku chłopczyka — i kiedy skończył obrazek, przykładał go do twarzy i gorzko zaczynał płakać. Zdarzyło się, iż ów pan wszedł był przypadkiem do pokoju i zastał chłopca oblanego łzami; gdy mu spojrzał w oczy, uderzyła go zmiana na twarzy

dziecka, gdzie widoczny przebijał się smutek; — już nawet niepytał o przyczynę tej żałości, bo zobaczywszy obrazek, zaraz dorozumiał się wszystkiego.

— Dziecię moje — rzekł pan — chciałem zabezpieczyć ci przyszłość i zrobić cię szczęśliwym. Obierz sobie stan, który ci zdaje się być najszczęśliwszy, a ja dogodzę twojemu życzeniu.

Posępne oko chłopczyka rozjaśniło się nagle; podniósł ręce do swego wspaniałego dobroczyńcy i zawołał: — Panie! pozwalasz mi wybierać; a więc odeślęj mię na wieś, i pozwól, abym paś owieczki na zielonym pagórku.

Bogaty pan wzruszył się jego prostotą; wziął go i napowrót do owieczek zaprowadził, rozważając w swęj myśli: — Jakżeż Pan Bóg w mądrości swojej na każdy stan rozdzielił szczęście! Jakżeż nierozsądnie postąpiłem, litując się nad tym chłopciem, który w ubóstwie i prostocie swojej czuł się tak bogatym i szczęśliwym, że wszystkie moje skarby ani szczęśliwszym, ani bogatszym zrobiłby go niemogły.

35. Sierota.

Doroślejsze dzieci z całej wioski poszły w niedzielę po południu do parafialnego kościoła słuchać nauki i katechizmu; w ich liczbie była i Marylka, biedna sierota, co nawet niepamiętała swoich rodziców, a tylko zostawała na łasce u swego wuja i wujenki.

Po skończonej nauce, kiedy ksiądz pleban odprawiał dziatki do domu, tak do nich przemówił: — Idźcie mile moje dzieci, i niezapominajcie, że każde z was powinno dobrze czynić dla przypodobania się Panu Bogu; tak wielcy, jako i malutcy, tak bogaci jako i ubodzy, wszyscy w miarę swęj możności; albowiem niema nikogo takiego, coby niebył w stanie wyświadczyć usługi lub okazać się miłosiernym.

Marylka wracając z kościoła zaczęła gorzko płą-

kać i tak sobie mówić: — W moich małych latkach komuż ja mogę usłużyć? Biedna sierota nic niemam, nic mi niewolno . . . więc też się niczem niepotrafię przypodobać Panu Bogu!

Niechając ludziom przechodzącym drogą pokazywać oczek czerwonych od płaczu, oddaliła się od drogi; a wiedząc przytém, że nikt na nią w domu nie czeka, albowiem wujaszek ją biął, a wujenka, zatrudniona własnymi dziećmi, niedbała o sierotę, więc usiadła pod krzaczkiem polnej róży. Siedząc tak, postrzegła, że krzaczek bardzo był suchy, listeczki miał żółtkłe i zwiędłe, a różyczki żałośnie zwieszały główkę. — Żal mi cię krzaczku, umieras z pragnienia, bo dęszczyk niebieski dawno cię niezrosił — rzekła Marylka, i powstawszy pobiegła do strumyka, który tuż płynął, i tyle razy w małych dłoniach przynosiła wodę i podlęwała krzaczek, że prawie w jej oczach odżył na nowo, listeczki odświeżyły się, róże podniosły główkę i zdały się do niej uśmiechać.

Marylka poszła dalej, idąc ścieżeczką nad brzegiem strumienia, na który patrzyła zazdrośnie. — Szczęśliwy strumyczku! — rzekła — oddałeś przysługę krzaczkowi; ja tylko biedna niepotrafię przypodobać się Panu Bogu.

Idąc wciąż dolinką, kędy płynął strumyk, postrzegła wielki kamień, który mu przeszkadzał biędz swobodnie i sprawiał mruczenie. Marylka ulitowała się nad nim, i w jednym mgnieniu stała w wodzie do kolan. Długo napracowało się i napociło biedne dziewczę, nim poruszyło kamień z miejsca i nim go odtoczyło aż na brzeg; lecz za to uczuła wielką radość, gdy obróciwszy się widziała strumyk płynący swobodnie, który falami swemi zdał się jej wdzięcznie uśmiechać.

Marylka oddalając się rzekła z westchnieniem, spojrzawszy na kamień okiem zazdrośnym: — o jakżeś ty szczęśliwy mój kamyku! usunąłeś się i potok płynie

spokojnie, niedoznając przeszkody Ja tylko jedna niczem niemogę się przypodobać Panu Bogu!

Gdy się coraz ku wieczorowi miało, Marylka w obawie, by niezabłądzić po nocy, czémprędzej pospieszała do wsi. Już była blisko pierwszej chaty, gdy wtém postrzegła pod plotem dziecko, zostawione przez matkę, która poszła zaganiać bydło do zagrody. Matka chcąc zabawić chorą dziecięcę, zrobiła mu była młynek z cieniutkich deszczulek, osadzonych na kijku; lecz wietrzyk ku wieczorowi ustał, młynek się nieobracał, a chore dziecię bardzo, bardzo płakało. Widząc to Marylka, ze wszystkich sił zaczęła dmuchać na młynek, który się prędko obracał; ucieszone dziecko przestało płakać, wyciągnęło rączkę i śmiało się wesolutko, a nacieszywszy się, po krótkiej chwilec usnęło.

— O jakżeś szczęśliwy mój wietrzyku! — mówiła Marylka, myśląc o nim z zazdrością — z twojej przyczyny uspiło się dziecię, i matka się ucieszy, gdy wróci.

Poczem Marylka niebawem przybiegła do domu. Nieprzestąpiwszy jeszcze progę, już usłyszała głos swego wuja, który był podpity; zadrzała ze strachu, przeczuwając, jakie ją spotka nieszczęście. . . . Zaledwie bowiem drzwi otworzyła, wuj, który miał w ręku kij gruby, tak ją nim potężnie przywitał w główkę, że tylko raz żałośnie jęknąwszy, martwa i blada upadła na ziemię.

Wuj Marylki, na widok nieszczęścia, którego sam był sprawcą, prędko się opamiętał i zaczął ręce łamać a rozpaczać; wujenka również krzyczała w niebogłoty. Niewiedząc innéj rady, wzięli biedną sierotkę i zanieśli na łóżko, pokładwszy kolo niéj święcone wianuszki, i zapaliwszy gromnicę. . . . Nic to niepomogło! Marylka leżała bez życia, a ich płacze i narzekania niezdolały go jéj powrócić!

Kiedy tak wujaszek i wujenka wzajemnie obwiniają się o śmierć Marylki i tylko załamują ręce, wtém na-

gle na oścież otwały się drzwi do izby, i woda ze strumyka mruczając przybiegła do łóżeczka umarłej, podniosła się, zwilżyła blade jój lice, napoiła usteczka i zrosiła od stóp do głowy. Oczy Marylki, dotychczas zamknięte snem wiecznym, otwały się do połowy, a po wszystkich członkach lekkie przebiegło drgnienie. — Dobra Marylko! szepnęły po cichu drobniutkie fale strumyka, byłaś nam pomocą, przychodzimy wywdzięczyć się za twoje dobro.

Po małej chwilce wszedł krzaczek różany, i na całą izbę rozeszła się woń przyjemna; krzaczek zbliżył się do Marylki, jedna róża przytuliła się do jój usteczek, druga do lica, i powróciła im żywy rumieniec. W końcu tak przemówiła róża: — Wróciłaś nam życie, kiedy już miałyśmy ginąć bez wody; teraz nawzajem przychodzimy ocalić cię od śmierci.

Różyczki odeszły, wtém wiatr otworzył okienko, przyleciał do Marylki, tchnienie swe wlał w jój piersi, i odtąd zaczęła swobodnie oddychać; serce znowu biło, a na ustach krążył maleńki uśmiech.

Wiatr odleciał, i wszedł anioł z długimi srebrnymi skrzydłami. — Marylko! Pan Bóg mię przysyła do ciebie; czyniłaś dobrze, o ile było w twojej mocy; z dobrych uczynków nieszukałaś chluby, za to stałaś się miłą Ojcu niebieskiemu, który mię przysłał i kazał to powiedzieć. — Usłyszawszy te słowa Marylka, zerwała się z łóżka i padła na kolana przed aniołem, który zniknął, zostawując po sobie wielką światłość w izbie.

Opiekun przerażony tak cudowném zjawiskiem, już nigdy nieoddawał się nałogowi pijaństwa; żona jego również o tyle stała się lepszą, łagodniejszą, o ile wprzód była srogą i nielitościwą; i tak oboje pokochali odtąd biędną sierotę jakby własne dziecko. Marylka rosła z każdym dniem w pobożności, w miłości i mądrości chrześcijańskiej, i przez całe życie swoje czyniła dobrze, aby się Panu Bogu przypodobać.

36. Siów boży.

Dwóch podróżnych razem odbywało drogę. Pewnego dnia, gdy dla wypoczynku zaszli do karczmy, stojącej podewsią, nagle postyszą bicie na gwałt w dzwony, i rozlegające się krzyki, że pożar we wsi. Jeden z podróżnych, aczkolwiek długą drogą bardzo zmęczony, zerwał się, rzucił swój kij i tłumoczek, i chciał biedz na ratunek. Lecz wstrzymał go towarzysz i rzekł: — POCO czas na darmo tracić? obejdzie się tam bez nas; wręście, co nas obchodzą ci ludzie, których nieznamy?

Ale te słowa niewstrzymały zanego młodzieńca; cwałem poskoczył do palącego się domu, towarzysz z daleka tylko szedł za nim, a położywszy się na pagórku, był tylko widzem pożaru.

Przed gorejącym domem biegła z rozpuszczonymi włosami nieszczęśliwa matka, która załamując ręce, żałośnie wołała: — Dzieci, moje dzieci się palą!

Gdy to postyszał szlachetny podróżny, bez namysłu rzucił się między spadające belki i buchający płomień; ludzie zaś ze wsi mówili: — już on z tamtąd niewyjdzie!

A jednak ledwie kilka minut ubiegło, odważny młodzieniec wybija okno i pokazuje się w niem z dwójgiem drobnych dzieteczek, które nienaruszone oddał na łono matki. Uszczęśliwiona niewiasta ucałowała swoich malców, a potem padła do nóg wybawcy, który ją podniósł i pocieszał w strapieniu; — gdy tymczasem dach domu runął i cały budynek zamienił się w jeden stós gorejący.

Gdy podróżny powracał do karczmy, spotkał go ów obojętny towarzysz, i rzekł do niego z politowaniem: — Osmalites sobie włosy, popalites suknie, sam mógłtes życiem przyptacić. Któż ci kazał narażać się na takie niebezpieczeństwo?

Wspaniały wybawca taką mu dał odpowiedź: — Kazał mi ten, co przykazuje rzucać ziarno na rolę, ażeby się przyjęło i wydało plon.

— A gdybyś się był w gruzach domu zagrzebał?

— Wypełnitbym powinność — odrzekł młodzieńiec — stałbym się tém samém ziarnem, które rzucaamy na rolę, aby plon obfity wydało.

37. Najpierwszy ból.

— Och matko! — wołała z płaczem Adelka, — przyleciała niedobra osa i ukąsiła mię! patrz, jak mi ręka napuchła.

I matka oglądała rączkę, która poczerwieniała i zaogniła się; Adelcia zaś nieprzestawała jęczyć i płakać.

— Potrzeba ci tego było, moja Adelciu! — rzekła matka — gdybyś była zachowała się spokojnie i nieodganiała osy, jestem pewną, żeby cię nieuknęła. Ale żeś gonila za nią, a możeś i zabita, nic dziwnego, że się zemściła żądłem. Teraz przez kilka dni będziesz ból cierpieć i mieć spuchniętą rękę.

— Ależ, matko! — rzekła Adelka — czy podobna cierpliwie znosić kiedy osa brzęczy, a tém bardziej kiedy ukole, to tak boli, więc dla tego ją zabiłam.

— Dziecię moje, jeżeli w małej rzeczy będziesz tak niecierpliwą, jakżeż potrafisz w dalszym wieku znosić większe boleści i przeciwności? Powiadałam ci nieraz, że ukąszenie osy jest nieszkodliwe, jeżeli je cierpliwie zniesiem; — to samo możnaby powiedzieć o wszystkich cierpieniach w życiu naszém. Znieść cierpliwie i wytrzymać daleko jest lepićj, aniżeli gwałtownie rzucać się i zżymać. Każdy ból, na który niecierpliwimy się, tém jadowitsze żądło w sercu naszém zostawia; przeciwnie zaś każda rana, znoszona spokojnie, prędko goi się, i niezostawia po sobie ani wyrzutów sumienia, ani żalu. Dziecię moje, zachowaj sobie tę naukę na zawsze. Jeszcześ maleńka, i doznawałaś

samych tylko przyjemności i roskoszy, ale przyjdzie czas, gdzie będziesz musiała zapłacić dług życia i niejednej boleści i przykrości doświadczyć. Wtedy wspomnij sobie na osę, i zastosuj tę naukę, którą ci dałam, do cierpień i utrapień, któremi niebieski Ojciec dzieci swoje doświadcza.

— Powiedz mi matko, dla czegoż tyle cierpień i boleści na tym świecie? — zapytała nieśmiało Adelka.

— Oto dla tego, abyśmy podwójnie umieli cenić każdą przyjemność i szczęśliwość. Jak ci się zdaje, moja Adelciu, czyby to piękny był obraz, na którymby niebyło widać żadnych cieni, tylko same światło? Czyżby nawet i mile promienie słoneczne, i błękit niebios, potrafiły nas tak zachwycać, gdyby od czasu do czasu niezastaniały ich ciemne chmury?

Na to uśmiechnęła się Adelka i rzekła: — Jeżeli ból przyjdzie, zaraz sobie pomyślę, że to chmura; i cierpliwie czekać będę aż przejdzie i słońce znowu zaświeci.

Słyszac to matka, przycisnęła ją do piersi, a podnosząc oczy w górę, pomyślała w duchu: — Boże mój, pozwól, żeby pierś moja była tarczą téj dziecinie, żebym ją zastaniała od burzy życia, i wszystkie bóle zносиła za nią!

38. Tajemnicze kwiaty.

Dwóch aniołów z przyjsciem wiosny zstąpiło na ziemię, aby się cieszyć skrzętnością i pracowitością ludzi. Zatrzymawszy się przed łąnem jakiegoś bogacza, który całą równinę pokrywał, patrzali na chwiałące się pozłociste kłosy, mające wkrótce wydać plon bogaty.

Obok pańskiego łąnu był wązki zagon, uprawiany potem i ręką jakiegoś ubogiego rolnika. Rzadkie i chude powschodzily tam kłosy, nieobiecujące wielkiego

plonu; gdyż biedny rolnik niemając czém sprawić, ani zasiać, zdał wszystko na opatrzność bożą.

Aniołowie spojrzeli po sobie i jeden ozwał się: — Powiedz, czémby można człowieka poruszyć, aby uboższemu od siebie sąsiadowi udzielił coś z darów bożych, które nań obficie spłynęły?

— Podsunę mu dwa godła, dwa kwiaty zasieję w zbożu, których piękność i kształt uroczy tajemniczym i znaczącym głosem przemówią do niego. Jeden będzie niebieski jak błękit niebios, dla tego, aby oczy swoje tam zwracał, z kąd płynie wszelkie błogostawieństwo i pożytek; drugi będzie świecił jak płomień miłości, z pośród złocistych kłosów, przypominając człowiekowi, że ofiara Bogu najmiłsza jest ta, kiedy zbytek swych bogactw z ubogim podzieli.

Tak mówił anioł, i kazał rosnać błękitnym bławatkom i czerwonemu makowi pomiędzy złocistemi kłosy; towarzysz jego radował się piękności tych kwiatów, i oba wzięwszy się za ręce, przebiegali wzdłuż i w szerz łąny, wszędzie rozsiewając mak i bławatki.

Lecz kiedy przybyli nad wązki zagon uboższego rolnika, w te słowa odezwał się drugi anioł do swego towarzysza: — Obdarzyłeś bogacza miłym podarkiem, teraz na mnie kolój, abym ubogiemu pamiątkę zostawił. I nachylił się ku ziemi, i zasadził drobny kwiateczek, który wyglądał jak oczko proszącego o litość. Kwiatek ten nazywał się niezapominką; przeznaczeniem jego było przemawiać za ubogimi do serc bogaczy.

Z zadumieniem patrzył pierwszy anioł na malutki kwiatek, w końcu westchnął i rzekł: — Oby tylko syn szczęścia przechodząc koło ubożuchnego zagonu, mógł cichą prośbę zrozumieć, usłyszyć jęk niedostatku! — Dla tego, bracie mój — tu oko jego zabłysło nieograniczoną miłością — dodajmy do tych kwiatków jeszcze inny, któryby bogaczowi przypomniał, że przed

Bogiem niema różnicy, i że Bóg chce braterstwa między swými dziećmi. — I to rzekłszy, uszczknął z swego wieńca gałązkę, złączył ją z gałązką drugiego anioła i zasadził w ziemi kwiatek dwoistój barwy, zwany powszechnie bratki. W mgnieniu oka kwiatek się rozkrzewił, tak po łanach bogacza, jak na zagonie ubogiego.

Owoż kiedy ubogi rolnik przyszedł oglądać owoc rąk swoich, jakże mu się wszystko miłém wydało, jaka słodka nadzieja wstąpiła w jego serce! złożył więc ręce i wznosząc je do nieba, zawołał: — Chwała ci Panie! dziękujemy ci za to, co nam dajesz; — jeżeli zbiór niewystarczy na chleb dla mojej żony i dzieci, wzbudisz litość w sercach bogaczy i podzielą się z nami jak z braćmi.

Kiedy zaś nadszedł czas żniw, a bogacze oglądali obfity plon, jeden z nich zawołał, wskazując na tajemnicze kwiaty: — Zkąd się to niepotrzebne zielsko wzięło? — I zaraz kazał wyrwać i spalić. Drugi zaś bogacz słysząc to, zadumał się głęboko, i zrozumiał, co mówił do niego kwiat błękitny; a gdy czerwony postrzegł, stanęła mu na myśli ofiara miłości. Poczém poszedł ku zagonowi ubogiego i tam ujrzał niezapominkę i bratki; ten widok wytłumaczył mu tajemną wolę opatrności; jakoż zaraz udał się do biédnego sąsiada, i tyle mu dał zboża, że przechodziło prawie potrzeby jego rodziny.

39. Sen Joba.

Gdy nadszedł czas ciężkiego doświadczenia na Joba, gdy wszystkie dolegliwości na niego się zwały, a Pan, który próbując jego wierność, coraz nowe cierpienia nań zsyłał; kiedy szczęście i zaszczyty, świetność i zdrowie odjęte mu zostały, a on srogiemi męczarniami dręczony gorzkie skargi wylęwał; wtedy Pan rzucił spojrzenie pełne litości na nędzarza, który z wysokości swój wiary spadłszy, leżał w zwątpieniu i rozpa-

czy, i rozkazał aniołom swym, aby mu ochłodzili rozpalone czoło, i orzeźwiający sen spuścili na niego.

W tym śnie zdało się Jobowi, jakoby korona zdobyła mu skronie, siejąca tak jasny blask do koła, iż z daleka i z bliska przybywali pielgrzymowie, a zapaliwszy u niej pochodnie, pełni pocieszenia, dalej odprawowali swą podróż, albowiem dolina, do której zmierzali, była ciemna i okropna.

Na to westchnął Job, wspomniawszy na drogi umartwienia, które niegdyś przebywał, i zaraz wszystkie jego bóle ocknęły się w nim, i w głos zapłakał.

I oto schyliła się nad nim promienista postać, odzywając się wdzięcznym głosem: — Czemu narzekasz Jobie? Azaliż cię Bóg nie wybrał za gwiazdę przewodniczkę dla wszystkich cierpiących braci, dla tego, żeś z świętą cierpliwością znosił najsrozsze cierpienia? — Azaliż lzy twoje nie zamieniły się w perły i drogie kamienie, które stały się ozdobą korony wieńczącej twoje czoło? Wzniesź oczy i skieruj je w przyszłość! Czyliż chwile ciężkich doświadczeń, jakie przebyłeś, nie znikają by ziarnka piasku w morzu, w porównaniu tych długich i nieskończonych wieków, przez które twoja wierność, twoje poddanie się, twoja cierpliwość, błogostawieństwem splywać będą na cały rodzaj ludzki? Dla tego właśnie, że nad tobą ociążała ręka Pańska, a tyś był niewinny, imię twoje nie będzie zapomniane za tysiące tysięcy lat; jeden drugiemu przykład twój podawać będzie, tysiące cierpiących pójdzie za twoim wzorem, mówiąc pobożnie twoją modlitwę: Bóg daje, Bóg bierze, niechaj się święci Imię Pańskie! — Tyś to się stał pomocnym światłem dla pielgrzymów ziemskich! Do ciebie przyjdą szukać pociechy, a ty im drogę wskażesz przez doliny umartwień i smutków, aby podobnie jak ty zasłużyli na nagrodę, którą ci Pan zgotował.

Tak mówił anioł; Job zbudził się; a zerwawszy się z łoża boleści, zawołał: — O Panie, zrozumiałem

Twój głos; oczy moje ujrzały Cię. Odtąd już żadna skarga ust moich nie splami. Chłostaj mię, doświadczaj, jak Ci się tylko podoba; tylko miej miłosierdzie nad moją skruchą, albowiem chcę pokutować przed Tobą w prochu i popiele! Tyś Pan mój, a ja Twój sługa.

Tak mówił Job i upokorzył się pod ciężką ręką swojego Boga. Ale Pan Bóg poznał serce jego, i zaprzestał go więcéj doświadczać. Podwójną miarką oddał mu co był zabrał; imię jego uczynił sławne i głośne po szerokim świecie, i sownice wierność swojego sługi nagroził.

40. Obecność boska.

Zkąd wracasz mój synu? gdzie byłeś? coś widział?

— Byłem na łące, mój ojcze; o daleko ztąd, daleko. Deptałem trawki, zrywałem kwiatki, goniłem motylki; na błoni pasły się wolki i krówki; jedne biegaly do strugi i pily, drugie kładły się w cieniu i odpoczywały, a pastuszek sobie siedział i przegrywał na multance.

— I nic nie widziałeś więcéj? I nic nie zajęło twojéj uwagi? Wracajże synu na łąkę, a znajdziesz rzeczy godniejsze zastanowienia.

Pan Bóg tam jest na błoni; czyżeś go nie widział? Jemu to łąka winna swoją zieloność i kwiatki, jemu słońce winno, że tak pięknie świeciło.

— Przechadzałem się, mój ojcze, w ciemnym i gęstym boru; łagodny tam wietrzyk poruszał gałęziami; strumyki szemrzały, spadając po kamykach, jam stawit na nich młynki; wiewiórka skakała z gałazki na gałazkę, a jam ją gonił; słowiki śpiewały w krzaczkach, jam usiadł pod drzewem i słuchał słowików.

— Toś nic więcéj nie słyszał, tylko szmér strumyków, świegotanie ptaszków i powiów wiatru między liśćiami? Za to wracaj moje dziecię do boru, a ujrysz i usłyszysz więcéj jeszcze rzeczy.

Pan Bóg przechadzał się między drzewy, jego głos

dawał się słyszeć w mruczeniu strumyka, w śpiewie słowików; czyżeś nie zrozumiał boskiego głosu?

— Widziałem, mój ojcze, wschodzący księżyc nad drzewami lasu; zdawał mi się być lampą zawieszoną na obłokach; gwiazdki, maleńkie jak oczka, jedno po drugim zaczęły pokazywać się na niebie. Ale nie długo na to jasne niebo wystąpiły zkadés chmury coraz czarniejsze; z tych chmur wypadła błyskawica, zaczęło grzmieć z razu daleko, potem nademną, i pioruny aż strach dokoła biły; przeląkłem się bardzo, mój ojcze, zacząłem uciekać do domu, a nademną wciąż trzaskaly pioruny.

— A więc mój synu, bałeś się tylko piorunów i grzmotów? Nie widziałeś nic więcej tylko błyskawice? Idźże napowrót słuchać piorunów; idź i rachuj każdą błyskawicę, a dowiesz się od nich o wielkich cudach.

Sam Pan Bóg był w téj burzy; on to chmury błyskawicami przerzynał; on ciebie przestraczem przejmował; czyżeś nie poznał Boga?

Pamiętaj sobie dziecię moje, że Pan Bóg jest wszędzie i na każdym miejscu, tak na niebie, jak na ziemi, jak na morzu. On to mówi do nas we wszystkiém, co twoje oczy, twój słuch zajmuje; i nic nie masz, ani najdrobniejszej trawki, ani najmniejszego robaczka i muszki, coby nie świadczyło o obecności boskiej.

Niechże odtąd, synu mój, Pan Bóg będzie u ciebie zawsze w pamięci, i strzeż się go obrażać; bo oko boskie patrzy na wszystko, co robisz, co nawet robić zamysłasz.

ROZDZIAŁ III.

Powiatki wschodnie.

1. Początek powieści.

Starzy jak młodzi, wszyscy zarówno lubimy powiatki, i chciwie słuchamy opowiadań, które nas przenoszą w upłynione czasy, w ten wiek złoty, kiedy ziemia w bliskim stosunku zostawała z niebem. Miło w powieści błąkać się po czarownych krainach, widzieć ludzi niewinnych, naturę młodą, bo taka powiatka jest jak balsam na serce cierpiące.

W takim szczęśliwym świecie, niedługo po stworzeniu, siedziała piękna Prawda na pochyłości pagórka ozłoczonego zachodzącym słońcem. Patrzała ona w niebo wypogodzone, z którego powoli znikąca światłość słoneczna, gdy wtém Kłamstwo zbliżyło się do niej i rzekło z wdzięcznym uśmiechem:

— Jeżeli chcesz być moją małżonką, o piękna Prawdo! jeżeli chcesz być moją, zostaniesz panią tych wszystkich bogactw, jakie tylko wyobraźnia stwarza.

— Niechcę cię — rzekła Prawda, wyrrywając się z objęć Kłamstwa.

— Ależ, bo kocham cię nad życie — mówiło Kłamstwo, przytrzymując ją.

— Wolę, żebyś mię nienawidziło.

— Okrutna Prawdo! jeżeli mi każesz się nienawidzić na wieki, pozwól przynajmniej dotknąć mi ust twoich, a stanę się lepszą.

Prawda przełknięta chciała uciekać; lecz gwałtowną miłością uniesione Kłamstwo, opasało ją ramieniem i dało pocałunek.

Zaledwie zwodnicze usta na czystym czole Prawdy wycisnęły pocałunek, zaraz zrodziła się na świecie *Powieść* okryta fałszywemi blaski, lecz przytém tak przezroczysta, że zawsze prawda w nią przeglądała.

Powieść, córka Prawdy i Kłamstwa, przystępna jest dla wszystkich, bawi zarówno starców jak dzieci, oświeca niewiadomośc, a mądrość podsycza. Słuchajcie ją dzieci, i wysysajcie z niej słodycz prawdy, jak pszczołka miód z kwiatów i ziółek.

2. Sąd boży.

Pewien ojciec rodziny raz w dniu swoich imienin przywo-

łał swoje dzieci i dał każdemu bardzo wspaniałą szatę. Roztropniejsze z nich i umiejące szanować dary ojcowskie, kładły tę suknię tylko na wielkie święta, strzegąc od rozdarcia lub plamy, i przechowując starannie wyczyszczone i złożone; lekkomyślne zaś i te, co niedbały o dar ojcowski, dzień w dzień kładły bogatą szatę, szarżając ją po błocie, i poniewierając w pijackich i rozpustnych towarzystwach.

Owoż nadszedł taki dzień, że ów ojciec chciał dzieci swoje oglądać w podarowanych im szatach, i na to wszystkie je zgromadził kolo siebie. Roztropne i poczciwe dzieci wystąpiły chędogo ubrane, ale ladaco i głupie, w poplamionych i poszarpanych sukniach. Widok pierwszych mocno uradował starego ojca. — Zdejmcie z nich szaty — rzekł z dobrocią — zawieście je w moim najpiękniejszym pokoju, a natomiast wspanialszemi odzieście, aby dobre dzieci szczęścia doznawały razem ze mną.

Dzieci zaś z poplamionemi szatami, najgorzej były przyjęte przez rozgniewanego ojca.

— Suknie ich rzucicie w ogień — zawołał w gniewie — a te niegodne dzieci wtrąćcie do ciemnicy, gdzie płacz i zgrzytanie zębów.

W tém przyrównaniu macie obraz sądu bożego, który przyjdzie na każdego człowieka. Dostałeś od Boga duszę czystą i bez skazy, szczęśliwym będziesz, jeżeli mu taką samą oddasz; lecz biada ci, jeżeli ją okrył brudem występku lub zbrodni!

3. Ciało i dusza.

Długo wielki jeden rozbójnik grasował na świecie, pozabawiając wiele ludzi życia i tyle popełniając występków, ile miał włosów na głowie, gdy go nareście sroga Kara dosięgła na rusztowaniu, i w chwili skonania tak mówiła:

— Dlaczegoś to całe życie gwałcił prawa boskie i ludzkie? —

— Jam nic nieprzewiniła — rzekła dusza — to tylko ciało przewiniło; w pierw nim złączyłam się z tém obrzydłym cielskiem, byłam czystą jak anioł.

— A więc to ty, niegodne cielsko, gwałciłoś prawa — rzekła Kara — odbierzesz zapłatę za wszystkie niegodziwości.

— Ja zaś? — rzekło ciało — niewmawiaj we mnie. Bez duszy jestem przecież martwym trupem.

— A ja, gdyby nie ty nędzne ciało — rzekła dusza — byłabym duchem niebieskim, wyższym nad wszystko, co ziemskie i znikome.

Na to odezwie się ciało: — A więc, moja pani duszo!

z ciebie to cała wina pochodzi; odkądś wyszła ze mnie, niejestem zdolne do żadnego uczynku, ani złego, ani dobrego; patrz! czémże jestem teraz, jeżeli nie martwą bryłą?

4. Wąż.

Nie niebysza tak trudnego, jak mówić dobrze o bliźnim; a nie tak łatwego, jak mówić źle. Jeżeli ktoś w towarzystwie jakim zaczyna przyganiać bliźniemu i obgadywać go, wszyscy skwapliwie słuchają i rozmowa ożywia się; lecz jeżeli ktoś wyrwie się z pochwałą, zaraz słuchacze nudzą się, ziewają i rozmowa ustaje. Dla tego każda prawie rozmowa cokolwiek żywsza musi się toczyć z krzywdą bliźniego, czyli poprostu, jest obmową lub potwarzą. Pochwały, dawane bliźniemu, z trudnością przedzierają się przez warstwę potwarzy, gdy tymczasem złośliwy dowcip szerzy się z niepojętą łatwością.

Mędrzec pewien, znający język zwierząt, spotkawszy zjadliwego węża, który właśnie ukąsił był i zabił dziecko, zagadł go w te słowa:

— Co ci z tego przyszło, żeś to niewinne dzieciątko życia pozbawił? Lew zabija i karmi się łupem, wilk żarłoczny toż samo; ptaki drapieżne rozdierają gołąbka, aby głód zaspokoić; ty jeden tylko kłasz i jadem zabijasz niewinne istoty, bez żadnego powodu, li dla przyjemności szkodzenia?

— Dla czego mię pytasz o to? — odrzekł wąż — lepiej idź spytaj potwarcy, jakiej doznaje przyjemności, gdy jad swój wypuszcza i na śmierć rani tych, co mu nie zrobili nic złego.

5. Trzech przyjaciół.

Na dworze Szacha perskiego był Wielki Wezyr, który lubiąc pod każdym względem uprzyjemniać sobie życie, miał trzech przyjaciół; z tych każdy osobne miejsce w jego sercu zajmował, i podług tego mniej lub więcej był kochany. I tak: pierwszego kochał więcej niż samego siebie; drugiego, jak siebie; a trzeciego, mniej niż siebie.

Owoż tak serce Wielkiego Wezyra dzieliło się między trzech przyjaciół, z których każdy był przedmiotem tkliwych jego uczuć, w miarę skłonności, jaką w nim wzbudzał. Dla pierwszego poświęcał największe uciechy życia; niejedną noc strawił bezsennie, zajmując się jedynie myślami o najukochańszym przyjacielu, dla którego gotów był narazić się na największe niebezpieczeństwa.

Prawie niemniejszym przywiązaniem kochał drugiego, dając

mu ciągle dowody swój przyjaźni, przyjmując z uprzedzającą grzecznością i odgadując nieledwie każde życzenie.

Trzecim przyjacielem mniej był zajęty; często nudziła go obecność jego; ztąd nieraz przykrém go słowem uraził, ale mimo tego w głębi serca był mu przychylnym.

Ten stósunek długo zachowywał się między nimi; szczęśliwy Wezyr nigdy ani myślał doświadczać mocy przywiązania swych przyjaciół, aż do chwili, w której przekonał się dowodnie o rzeczywistej wartości każdego z nich. Pewnego dnia Szach perski rozgniewał się na niego, i kazał mu przed sądem stanąć, aby się tłumaczył z wielu oskarżeń i zarzutów. — Wezyr nie wiedząc jak się bronić, udał się do swego najlepszego przyjaciela z prośbą, aby mu towarzyszył przed sąd, i użył wpływów, jakie miał, ku wybawieniu go z nieszczęścia.

— Zatrudnienia moje — odpowiedział najlepszy przyjaciel z wyrazem pomieszania — niepozwalają mi na krok z domu się ruszyć; jeżeli jesteś niewinny, sam siebie najlepiej obronisz.

Nieszczęśliwy Wezyr ledwo swym uszom wierzył, i mimo silnych nalegań, nic niewskórał. Straciwszy nadzieję poruszyć tego niewdzięcznika, udał się do drugiego przyjaciela. Ten wierniejszy cokolwiek od poprzedzającego, chociaż mniej kochany, ofiarował się odprowadzić go do drzwi sądowych, lecz niewszedł z nim, gdyż się wymówił nagłą potrzebą wyjechania na wieś. Napróżno biedny Wezyr zaklinał go na dowody swój przyjaźni; nieadał się wzruszyć, i żadną miarą przed sędzią bronić go niechciał.

Po takim rozstaniu z pierwszym i drugim przyjacielem, niezostawało mu, jak udać się do trzeciego, chociaż bardzo mało nań liczył. Jednakże, w brew oczekiwaniu, ów zaniebdwany przyjaciel pocieszył go i wspomógł. — Nietylko, że pójdę z tobą — mówił on — wszędzie, gdzie mi pójść każesz, lecz nadto będę sprawy twój bronił przed Szachem i wpływu mego użyję, abyś się z tego procesu wywikłał.

Człowiecze! ty to jesteś Wezyrem o trzech przyjaciółach. Pierwszy, którego kochasz więcej niż siebie, są twoje pieniądze i majątek. Pochlebiasz im i nadskakujesz przez ciąg żywota; poświęcasz najpiękniejsze rokosze twego istnienia, dzień i noc rozmyślasz o nich, a jednak w godzinie śmierci, kiedy cię głos Pana Boga powoła przed trybunał, abyś zdał sprawę z całego życia, dobra doczesne niepójdą z tobą, ani cię przed sądem obronią. Drugi przyjaciel, którego miłujesz jak siebie samego, jest twoja małżonka, synowie i córki; towarzyszyć ci będą aż

do grobu, lecz tam opuszczą cię, niebędąc w stanie pójść z tobą dalej i bronić przed sądem. Trzeci zaś przyjaciel, czyli twoje dobre uczynki i cnoty, towarzyszyć ci będą na tamten świat i przed kratkami najwyższego trybunału sprawę twą wymownie obronią.

6. Złote owoce.

Wielki jeden wojownik na wschodzie, uniesiony pychą z kilku przeważnych zwycięstw nad sąsiednimi monarchiami, postanowił zawojować cały świat, i wyprawiwszy się na podbicie narodów, przybył do jednego kraju, leżącego w nieznanym zakątku Azji. Starzec, naczelnik tego spokojnego ludu, posłyszawszy o niezmiernych wojskach, wyszedł na spotkanie onego wojownika, zaprosił do swojej chaty i ofiarował mu misę złotych fig i daktyli.

— Czy u was jedzą złoto? — zapytał wojownik.

— Złota u nas nie jedzą — odparł Starzec — lecz wnoszę, że u was muszą być zwyczajne owoce; bo cóżby innego cię sprowadzić miało do naszej ziemi, jeśli nie chęć zdobycia złota?

— Nie po złoto tu przyszedłem — odrzekł bohater — ale aby poznać wasze zwyczaje i obyczaje.

— W takim razie — mówił Starzec — siedź tu z nami póki sam zechcesz. A ponieważ chcesz poznać nasze obyczaje, a zatem w twój obecności odprawię dzisiejsze moje sądy.

Po czém dwóch ludzi weszło, skłoniło się z uszanowaniem, a jeden z nich tak zaczął:

— Od mego sąsiada, który tu ze mną staje, kupiłem był kawał gruntu. Orząc i kopiąc ziemię, odkryłem skarb bogaty. Skarb ten nie jest moją własnością, i sumienie niepozwala mi go zatrzymać; albowiem kupiłem tylko ziemię, a nie to, co w niej ukryte; mój zaś sąsiad wzbrania się przyjąć skarbu.

Sąsiad bronił się w ten sposób;

— I ja także mam sumienie. Ow skarb nie ja zakopałem, a więc niemam żadnego doń prawa. Przeciwnie, sprzedając grunt, sprzedałem go ze wszystkiem, niezastrzegając sobie nic na żaden przypadek. Ty więc władzco nasz rozstrzygnij, do kogo prawnie ten skarb należy.

Sędzia powtórzył ich słowa, dla okazania, że ich zrozumiał; a pomyślawszy przez chwilę, spytał jednego z nich:

— Przyjacielu, zdaje mi się, że macie syna!

— Mam, jedynaka.

— A wy macie córkę? — spytał drugiego.

— Mam, wysoki Sędzio.

— Niechże, dla zgody, twój syn ożeni się z twoją córką, a skarb dajcie im w posagu.

Taki wyrok bardzo zadziwił owego bohatera.

— Czy w tym wyroku widzisz jaką niesprawiedliwość? — zapytał go Starzec.

— Bynajmniej; tylko zastanawiam się nad jego osobliwością.

— A w twoim kraju czyby inaczej osądzono?

— Wyznam ci otwarcie, że u mnie sprawa ta wzięłaby obrót całc inny. Nabywca ziemi ani złamanego szeląga niedałby sąsiadowi, i z téj przyczyny w największej tajemnicy zachowałby odkrycie skarbu. Gdyby zaś tajemnica rozgłosiła się, ów, co sprzedał grunt, pozwałby go przed sąd i żądał oddania skarbu.

7. Skarby.

Na tronie Kalifów siedział monarcha, którego cnoty wielbił cały wschód, ze czcią wymawiając imię jego. Jako dąb wznosi się nad inne drzewa i panuje nad całym borem, tak młody Kalifa wspaniałością wszystkie króle przechodził; dusza jego była czystą jak gorejący promień słońca, gdy stanie w południu. Ocierał oczy sierotom, wdowy pocieszał, i nigdy ubóstwo lub cierpienie niewyciągnęło ku niemu ręki napróżno.

Taki to był anioł na tronie. Pod jego panowaniem wielka plaga przyszła na naród; jednego roku chybiły urodzaje, szarańcza resztę zjadła, i okropny głód okazał się w całym kraju. Młody monarcha zmartwił się tém nieszczęściem i rozkazał natychmiast otworzyć od wieków gromadzone skarby, dla zakupienia zboża na wykarmienie poddanych.

Jednakże bracia tak dobrotliwego monarchy nie mieli serc równie wspaniałych, zaczęli mruczyć o naruszenie skarbów, i ostremi słowy mu docinali:

— Twój ojciec powiększał skarby odziedziczone po przodkach, a ty nie tylko je niepomnażasz, ale owszem uszczuplasz!

Kalifa zaś odpowiedział:

— I ja także pilnuję skarbu zostawionego mi przez pradziadów, z tą jednak różnicą, że przodkowie moi gromadzili skarby doczesne, a ja gromadzę wiekuiste. Ojcowie moi złożyli je w miejscu, gdzie mogą być ruszone; ja zaś moje schowałem tak, że ich ludzka ręka niedosięgnie.

Ojcowie moi gromadzili złoto, które im nieprzynosiło pożytku, ja zaś gromadzę skarby przynoszące największy pożytek.

Ojcowie moi ubiegali się za złotem i srebrem, ja zaś za życiem ludzi.

Ojcowie moi oszczędzali dla drugich, ja oszczędzam dla siebie. Ojcowie moi zbierali skarb dla tego świata, ja zaś gromadzę skarby dla wieczności.

8. Gody królewskie.

Razu pewnego król zaprosił na wspaniałe gody wszystkich swych dworzan, ale im niepowiedział, którego dnia i o której godzinie te gody się odbędą. Znaleźli się jednak między dworzanami ludzie roztropni, którzy tak do siebie mówili:

— Wprawdzie król niepowiedział kiedy i o jakim czasie mamy się stawić na gody, lecz że w pałacu królewskim nigdy na niczem niezbywa, więc uczta może być każdej godziny, i lada chwila może nas powołać.

Tak pomyślawszy, zaraz udali się do łaźni; przywdzieli najkosztowniejsze szaty i czekali u podwoi pałacu.

Przeciwnie inni, mniej roztropni i ogłędni, mówili do siebie:

— Takie gody wspaniałe potrzebują zwykle wiele przygotowań. Niewidać jeszcze, aby się krzątała służba i kucharze; żaden stół nienakryty, żadna sala nieprzygotowana. Chodźmy do swoich zatrudnień; będziemy mieli dość czasu, gdy zaczną stoły nakrywać.

I każdy poszedł w swoją stronę.

Aż wtém woźny królewski przy odgłosie trąb oznajmił, że uczta gotowa, i że czekają na zaproszonych gości. Roztropni dworzanie zaraz przyszedli w wspaniałych szatach i dobrze byli przyjęci, drudzy zwlekali się powoli w niewykwintném ubraniu i przyjęci byli najgorzej.

— Wy, którzyście się przysposobili na moje gody — mówił król — usiądźcie obok mnie; wy zaś, którzyście niezważali na wezwanie moje, wyjdźcie precz, niech was oczy moje niewidzą.

Owoż król zapraszający na gody, jest królem króli, którego imię błogosławione po wszystkie czasy; gody, są życiem wieczném, pełném niebiańskiej szczęśliwości; a dworzanie, są ludźmi śmiertelnymi. Szaty ich, to postęпки nasze dobre lub złe na ziemi; woźny, znaczy anioła śmierci, wzywającego nas niespodzianie do szczęśliwości wiecznej; ludzie cnotliwi są jak roztropni dworzanie, przybrani w dobre uczynki, z tryumfem zostają przyjęci; a bezbożni zaś, zajęci jedynie światowemi uciechami, są jak owi głupi dworzanie, którym monarcha kazał z przed oczu ustąpić.

9. Dzień dobry.

W dzikiej puszczy, która miała wiele mil długości i szerokości, stała samotna karczemka; w karczemce mieszkał gospodarz niski, barczysty, z rudą brodą do pasa, i z oczyma krwią nabiegłymi. Był to łotr zawołany, jakich nawet i między karczmarzami nie wiele; zwyczajnie przyjmował bardzo grzecznie podróżnych, lecz w nocy wstawał, budził ich i mówił: — Wstawajcie panie podróżny! już czas do drogi, ja was przeprowadzę, abyście niezabłądzili w puszczy.

Biedny podróżny słuchał karczmarza, siedł z nim w głąb lasu, i tam, kiedy się najmniej spodziewał, zwykle bywał napađnięty od złodziei i obdarty. — Złodzieje dzielili się z karczmarzem, który z nimi był w zмовie.

Pewien mędrzec zmuszony odbywać tę drogę, przyszedł na noc do owej karczmy na puszczy. Załedwie północ była minęła, kiedy karczmarz wszedł do jego izby, i budząc mówił: — Gotuj się pan do drogi, przeprowadzę was, abyście niezabłądzili. — Ale mędrzec nie w ciemną bity, przeczuł jakąś zdradę i odpowiedział:

— Niemogę tak wczesnie wychodzić, albowiem czekam na przyjaciela, którego tylko co niewidac.

— A gdzież ten przyjaciel? — zapytał ciekawy karczmarz.

— Dopiero wieczorem rozstaliśmy się, ale niebawem nadejdzie — odparł mędrzec.

— Jakżeż się nazywa? — znowu spytał ciekawy.

— Nazywa się Dzień dobry.

Usłyszawszy to karczmarz, przez resztę nocy chodził po boru i ciągle nawoływał: „Panie Dzień dobry! Panie Dzień dobry! przybywaj, czeka na ciebie przyjaciel!”

Nikt jednak nieodezwał się na jego wołanie. Gdy rano zaświtał, mędrzec wstał, osiodłał sobie osiołka i zabierał się w drogę.

Karczmarz go spytał:

— A gdzież ów przyjaciel? czy nie czekacie na niego?

— Właśnie co przybył — odparł ze śmiechem mędrzec. Mój przyjaciel jest to Dzień, przydomek jego dobry, bo opiekuje się podróżnymi i chroni ich od zrad i przypadków; bez tego przyjaciela nigdy niepuszczam się w podróż.

10. Bóg wie co robi.

Mędrzec pewien będąc prześladowany w swojej ojczyźnie,

musiał z niej uciekać na pustynię, między dzikie zwierzęta i dzikszyc od zwierząt rozbójników. Nie zabrał on z sobą żadnych bogactw, ale tylko rzeczy użyteczniejsze, to jest: latarkę, przy której mógł w nocy czytywać księgi święte; koguta, który miał służyć za zegar i oznajmiać jutrzenkę, i osła, na którym podróż odprawiał.

Od samego świtu przebierając się przez pustynię, postrzegł on mędrzec, że się już miało ku zachodowi, i że niebawem noc nastąpi; co tu teraz począć? gdzie osiołka nakarmić i napić? gdzie samemu znaleźć przytułek? Ta myśl go bardzo zakłopotowała; ale na szczęście zobaczył w oddaleniu wioskę. Pospieszył więc do niej; ucieszył się, że ją zastał zamieszkałą, i tak sobie wnioskował: że tam, gdzie są ludzie, musi być i ludzkość, czyli gościnne przyjęcie. Jednakże mędrzec wielce się oszukał. Żaden bowiem z mieszkańców niechciał go przyjąć na nocleg; niewypadało mu więc, jak w pobliskim lasku szukać na noc przytułku.

— Przykra to rzecz — mówił do siebie — mieć przed nosem drzwi zamknięte, i spać na twardej ziemi pod gołem niebem. Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

W lesie puścił osiołka na trawę; sam usiadł pod drzewem, zapalił latarkę i zaczął święte księgi wartować. Ale zaledwie jeden rozdział przeczytał, kiedy mocny wichur się zerwał i zdmuchnął świecę w latarce.

— Cóż za nieszczęście! — zawołał — zgłodniały, niemam dachu, i jeszcze czytać w ulubionej książce niemożę? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Mędrzec rozciągnął się na twardej ziemi, usiłując zażyć snu przez resztę nocy. Wszakże zaledwie przymknął powieki, gdy oto przyszedł wilk i porwał mu koguta.

— A to już niesłychane nieszczęście! — zawołał zdziwiony mędrzec; — zginął mój czujny towarzysz; któż teraz będzie mię budził, ażebym o zorzy wstawał modlić się i czytać księgi świętej mądrości? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Zaledwie wymówił te słowa, gdy oto przypadło straszne lwisko i osła pożarło.

— Cóż pocznę teraz, nieszczęśliwy! — zawołał zasmucony pielgrzym; — cóż pocznę bez latarki, bez koguta, bez osła? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Mędrzec przepędził resztę nocy bardzo niespokojnie; ze wschodem słońca wstał i poszedł do tej wioski, gdzie go tak niegościnnie przyjęto, chcąc kupić sobie konia albo osiołka dla odprawienia dalszej podróży. Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy nie znalazł ani jednego człowieka przy życiu; horda rozbójników napadła była tę wieś, a zrabowawszy mieszkańców, wymordowała wszystkich.

— O wielki, o niepojęty Boże! — zawołał mędrzec, padając na kolana; — tyś jeden sprawiedliwy, tyś jeden wszystko widzący! To, co my w naszej ślepotcie nazywamy nieszczęściem, prowadzi nas często do największej szczęśliwości, byleśmy tylko umieli znosić cierpliwie i poddawać się z ufnością twoim wyrokom. Gdyby ci wieśniacy przyjęli mię byli na nocleg, zapewne padłbym pod mieczem, jak oni; gdyby wiatr niebył mi zgasił latarki, jój blask sprowadziłby na mnie rozbójników; toż samo gdyby żył kogut i osioł, jedenby piał, a drugi ryczał, i zbójcy znaleźliby mię niechybnie. O nieogarniony w wyrokach swoich Boże! czemże jest mądrość tego świata w porównaniu do twojej mądrości!

ROZDZIAŁ IV.

Legendy.

1. Legenda o śmierci Najświętszej Panny.

Apostołowie rozeszli się byli po różnych stronach świata, dla opowiadania religii Chrystusowej; Maryja zaś mieszkała w domku niedaleko góry Sinai, trawiając swój żywot na pobożnym odwiedzaniu wszystkich miejsc uświęconych chrztem, postem, modlitwą, męką, grobem, zmartwychwstaniem i wniebowstąpieniem jój syna. Maryja miała podówczas lat sześćdziesiąt: w czternastym bowiem roku poczęła Jezusa, żyła z nim lat trzydzieści trzy, a po jego śmierci jeszcze dwanaście lat zostawała przy życiu.

Pewnego dnia, gdy Najświętsza Panna rozgorzawszy pragnieniem obaczenia syna, niemogła dłużej znieść tego sieroctwa i wylęwała łzy gorzkie — gdyż ubytek milego dziecka odjął jój wszelką pociechę; — pokazał się jój anioł jaśniejący szatą promienną. — O Panno prześwięta — rzekł anioł — błogosławiona jesteś, lecz przyjmij jeszcze błogosławieństwo tego, który

niegdyś przyniósł był pozdrowienie Jakubowi. Oto Pani moja, przynoszę ci palmową różczkę z raju; rozkażesz, aby ją niesiono przed twoją trumną, albowiem za trzy dni dusza twoja wyjęta będzie z twego ciała, i pójdzie na wieki królować z Chrystusem. — Maryja na to odrzekła: — Niech się stanie według słów twoich; życzę sobie wszakże, aby Apostołowie, bracia i syny moje, zgromadzili się koło mnie, iżbym oglądać ich mogła żywými oczyma, i w ich obecności oddać ducha mego i przez nich być pogrzebioną. Pragnę jeszcze, o com już tylekroć syna jedyne go prosiła na ziemi, aby dusza moja, opuszczając znikome ciało, wolną była od widoku złego ducha i od wszelkiej siły piekielnej. — Na to odpowiedział anioł: — Ten, który z Judci do Babilonu zaniósł za jeden włoszek Proroka, może jest w każdej chwili sprowadzić ci Apostołów. Niebędziesz miała też potrzeby obawiać się złego ducha, ty, coś mu głowę starła i królowanie jego zniszczyła. — Skończywszy rzecz swoją, anioł jak przyszedł, tak wrócił do nieba, to jest w potoku światłości.

Różczka zaś palmowa, którą zostawił, jaśniała niezmierną światłością; zieleniła się jakby zwyczajna gałązka, ale listki jej skrzyły się jak poranna jutrzeńka. Maryja weszła do łóża, gdzie postanowiła zostać aż do czasu pogrzebu.

Kiedy Jan kazał w Efezie, nagle niebiosa zagrzmiały. Biały obłoczek przyjął w siebie Apostoła i złożył go przed domkiem Maryi. Zapukał do drzwi, wszedł i pozdrowił swą matkę. Maryja uradowała się jego widokiem, i łez wstrzymać nie mogła.

— Janie, synu mój, — rzekła doń, — wspomnij na słowa twego Mistrza, który mię tobie powierzył. Pan Bóg powołuje mię na śmierć; polecam pieczy twój ciało moje, albowiem Żydowie postanowili czekać na zgon tej, która Jezusa w żywocie swym nosiła, aby zwłoki jej oddać na pastwę płomieniom. Rozkażesz tedy nieść tę palmę przed moją trumną, gdy będę prowadzoną do grobu. — Jan zapłakał.

W tej samej chwili zagrzmiało, i wszyscy Apostołowie porwani obłokiem z różnych miejsc kędy kazali, spadli jako deszcz przed domkiem błogosławionej Maryi Panny. Jan wyszedł przeciw nich i oznajmił im, jako Rodzicielka boska bliską jest śmierci. Ocierając łzy, polecił, ażeby śmierci jej nieplakali, z bojaźni, iżby lud się nieprzeraził, i dodał: obawiają się śmierci, a jednak ogłaszają zmartwychwstanie.

Gdy Maryja ujrzała zgromadzonych Apostołów, serce jej wdzięcznością przejęło się dla Chrystusa. Kazawszy im usiąść między lampami i jarzącemi światły, pokazała im promienistą

rószkę, przybrała się w szaty śmiertelne, i układła się na łożu, oczekując ostatecznej chwili skonania. Piotr stał u wezłowania, Jan u nóg, inni Apostołowie w koło, piejąc chwałę Najświętszej Panny. Około trzeciej godziny nocnej, ogromny grzmot zatrzęsł zrębami domku, i woń tak cudowna napelniła izbę, iż wszyscy, co tam byli, krom Apostołów i trzech dziewic, niosących gromnice, usnęli snem głębokim. Natenczas Jezus Chrystus zstąpił z chórami aniołów, z gronem patryarchów, z legionami męczenników i z zastępem wyznawców i chórem dziewic. Wszystko to obstąpiło łożo Najświętszej Panny, wyśpiewując słodko i wdzięcznie.

Jezus rzekł do Rodzicielki swojej: — Pójdź, wybrana moja, posadzę cię na tronie obok siebie; albowiem tęskno mi za tobą.

— Panie, — odpowiedziała Maryja, — serce moje gotowe. I oto wszyscy, co przybyli z Jezusem, podnieśli pienic. Maryja o sobie samą śpiewała w te słowa: Wszystkie pokolenia ogłoszą moją szczęśliwość, ponieważ ten, który jest potężny, a którego imię jest święte, sprawił dla mnie rzeczy tak wielkie. — Poczem pieśniarz pieśniarzy zawiódł śpiew wyborniejszy nad inne: Oblubienico moja? zstąp z pagórków Libanu, zstąp przyjąć koronę. — Otóż jestem, — rzekła Maryja, — albowiem raduję się w tobie. — W tej chwili dusza błogosławionej Panny wyszła z ciała bez żadnej boleści i przeniosła się w ramiona synowskie.

Jezus rzekł do Apostołów: — Zanieście uczciwie ciało matki mojej na Józefata dolinę, pogrzebcie je w grobie zgotowanym dla niej, i czekajcie mię przez trzy dni, póki nieprzyjdę do was.

Natychmiast róże i lilije doliny, to jest, męczennicy, wyznawcy, dziewice i aniołowie, otoczyli duszę bielszą od mleka, którą niósł Jezus Chrystus, i poszli z nią do nieba. Apostołowie zaś zostawszy, wołali, widząc wstępującą do niebios: — Matko, pełna mądrości, niezapominaj o nas!

Święci pańscy, którzy pozostali w niebie, przybieżeli na głosy wdzięczne tych, co się wzbijali ku wysokościami; a ujrawszy swego króla, niosącego na własnych ramionach, przytuloną do piersi, duszę niewiasty, zadziwili się wielce, wykrzykując: — Któż jest ona niewiasta, która z głębi pustyni, w najśliczniejszej roskoszy, wznosi się oparta na swoim małżonku? — Najpiękniejsza to z córek Jeruzalemskich, — odpowiedział chór towarzyszący jej; — a jako znaleście ją pełną miłosierdzia i miłości, ujrzenie ją na tronie chwały siedzącą po prawicy Syna jednorodzonego.

Natenczas ocknęli się śpiący, a widząc ciało bez duszy, wylali się na płacze. Trzy dziewice, które niosły pochodnie, z szat rozebrały ciało dla umycia go; lecz taka jasność rozpromieniła one zwłoki, iż dotykać a nie patrzeć na nie mogli. Jasność ta dopóty trwała, póki ciało nie zostało umyte i w żgło obleczone. Dopieroż Apostołowie podjęli je z uszanowaniem i złożyli w trumnę. Jan, który nawiązał się strumieniem łaski, spoczywając na piersi Jezusa, niósł palmę jasności; Piotr z Pawłem wzięli trumnę na barki. Piotr zaśpiewał: *In exitu Israel de Egipto*, a reszta Apostołów dalej ten psalm odśpiewywała. Pan Bóg nakrył obłokiem Apostołów i trumnę, tak, iż słyszano ich śpiew, a niewidziano osób.

Aniołowie idąc po parze, wyśpiewywali razem z Apostoły, napęlniając ziemię dźwiękiem dziwnej słodyczy.

Wszystek lud Jerozolimski wzruszył się na to cudowne śpiewanie, i tłumami wyległ za miasto, pytając, coby to było. Maryja umarła, odpowiedziano; uczniowie Jezusowi niosą ją, wyprawując muzykę, którą słyszycie. — Natenczas wszyscy rzucili się do oręży, pobudzając się nawzajem. — Śmierć uczniom! — wołali — spalmy ciało téj, która nosiła tego uwodziciela! — Książę kapłanów trząśił się ze złości.

— Otoż jest — zawołał — przybytek téj, co nasz kraj zawichrzyła, i patrzcie, jaką jęj chwałę oddają! — I dotknął rękami trumny, chcąc ją wyrzucić, lecz naraz obie ręce mu uschły i przyrosły do trumny; jakoż wisiał za ręce srogą boleścią trapiiony. Wszystek lud ślepotą był ukaran przez aniołów, będących w obłokach.

— Święty Piotrze! — wołał książę kapłanów, — ulituj się nademną i przypomnij sobie, jak ci pomogłem wtedy, gdy cię oskarżała służebnica. — Niemam czasu, — odpowiedział święty Piotr, — pełnię służbę przy Bogarodzicy; ale uwierz w Boga i w Pannę, co go wydała, a będziesz uzdrowion. — Wierzę, odpowiedział arcykapłan, całując trumnę; i oto ręce jego odczepiły się i były zdrowe jak przedtém. — Weź tę róższkę, dodał naczelnik Apostołów, i obróć ją na ten lud ślepy; kto uwierzy, przejrzy.

Gdy się to działo, Apostołowie przybyli w dolinę, złożyli ciało w grobie podobnym do grobu Chrystusowego, a ukłękawszy przy nim, płakali i śpiewali. Trzeciego dnia, jasny obłok otoczył on grób, miła woń rozeszła się, głosy niebieskie brzmiały, i Jezus Chrystus zstąpił na ziemię, otoczony nieprzejrzaną ciałą aniołów. Uczniów swoich pozdrowił w te słowa: — po-

kój z wami! — Oni mu odpowiedzieli: — chwała z Tobą, Panie, co jeden cuda działasz! — Jakąż cześć, — rzekł Jezus, — powinienem matce mojej wyrządzić? — Panie! — rzekli uczniowie, — wskrześ ją i ciało jej umieść obok siebie.

Natenczas przyszedł święty Michał, który przywiódł duszę Maryi przed naszego Zbawiciela, a Jezus rzekł: — Wstań przyjaciółko moja, naczynie wiecznego żywota, kościele chwały; wstań, aby ciało twoje, niczem niepokalane, nieczepał robak grobowy. — I zaraz dusza wróciła w ciało Maryi, która pełna chwały powstała z grobu i wzbila się ku wysokościom wśród chórów anielskich, gdzie ją przyjął Syn, a pocałował w oblicze, jasnością otoczył.

W niebiesiech więc towarzyszą jej aniołowie i archanieli, trony jej podnóżkiem, apostołowie jej służą, oddając cześć cnotom; cherubini chwałę śpiewają, a wywyższają serafinowie. Trójca święta raduje się nią, męczennicy wzywają, wyznawcy modlą się do niej, święte dziewice pieśniami rozrywują, a piekło wyje, zazdroszcząc jej chwały.

Apostołowie pobożnie ucałowawszy grób Maryi Panny, znowu rozproszyli się po wszystkiej ziemi, dla nauczania ludzi i łowienia ich siecią słów nauki bożej.

2. Piastun Chrystusa.

Przed bardzo dawnym, dawnym czasem, żył na świecie pewien wielkolud, nazwiskiem Oferusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swęj rękawicy wyprawił siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, on chcąc jej grób usypać, nabrał w bót swój ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne, i wzniesła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, z kądem owęj ziemi nabrał, powstała przepaść, a była to przepaść tyle mil głęboka w ziemi, ile mil owa góra nad ziemię sterczała. Nad przepaścią usiadł Oferusz i płakał rzewliwie, a wszystkie lzy jego w otchłań kapwały, i zrobiło się morze. Dla tego to woda morska jest gorzka i słona. Potem wyszedł Oferusz na wędrówkę i szukał Pana, któryby ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy; u takiego pana jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nieznał wyższego od siebie i niewiedział, co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferusz, popisował się ze swoją siłą i został mile przyjęty; nieodstępował odtąd na chwilę boku mocarza i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobało się to bez wątpienia Oferuszowi; postanowił więc całe życie na dwo-

rze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden z sług królewskich wymówił w gniewie imię diabła. Słyszając to król bogobojny, przeżegnał się krzyżem świętym.

— Dla czego to zrobiłeś? — zapytał się Oferusz, który jeszcze był poganinem i nieznał zwyczajów chrześcijańskich.

— Zrobiłem to dla tego — odpowiedział król — że się boję diabła.

— Kiedy ty się diabła boisz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę ja zatem służyć u silniejszego Pana — zawołał Oferusz i zaraz dwór królewski opuścił i udał się na puszcze, w której dnia pewnego napotkał rotę czarnych rycerzy, z rogami na głowie, z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział najczarniejszy i najokropniejszy na tronie z głów trupich i kości ludzkich, i wrzasnął rykliwym głosem: — Oferusie! czego szukasz?

— Szukam diabła — odpowiedział nieucieknięty Oferusz, — ażeby u niego służyć.

— Ja jestem diabłem, — rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferuszowi, który odtąd boku jego nigdy nieodstępował; a był mu jak prawa ręka przydatny.

Pewnego dnia wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogi krzyżowe, kędy stała Boża męka. Postrzegłszy ją dowódca, zatrąbił co tchu na odwrót.

— Dla czego to zrobiłeś? — zapytał Oferusz.

— Dla tego mój przyjacielu, że się boję Chrystusa! — odpowiedział diabeł.

— Ty się boisz Chrystusa — pomyślał sobie Oferusz, — więc jesteś słabszy od niego; pójdę więc służyć Chrystusowi.

I znowu diabła opuścił; a wędrując po puszczy, napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: — gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie — odpowiedział pustelnik; ale poganin nie rozumiał i pytał powtórnie: jak ja mam służyć Chrystusowi?

— Módl się a pracuj! — rzekł zapytany. Modlić się Oferusz nieumiał, lecz umiał pracować. Poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry strumień, płynący z góry, i dowiedział się, że każdy pielgrzym, chcący się przeprawić na drugą stronę, to nie na środku.

— Tobie, — mówił pustelnik, — dał Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie; przenoś więc podróżnych na swoich barkach. Jeżeli to zrobisz dla miłości Chrystusa, to cię przyjmie za swego sługę.

— Zrobię to dla miłości Chrystusa, — zawołał Oferusz i

przenosił dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnej sośnie, którą był wyrwał z korzeniem.

Pewnej nocy zasnął głęboko, znużony pracą dzienną; wtém słyży głos dziecięcia, wołający go trzy razy po imieniu. Wstał więc bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wkroczył w wodę, która dawniej za ledwie kolan mu sięgała. Ale teraz, gdy stanął na środku, szum powstał i wicher, woda się wzburzyła, balwany były z wściekłością o brzegi, a Oferusz zgiął się pod dziecięciem jak pałak, i pierwszy raz w życiu uczuł strach i drzenie. Podniósł więc głowę i rzekł: — Dziecię! dziecię! dlaczegoż ty takie ciężkie? Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich ramionach?

— Nie tylko świat dźwigasz na swoich ramionach, — odpowiedziało dziecię, — ale i tego, który świat stworzył. Jestem Chrystus, któremu ty służysz; chrzczę ciebie w imię Ojca, w imię moje, i w imię Ducha Świętego. Odtąd nazywać się będziesz Kryzstofor, to jest: piastun Chrystusa.

Odtąd nazywał się ów wielkolud Kryzstoforem, czyli Krzysztofem, i chodził wzdłuż i w szerz po świecie, aby nauczać słowa Pana swojego, i został za te nauki od pogan ukamienowany.

3. Chleb kamienny.

W przecudownej okolicy nadmorskiej, o milę od handlowego miasta Gdańska, stoi klasztor zakonu cysterskiego, Oliwa rzeczony. Dawniej jeszcze, za polskich czasów, kiedy w klasztorze byli księża, a w kościele odbywała się służba boża, widzieli ludzie po prawej stronie, wchodząc do kościoła, bułkę chleba w kamień zamienioną. Historyja tego cudu jest następująca:

Dawno, bardzo dawno, bo z górą przed sześciu set laty, Pan Bóg wielkim głodem nawiedził był Gdańsk i całą okolicę; ludzie padali jak muchy, bo i bogatsi niemogli dawać, kiedy nieurodzaj był powszechny. Ale jako w owych czasach pobożnych, klasztory były bogate i zasobne, więc téż i klasztor oliwski miał pełne śpichrze i piwnice. Opat Cystersów, człek miłosierny, wiedział dobrze, że najlepiej dostatków swych użyje i najwięcej Panu Bogu się przypodoba, jeżeli je obróci na wyżywienie biédnego ludu; kazał zatem wystawić wielkie piece, namléc dużo mąki, i ustawicznie piec chleb, który regularnie zgłodniałym rzeszom rozdawano. Trafiło się pewnego razu, że jeden z ubogich dostawszy swoją bułkę, odszedł niby, ale zaraz wrócił, wmięszal się między innych, którym chleb rozdawano, i skłamałszy, że nic jeszcze nie dostał, drugą bułkę otrzymał.

Uradowany ze swego podstępu, powraca drogą do Gdańska, rozmyślając, jakby tę drugą bułkę sprzedać za dobre pieniądze, aż wtém zachodzi mu drogę jakaś niewiasta, niezmiernie blada i wynędzniona, trzymająca u piersi dziecko, które żałośnie płakało, niemogąc w niej znaleźć ani kropli pokarmu; nieszczęśliwa ta wyciągnęła doń rękę z prośbą, aby jej dał choć kawałek chleba, gdyż nawet niema siły dostać się do klasztoru.

Na to ów człowiek odrzekł z oburzeniem: — ja sam głodny i kruszyny chleba niemam.

— Jak to? — rzekła niewiasta wskazując — a przecież widzę u was całą bułkę za pazuchą.

— To kamień, nie chleb — odparł nielitościwy, dotykając go palcem.

Więc ona rzekła, przybierając na siebie postać niebiańska i świętą: — Niechże będzie kamień! — I natychmiast zniknęła jak cień.

Zmieształ się ów kłamca niepomału, i uszedłszy jeszcze kilka staj, gdy widział, że nikt na niego niepatrzy, wyjął onę bułkę, obejrzy, chce ułamać, aż to szczerą kamień, a w nim znak palca jego. Dopieroż mu prawda zaświeciła w oczy, dopiero poznał jak ciężko zgrzeszył! wszystkim zatem struchlały i skruszony wrócił czémprędzej do klasztoru oliwskiego, wypowiadał swą winę przed samym opatem, który ten chleb kamienny, jako dowód cudu Najświętszej Panny, kazał z wielką cziąg na wieczne czasy przechować, aby ludzie uczyli się, jak ostatnim kawałkiem dzielić się powinni z biedniejszymi od siebie.

4. Legenda o dumnym królu.

Był sobie jeden król, mający dużo krajów i mnóstwo luda pod sobą; z tój tedy możności swojej w taką się wzbil pychę, iż mniemał, jako nadeń niema już potężniejszego Pana na świecie. Zdarzyło się, iż pewnego czasu gdy poszedł na nieszpór, usłyszał księdza czytającego te wyrazy: *Deposuit potentes de sede, et exaltavit humiles.* — Nerozumiejąc po łacinie, spytał uczonych ludzi ze swego orszaku, coby te słowa znaczyły. — Wytłumaczono mu w ten sposób: że Pan Bóg mocarzów z tronu spycha, a maluczkich wywyższa. Rozgniewały króla te słowa tak dalece, iż wydał rozkaz, aby miejsca tego w Ewangelii świętego Łukasza nigdy nieczytano, żeby o nich nikt niewiedział, i żeby je całkiem wymazać z ksiąg świętych. Rozkaz ten ogłoszono po wszystkim kraju księżom i

zakonnikom. Księgi zaś, w których te słowa stały, publicznie spalono. A tak wszelkiemi sposoby ona myśl wytepioną została.

Owoż pewnego dnia, gdy król udał się był do łaźni, Pan Bóg, chcąc go ukarać za świętokradztwo dokonane na słowie Ewanielii, zesłał anioła na ziemię, który przybrał na się królewską postać, i wszystkich oczy taką ślepotą nawiedził, iż go mieli za króla, a prawdziwego króla niepoznawali. Gdy tedy król wyszedł z łaźni i usiadł na ławeczce, na której wprzód anioł siedział, zawołał nań łaźniownik, aby wstał i precz poszedł, bo to nie dla niego miejsce.

— Czyś ty pijany — zapytał król — że tak śmiesz do mnie mówić? czy mię niepoznajesz, wszakem twój król i pan?

— A widzisz go! — odrzekł ze śmiechem łaźniownik — to mi to król! A gdzie twoje królestwo? zapewne pod wschodami?

— Błaznierco! — wrzasnął król, siniejąc od gniewu, i porwał wiadro i cisnął na głowę łaźniownikowi; parobcy posłyszawszy zgiełk, wypadli hurmem i tak porządnie królewskie plecy wysmarowali, żeby był może i na miejscu został, gdyby nie anioł, który w postaci króla się zjawił i wyratował go z rąk czeladzi.

Poczem anioł oblekł się w kosztowne królewskie szaty, i w orszaku dworzan z wielkim przepychem poszedł na królewski zamek. Prawdziwego zaś króla prawie nago wypchnęli za drzwi łaźniowicy; stanął więc sobie przed drzwiami, trząsał się i niewiedział co począć. A tymczasem pospólstwo zbierało się około niego, żacy najgrawali się i drażnili, własnemu nawet słudzy wyprawiali mu psoty, bo rzeczywiście nikt go niepознаwał. W rozpacz niewiedząc co robić, wyrwał się nagutenki z tłumu ludzi, i pędził przez ulice, goniony przez żaków i obeiskany błotem, i w takiej maskaradzie wpadł do mieszkania jednego z swoich najpoufniejszych dworzan. Na nieszczęście odzwierny niechciał go wpuścić i pytał kto jest?

— Jestem król; czy mię niepoznajesz? odpowiedział.

— Pójdź precz szaleńcze! — ofuknął odzwierny — jak świat korona polska nikt jeszcze takiego króla niewiedział.

Ale król, jak zaczął krzyżeć i wywoływać, tak też i ów dworzanin usłyszał, a wyszedłszy do sieni, spytał o przyczynę. Odzwierny na to: — Jest tam na ganku jakiś z przeproszeniem waryat, goły jak palec, który się mieni być Najjaśniejszym królem naszym; wszystkie paupry i ulicznicy gonili go aż na dziedziniec.

— Wpuścić tego biedaka! — odrzekł litościwy dworzanin

— dajcie mu czem pokryć grzeszne ciało i nakarmcie jeżeli głodny.

Stało się według rozkazanego pańskiego; poczem przybranego wprowadzono przed onego dworzanina, który go także nie mógł poznać jako swego monarchę. Co widząc król, pełen rozpaczy zawołał: — Przyjacielu! musisz mię uznać za pana, czy chcesz, czy niechcesz, chociaż, wyznam otwarcie, że dziś ociężała ręka boska nademną. Przypomnij tylko sobie o tém, cośmy w moim gabinecie mówili wczoraj rano; przypomnij sobie, jaki ci dawałem rozkaz, i jak odpowiedziałeś, że takie rozkazy niezgadają się z godnością królewską. — I jeszcze wiele podobnych tajemnic przytoczył dworzaninowi, który na nie rozśmiał się tylko i rzekł: — Prawdać to wszystko co mówisz, ale kto wie czy nie szatan szepnął ci te tajemnice! — A król znowu: Jakkolwiek mogłem zasłużyć na nieszczęście, jakie mię spotyka, wszelako w duszy wierzę i czuję, że jestem sprawiedliwy wasz król i pan.

Niesprzeciwiał się mu dworzanin, wiedząc, iż nie bardziej niejątrzy szalonych, jak przeciwieństwo; nakoniec kazał go nakarmić i pomyślał sobie, że o tak osobliwym wypadku nieomieszka donieść królowi.

On, jako pierwszy dworzanin i przyboczna rada królewska, takie miał znaczenie na dworze, iż o każdym czasie miał dostęp do boku pańskiego; zatem niemieszkanie udał się na zamek, gdzie znalazłszy anioła, opowiedział mu swoją dziwną przygodę z owym szaleńcem. Anioł kazał mu, aby tego mniemanego króla przyprowadził; cały dwór ciekawy zebrał się w wielkiej sali, a służba cisnęła się po wschodach i sieniach. Owoż kiedy dworzanin wprowadził upokorzonego króla, wszyscy ze śmiechem nań wskazywali, wołając: — Witaj królu bez królestwa!

Anioł siedział w złocistej szacie obok pięknej królowej na tronie, i przywitał samozwańca, w którym krew nienawiścią zawrzała, gdy ujrzał go siedzącego obok własnej jego żony. Poczem anioł rzekł: — Czy prawda, żeś ty królem tego królestwa? — A zapytany odparł: — Jeszcze to miejsce może niezastygło, kiedy tu siedział i królowałem; — a potem obracając się do królowej: — a tyż małżonko moja, czy także mię niepoznajesz, mnie, twego pana, który cię z prochu podniosłem do godności królowej?

Mowa ta zuchwała wielkiego wstydu nabawiła dostojną panię, więc obracając się ku aniołowi rzekła: — Małżonku mój

i panie, co ten szaleniec bredzi? — Któryś z panów widząc tę znie wagę majestatu, już był dobył szabli i chciał zuchwalca skarcić, inni dworzanie toż samo rwali się doń, i pewnie byłiby pozbawili życia, gdyby ich anioł nie wstrzymał, i z dobrocią wzięwszy króla za rękę, niezaprowadził do pobocznej komnaty. Tam odezwał się do niego w te słowa: — Powiedz mi, czy wierzysz, lub niewierzysz, że Pan Bóg ma moc nad wszystkiemi stworzeniami swęmi? Przekonaj się, jak jego potęga potrafiła cię poniżyć! Na cóż ci teraz zdały się ogromne twoje wojska, mocne twierdze i zamki? Czy jest aby jeden gotowy usłuchać twego rozkazu? Widzisz bracie pyszałku, że niezginęła ta święta prawda: Że Pan Bóg mocarzów z tronu spycha, a małuczkieli wywyższa!

Tak mówił anioł, a król pytał ze drzeniem: — Któż jesteś człowiecze? Jestliś ty Bóg wszechmocny, o którym powiadasz? Jeżeli nim jest, ulituj się nademną biędnym, złośliwym i cięmnym!

Bogiem nie jestem — odparł anioł — lecz posłańcem jego i prawym sługą Chrystusa. On to mię posłał z karą na twoją zapamiętałość. Bóg podwyższa i poniża kogo mu się podoba! Dla czego prześladowałeś tę świętą prawdę?

Jak długi upadł król do nóg anioła i prosił o łaskę boską nad sobą i o przebaczenie winy. Anioł kazawszy mu powstać, tak przemówił: — Potrzeba, abyś wierzył w słowa pisma świętego, ogłaszane przez kapłanów kościoła! Powinieneś być litościwym dla tych, którzy w ten sposób skarżą się na swoją niedolę! Masz sprawiedliwość wymierzać równie dla małuczkieli jak możnych! Przystajesz na to, a więc znowu wrócisz do władzy berła i zaszczytu korony.

Król znowu się upokorzył przed posłańcem boskim, ukląkł i rzekł: — Posłuszen ci będę, tylko wyrób mi łaskę pańską! — I anioł podał mu rękę, i przyobłókl w szaty królewskie, i wrócił królewską postać. Poczem anioł znikł z oczu królewskich, unosząc się w niebiosa na łono przedwiecznego Ojca.

— Niechże będzie chwala Jezusowi Chrystusowi! — mówił po chwili król w zamyśleniu, — wszystko to święta prawda, co mi anioł powiedział! — I wyszedł z komnaty z takim obliczem, jakby mu nic się złego nieprzytrafiło; a gdy go dworzanie pytali, co się z szalenicem stało, — on, przyzwał królowę i wszystkie dworzany w koło siebie, i opowiedział im wszystko, przez co przechodził, niepominając i błótni z łaźniem i parobkami, i pokazując na dowód guzy i sińce na ciele. Dworza-

nie słysząc to, byli już w obawie, że łaskę stracą za owe najgrawania i kulaki; sama nawet królowa starała się go zapewnić na rzeczy najświętsze, iż bynajmniej go niepoznała; lecz król przycisnął ją do serca i rzekł: — Niewymawiaj się żono moja, Panu Bogu się tak podobało ukarać mię! Cóż dziwnego, żeście mię niepoznali, kiedy ja nieznałem sam siebie?

Zaraz tedy wydał rozkaz, aby owe słowa: *Deposuit potentes de sede* i t. d., na nowo w księgach zapisano, i czytawano w kościołach, i odtąd był pokornym i dobrym panem. Kto zaś tę legendę przeczyta, niech westchnie i prosi Boga, aby go zachował od zbytniej pychy i zarozumienia.

5. Kłosy.

Kiedys, dawnemi czasy, ale tak dawnemi, że ludzka pamięć niemoże zasięgnąć, wszystkie źdźbła, tak pszeniczne, jak żytnie i jęczmienne, miały dużo kłosów, napełnionych ziarnem od dołu do góry; nie tak jak dzisiaj, co słoma długa, a kłosek na samym końcu i często pusty. Za owych błogosławionych czasów ludzie nieznali głodu, i wtedy to był prawdziwy wiek złoty. Jaki taki choć i niepracował wiele, mógł się być łatwo wyżywić, a nawet i ptaszkiwie łakomi na zbożowe ziarnka, najadali się do syta, toż i kury, gęsi i wszelaki drób tuczył się na hojnym chlebie.

Lecz znaleźli się między ludźmi tacy, którzy nieumieli szanować darów boskich, bo zboże, wiedzieć wam potrzeba, jest z bożej łaski, a przeto nienależy go marnotrawić, ani psować. Otóż, jak powiadam, ludzie nieszanowali zboża, bo go mieli dostatkiem: dziewczki robiły z kłosów miotły i zmiały niemi izby; chłopcy i dziewczęta uganiali się po łąkach i deptali kłosy, albo też z pustej swawoli wyrwali takowe, ciskając na drogę. To się niepodobało Panu Bogu, który zboże dał był na pożywienie ludowi, a na paszę bydłu; nie zaś na swawolną psotę; więc też pomyślał sobie: teraz będzie inaczej, złoty wiek musi się skończyć.

I zaraz Pan Bóg tak zrobił, że odtąd każde źdźbło słomy rodziło tylko po jednym kłosku, już to dla ludzi, aby nauczyli się lepiej szanować darów bożych, już dla niewinnych zwierząt, aby miały swoje pożywienie natenczas, kiedyby ludzie niewarci byli nawet jednego kłoska.

Od tego dopustu bożego głód, drożyzna i ubóstwo przysły na ziemię. Tylko kiedy niekiedy pozwala Pan Bóg, aby tu i ówdzie wyrosło cudowne źdźbło z kilkoma kłosami, pokazując

przez to człowiekowi, jakie dawniej było zboże, i jaka jest boska potęga. Chodzi też stara przepowiednia między ludźmi, że po upływie wielu lat, kiedy się spełnią te słowa anioła: Cześć Panu na wysokości, pokój na ziemi, a między ludźmi miłość, błogosławieństwo i zgoda! — wtedy Pan Bóg znowu ma ziemię wzbudzić, aby zboże wydawała pokryte kłosem od góry do dołu. Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy, kto tego złotego wieku doczeka!

6. Polowanie.

Był pewien myśliwy, który poszedł do lasu dzikiego i ciemnego, chcąc się zabawić polowaniem. Zapuściwszy się dość głęboko w puszcę, napadł na trop jakiegoś zwierza, i ciągle idąc za takowym, odkrył nareście legowisko odyńca, ale tak okropnej wielkości i tak dzikiego, że wcale nierad był temu spotkaniu. Widząc, że nieprzyjacielowi, potężnemu nic niezdobi, czem prędzej uskoczył i dalej co tchu uciekać; ale odyniec gonił go zajadle po krzakach, parowach, górach, aż póki nieszczęśliwy myśliwiec nieprzypadł na stromą skałę, która zwisała się nad wodami głębokiego jeziora. Po jeziorze pływał ogromny smok i rozdziawiał szeroką paszczę — wtem myśliwy, gnany przez odyńca, ześliznął się ze skały, i byłby niezawodnie wpadł prosto w głębię jeziora, lub w paszczę smoczą, gdyby się był niechwycił korzenia wyrastającego z rozpadliny skały. Łatwo sobie wyobrazić, jak okropnym było położenie myśliwca. Nad nim jak kat stał okropny odyniec, pod nim z otwartą paszczą czatował smok, gotów go pożreć. W tak srogiej potrzebie przestрах jego i rozpacz powiększyły się we dwoje, gdy postrzegł jak dwie myszki przybiegły, jedna biała, druga czarna, i zaczęły korzeń, na którym wisiał, podgryzać; on zaś niemógł żadną miarą je odgonić, gdyż oboma rękami trzymał się. Owoż tedy lada chwila był pewien, że przegryziony korzeń urwie się, a on spadnie w paszczę smokowi. Nad nim rozpościerało się piękne drzewo, z którego słodki miód kapał; o jakże byłby szczęśliwy dostać się do tego drzewa; w jego cieniu skończyłyby się wszystkie utrapienia i męczarnie; sama myśl o drzewie zbawienia, sprawiała, że zapominał o grożącym mu niebezpieczeństwie. Niewiadomo, czy temu myśliwcowi udało się uniknąć trojkiego niebezpieczeństwa, i czyli myszy przegryzły ów korzeń!

Co zaś ta powiastka znaczy, objaśnię wam: Myśliwiec, to człowiek; odyniec, to śmierć, która go napada niespodzianie i ciągle goni. Stroma skała, to ziemia; a korzeń, to życie, do

którego człowiek słabo przyczepiony. Biała i czarna mysz, podgryzające korzeń życia, znaczą noc i dzień, czyli czas trawiący, który życie nasze toczy. Jezioro, to piekło; smok, to szatan; oboje czyhają na człowieka, aby upadł i w ich otchłani się pogryzł. Drzewo zaś, z którego miód kapie, jest miłością osładzającą życie; człowiek do niej wyciąga ramiona i chce ją osiągnąć w potrzebie i śmierci, w mękach i udręczeniach, na żadne niebezpieczeństwo niebacząc, bo w niej upatruje całą ziemską swoje szczęśliwość. Dla tego niech człowiek codziennie na to uważa, aby nieupadł w jezioro zguby wiecznej, gdyż myszy nieustannie podgryzają korzeń życia.

7. Dzbanuszek łez.

Była raz matka, co miała dziecię, a kochała swoją jedy-naczkę z całej duszy; zdawało się, że bez niej ani żyć, ani istniećby niemogła. Wtém podobalo się Panu Bogu zesłać śmiertelną chorobę, która zabierała dużo dzieci; przysłała kolej i na dziecko tej matki; dziewczynka położyła się w łóżecko i więcej niewstała. Trzy dni i trzy noce czuwała, płakała i modliła się biedna matka przy chorągwie dziecinie; lecz darmo, Bóg ją wziął do swojej chwały. Natenczas nieszczęśliwą matkę, samiotką jedną na całym świecie, zjęła taka gwałtowna i nieopisana boleść, że nic niejadła, niepiła, tylko wciąż płakała i płakała znowu trzy długie dni i trzy noce, ciągle łamiąc ręce i wzywając dziecka. Kiedy tak pogrążona w smutku, na trzecią noc siedziała w tém miejscu, gdzie jej dziecię skonało, po cichu otworzyły się drzwi, coś zaszeleszczało, i matka przestraszona padła na kolana, albowiem przed nią stała nieboszczka jej dziecina. Był to sobie prześliczny aniołek, uśmiechający się słodko, cały w bieli, z promienistymi skrzydełkami. W rękę trzymał dzbanuszek pełny po sam wierzch. W te słowa przemówił aniołek: — Kochana mammo! niepłacz już za mną! Patrzaj! w tym dzbanuszku są łzy twoje, któreś napłakała po mojej śmierci; anioł smutku zebrał je tutaj co do jednej. Niechbyś aby jedną łezkę więcej uroniła, natenczas dzbanuszek się przeleje, i dla mnie niebędzie już spokoju w grobie, ani zbawienia w niebie. Dla tego, niepłacz mammo dziecięcia, bo dziecię twoje szczęśliwe, bawi się z aniołkami! — To powiedziawszy, zniknęło widziadło, i matka odtąd ani jednej niewyplakała łezki. Dla spokoju dziecięcia w grobie, dla jego zbawienia w niebiesiach, ani jednej łzy nieuroniła, zwyciężając nieograniczony ból matczy-

nego serca. O taka to potęga miłości macierzyńskiej, że ze wszystkiego umie uczynić ofiarę!

8. Brzoza gryżyńska.

W Wielkopolsce, w bliskości rzeki Obry, leży wieś Gryżyna; o kilka staj za wsią widać kościół Świętego Marcina, zupełnie w gruzy podupadły; przed nim wznosi się niezmiernej wielkości brzoza.

Przed niepamiętnymi czasy zmarło tu dziecko jednej wieśniaczki: pochowano je, jak zwykle, na cmentarzu pod kościołem. Niedługo jednak po pogrzebie dziecięcia zdarzyło się, iż grabarz, kopiący świeży grób dla kogoś, ujrzał przerażające zjawisko, i cały trzęsąc się od strachu przybiegł do plebana, dając mu znać, że dziecko, co przed tygodniem zmarło, wciąż rączkę białą wysuwa z pod mogiłki; że choć przyrzucał ziemią, przykładał kamieniem, ciągle nieprzestało wysuwać. Pleban widząc w tém jakieś zrządzenie boskie, wziął natychmiast krzyż i stulę i pobiegł zażegnać to dziwo; ale co ziemi przyrzucał, co się namodlił, nakropił święconą wodą, nic niepomogło, zawsze biała rączka na wierzchu! Pleban niewidząc innéj rady, kazał w dzwony uderzyć, aby się gromada zbiegła; gdy go wszystko, co żyło we wsi, otoczyło kołem, odezwał się do matki zmarłego dziecięcia, aby wyjawiała tajemnicę, albowiem musi być jakaś tajemnica, dla której to niebożatko niema teraz spokoju po śmierci. Na to wezwanie matka zanosząc się od płaczu, zeznała, iż jedynaka swego psuła pieścizotami, dogadzając mu we wszystkim; on téż sobie coraz to więcej pozwalał, a nakoniec źle się wyplacił, bo w gniewie podniósł rękę na matkę i uderzył ją.

— Bierz więc tę różgę — zawołał pleban, urywając gałąź brzeziny — bierz ją i bij rękę syna, która się domaga spełnienia ziemskiej kary.

Posłuszna rozkazowi matka uderzyła różczką po rączce, i oto natychmiast schowała się pod ziemię. Na tę pamiątkę ksiądz pleban zatknął onę różczkę na grobie, i wyrosła z niej ogromna brzoza, którą jeszcze i dziś pokazują na przestroge niedobréj dziatwie.

9. Legenda o świętych Pustelnikach w Kazimierzu.

Król Bolesław Chrobry widząc, iż w kraju polskim dużo było pogan, posłał był do Papieża z prośbą, aby mu przysłał

ludzi duchownych, którzyby w państwie jego na wiarę nawracali. Papież przychylił się do pobożnego żądania i posłał pięciu Pustelników, którzy się nazywali: Jan, Mateusz, Izaak, Krystyn i Barnabasz. Osiedli oni w wielkiej puszczy ślesińskiej, tam, gdzie dziś jest miasteczko Kazimierz, którego wtedy jeszcze nie było. Najstarszy pomiędzy nimi wiekiem był Barnabasz; wszyscy mieszkali w osobnych domkach, które sobie pobudowali. Wszystek czas, jaki im zostawał od nauczania ludu, pracowali około wystawienia kościoła, obrabiając nań kamienie. Pracowali z potem czola, a przytém byli skromni w jadło i napój. Żywili się tylko korzonkami i warzywem, które w ogródkach swoich sadzili. Mięsa, ani ryby, niesmakowali nigdy; bo mięsa ślubowali niejeść nigdy, a ryb niemieli czym łowić. Ale Bóg litościwy niechciał ich opuścić przy ciężkiej pracy w głodzie i niedostatku, bo kto chce pracować, sił mu potrzeba; owoż tedy taki im cud sprawił:

Jednego razu szedł temi stronami pewien rzeźnik z Gniezna, takżeż człek poczciwy i bogobojny, i niósł kawał mięsa dla swego brata, co tam gdzieś dalej mieszkał! a kiedy tu w tę okolicę zaszedł w czasie południa, ujrzał pięciu biednych pustelników, jak lichą strawę, z korzonków sporządzoną, zajadali, modląc się. Otóż ulitował się nad nimi poczciwy rzeźnik, a że był dobrym chrześcianinem, chciał im to dać, co niósł dla brata, ale pustelnicy przyjąć niemogli, a Barnaba rzekł mu: że mięsa jeść im niewolno. On rzeźnik zaczął się im dziwować i żałować, że nie jest rybakiem, bo wtedy nie mięso zapewne, ale rybę niósłby dla brata, i mógłby pustelników nakarmić; — co, że szczerze mówił, Pan Bóg wszechmocny oczywiście pokazał, bo naraz owe mięso przemienił w rybę bardzo wielką i piękną. Zdumieli się wszyscy niepomału; a rzeźnik poczciwy, upadłszy na kolana, dziękował Panu Bogu za to, że go wysłuchać raczył, i oddał rybę Barnabie, który ją pobłogosławił, a odciawszy głowę, sprawił, i upieczoną pożył razem z drugimi i z owym rzeźnikiem, modląc się Panu; głowę zaś wpuścił do małej studzienki, którą miał przy swój pustelni, bo mu tak głos boży rozkazał w jego duszy. Owoż nazajutrz, kiedy się znowu wszyscy koło południa zeszli na obiad, po odprawionych modlitwach, poszedł Barnaba do swojej studzienki i łowić w nią zaczął, bo mu znowu głos boży w jego duszy tak zrobić rozkazał, i ku zdziwieniu wszystkich wydobył z niej rybę w całości taką, jak wczoraj odebrał z rąk rzeźnika, a pobłogosławiwszy odciął głowę, rybę upieczoną spożył z braćmi swymi, a głowę do studzienki wpuścił. Nazajutrz ryba znowu odrosła w całości, i tak cud ten codzien

się powtarzał i żywił biednych pustelników; a choć to cud wielki i niepojęty, to i moc boska wielka i niepojęta; a jego łaska nieustająca nigdy niewysycha, jak owa woda tej studzienki, za której pomazaniem dzisiaj jeszcze niejednen wzrok odzyskiwał, i pozbywał się różnych chorób, jakoby na pamiątkę szczerzej ofiary i dobrego uczynku, któremi się ów poczciwy rzeźnik przed Bogiem zasłużył. Aliści i zgorszenia przyjść muszą, jak Chrystus Pan uczy. Owoż tedy zdarzyło się w parę lat później, że król Bolesław Chrobry w te strony zajechał na łowy, a uganiając po puszczy, zawinął na miejsce wykarczowane ręką ludzką, gdzie było trochę uprawnej roli i kilka małych domków. Tam on poznał się z tymi pustelnikami, dziwił się ich świętobliwemu życiu i niezmordowanej pracy, a widząc zarazem ich ubóstwo i nędzę, chciał im jakoś dopomóc i po królewsku łaskę swoją okazać. Oddał im przeto wszystko srebro i złoto, jakie miał ze sobą i na sobie, wyobrażając sobie jako człowiek światowy, że całym szczęściem na świecie jest ta mamona mizerna, a niewiedział zasię, że owi pustelnicy na ubóstwo ślubowali Bogu; oni mu też tego nierzekli, czy to ze strachu przed tak wielkim i potężnym królem, czy też może zle ich skusiło; boć to i na Świętych przychodziły pokusy, które niezawsze mogli zwyciężyć. Dosyć, że bogactwa przyjęli; a patrzyli na to dworzanie królewscy i zazdrościli im, mówiąc do siebie, że lepiejby ich użyć mogli na dworze, niż oni na puszczy. Owoż stało się dalej, kiedy król odjechał, a obiadowa godzina nadeszła, że się pustelnicy zbrali u swego przełożonego Barnaby, który na ustroniu zamieszkały, o tém, co zaszło, niewiedział, i po dawnemu, odmówiwszy modlitwy, pobiegł łowić rybę w studziencę. Aliści tą razą wyłowił jedno głowę niedorośniętą, a spojrzawszy na braci, widział wstyd ich i pomięszanie, i rzekł zasmucony: — bracia, zgrzeszyliście! — Oni też przyznali się zaraz do winy, a widząc wyraźny gniew boży, postanowili przebłagać go ciężkimi pokutami, które sami na się nałożyli; Barnaba zaś postanowił zwrócić królowi, co jest królewskiego; wnet zabrawszy skarby zostawione, udał się z niemi do Gosławic, gdzie król na wypoczynek zwykle wieczorem z łowów powracał. Tu czekał na niego do nocy, a uzyskawszy wreszcie posłuchanie, stawił się przed nim w pokorze i rzekł: — Królu miłościwy! jestem Barnaba, pustelnik i najstarszy brat tych czterech, których dzisiaj przez niewiedomość pokusiłeś do grzechu. Ślubowaliśmy na ubóstwo, a oni od ciebie złoto przyjęli. Daleś im skarby tego świata, a odebrałeś skarb niebieski, to jest nieustającą łaskę Pana. Odbierz królu, co twego; a przyczyn się za nami mo-

dlitwą do Boga, aby nam przywrócić raczył spokojność naszą doczesną i zbawienie wieczne!

Król zdumiony prostotą i świętobliwością Barnaby, czuł to sam u siebie, że źle zrobił, kusząc światowemi bogactwy święte ubóstwo; ale jako był dumny z natury i ze stanu swego, nie chciał się zaraz przyznać do winy, i mówił, że owo złoto zostawił na wybudowanie kościoła, w którymby niezadługo chciał widzieć odprawianą chwałę bożą; aliści miasto odpowiedzi, począł tu Barnaba gorzko płakać i znów się radośnie uśmiechać; czém król mocniej jeszcze zdumiony, zapytał się o przyczynę tego dziwnego płaczu i śmiechu; a Barnaba rzekł: — Płaczę, mój królu, nad straszną, choć sprawiedliwą karą, jaką Bóg w tej chwili braciom moim za ich przewinienie wymierza, a raduję się ze szczęścia, jakie ich czeka w niebiesiech! — I tu, duchem proroczym natchniony, oświadczył królowi, że dworzanie jego widząc pozostawione braciom pustelnikom bogactwa, unieśli się chciwością i śpiących nocną porą napadli, a niemogąc znaleźć owych skarbów w żadnym domku pustelnicznym, rozumieli, że je gdzieś w ziemi zakopano, i męczarniami chcieli wymóżyć ich odkrycie; co gdy niepomogło, przez złość, czy też z obawy, aby poznanych niedoniesiono królowi, wszystkich braci pomordowali okrutnie. — Widzę tę krew męczeńską! — wołał płacząc Barnaba; w tej chwili dokonywają swój zbrodni; — ostatni i najmilszy brat mój Mateusz upada pod żelazem zabójców. Ale Bóg sprawiedliwy nie dopuści im ucieczki, którą chcą się ocalić!

Król usłyszawszy to, natychmiast wysłał łuczników, dla schwytania morderców, i wnet ukazała im się wielka światłość po nad puszciami i wiodła ich na miejsce dokonanej zbrodni. Była to luna bijąca od chat podpalonych przez zbójców, którzy rozum utraciwszy, w koło nich biegali jak błędni, z dobytymi i krwawymi mieczami, które im do rąk poprzyrastały. Niewiedząc tedy dokąd uciekać, wnet się wszyscy dostali w ręce pogoni. Tej jeszcze nocy stawiono powiązanych przed królem, który, w gniewie okrutnym, chciał wszystkich zaraz pościnać; ale Barnaba wstawił się za nimi i jako dobry chrześcjanin prosił o litość nad nieprzyjacioly; czego jednak król wysłuchać nie chciał, bo był twardej woli. Otóż wtedy Barnaba widząc, że u ziemskiego mocarza politowania nie znajdzie, upadł na kolana i gorąco modlił się do Boga, aby niedozwolił zatraty tylu dusz grzesznych, które się pokutą i skruczą oczyścić jeszcze mogą na ziemi; a modlił się tak gorąco, że go Bóg wysłuchał i nowy cud pokazał, bo oto naraz opadły kajdany z rąk i nóg winowajców; co gdy król ujrzał, poznał w tém wszechmocny

palec boży 1przeciw jego wyrokom stawiać się nieśmiały i od-
dał Barnabie zbrodniarzy, którzy w nim zbawcę i świętego uznali
i poprzysięgli nigdy go odtąd nieodstąpić. Jakoż udali się z nim
na puszcze i tam nowy cud ujrzeli: bo oto owe domki, co tak
jasno w nocy gorzały, teraz przez ogień nietknięte stały w ca-
łości. Wprowadzili się do nich nowi pustelnicy i ciężkiemi
pokutami starali się sprawiedliwość boską przebłagać; jako też
Bóg pełen litości darował im ich winy; a ludzie pobożni po
dziś dzień na miejscu dawnych domków pustelniczych utrzymują
kaplice, do których częste odprawiają pielgrzymki.

10. Legenda o wizerunku Zbawiciela w trybunale lubelskim.

W sali trybunalnej czyli sądowej w Lublinie do dziś dnia
pokazują krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, nad którym
stoi napis wielkimi złotemi literami: *Justitias vestras ju-
dicabo*; co znaczy: będę sądził sprawiedliwość waszą. Wize-
runek ten ztąd jest osobliwy, iż Chrystus Pan ma twarz od-
wróconą, tak, że rysów jej niemożna widzieć; jednakże rzeźbiarz
niebył go tak wystawił, ale pewien wypadek stał się przyczyną
tęj zmiany.

Była pewna wdowa szczupłego bardzo majątku, uciśniona
niegodziwym procesem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była
jak bursztyn czysta, ale magnat przekupiwszy wszystkich sędziów
trybunału, zyskał wyrok w brew prawu i sumieniu. Gdy wyrok
ten ogłoszono publicznie, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na ca-
ły głos w izbie: — żeby mię sądzili diabli, sprawiedliwszy był-
by wyrok. — A że sumienie kłuło nieco panów sędziów, na
roki jej niepozowano i wszyscy udali, jakoby niesłyszeli, z czem się
odezwała; a że to było pod koniec sesyi, porozjeżdżali się mar-
szałek i sędziowie, tak duchowni jak świeccy; została się tylko
kancellaryja i pisarze trybunalscy. Aż tu zajeżdża przed trybu-
nał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontu-
szach, drudzy w rokietach, z rogami na głowie i z ogonami,
które się z pod sukien dobywały. I zaczynają iść po wscho-
dach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej, zajmują krzesła, jeden
marszałka, drugi prezidenta, inni sędziów. Pomiarkowali się
pisarze i kancellaryja, że to byli diabli, i w wielkim strachu przy
stołach swoich siedząc, czekali, co z tego będzie. Wtém dia-
beł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tęjże wdowy.
Przystąpiło do kraty dwóch diabłów adwokatów, jeden bronił
wdowy, drugi owego magnata, ale z dziwnym dowcipem i wielką

praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie diabeł marszałek przywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie diabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąć pióro. Zbliżył się pisarz wpół umarły z bojaźni, i przymrużając oczy, zaczął wyrok pisać, jaki mu dyktowano.

Wyrok był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus, na taką zgrozę, że diabli byli sprawiedliwsi niż trybunał, przenajświętszą krwią jego wykupiony, i w którym tyłu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił i oblicza swego niepokaze (jako miał o tém objawienie świętobliwy jeden Bazyliański lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzędajności w sądach, łakomstwa w księżach i pijaństwa w ludzie. Ow dekret diabli podpisali; a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu, i położywszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunalski, zniknęli. Następnej sesji sędziowie znaleźli wyrok diabelski, gdzie był położony; bo rozumie się, że nikt z pisarzy ani z kancelaryi ruszyć go nieśmiał. Złożono go na wieczną pamięć w archiwach; a Chrystus dotąd jeszcze przenajświętszego swego oblicza nieodwrócił.

ROZDZIAŁ V.

Rysy życia ludzi świętobliwych i uczonych.

1. Miłość synowska.

Działo się to za czasów Zygmunta III. Horda tatarska pustosząc piękne ziemie Podola ogniem i mieczem, rozlała się na Pokucie, i wtargnęła nawet na ziemię Halicką. Tysiącami gnano lud wiejski w niewolę, rabowano kościoły, i dworce szlacheckie puszczano z dymem. W jednym z takich dworców mieszkał Pan Krzysztof Strząbski, podsędek ziemi Halickiej, wraz z matką, świętobliwą osobą, do której syn czuł tak wielkie przywiązanie, iż postanowił niewchodzić w stan małżeński, aby nową panią w dom nieprowadzać, i niedzielić téj wielkiej miłości, jaką dla d wczyni życia chował w swém sercu. Skoro tylko gruchnęła wieść o wpadnięciu Tatarów, zwołaném zostało pospolite-ruszenie, do którego się Pan Krzysztof z pocztem swoim

przyłączył. Kiedy koło Lwowa zbierały się wojska Rzeczpospolitej, tymczasem dwory szlacheckie w ziemiach podolskich wystawione były na pierwszy ogień. Panu Krzysztofowi żal było opuszczać jedyną matkę; ale tém się pocieszał, że horda niepomknie się tak daleko w głąb kraju. Na nieszczęście hordy nieznachodząc oporu, wpadły w ziemię Halicką, i w liczbie innych dworów, dwór Pana Strząbskiego padł łupem rabunku i pożogi. Nakoniec nadeciągnęło pospolite-ruszenie: podstęp przybywa do swojej wsi — widzi na miejscu dawnych budynków dworskich tylko kupę zgliszczy i popiołów; a gdy pyta o najmilszą matkę, dowiaduje się, że ją Tatarzy w jassyr czyli niewolę zabrali! — Na taką wiadomość ledwie niepekło serce synowskie. Jakżeby rad był mieć skrzydła i skrzydeł dodać swoim żołnierzom, aby piorunem puścić się za hordą uchodzącą do Krymu z łupami i brańcami. Darmo! Tatarów niebyło, wyprawa się skończyła, i pospolite-ruszenie rozeszło się. Cóż pozostało Panu Krzysztofowi? oto szukać innych sposobów. Naprzód tedy przez listy dowiedział się, że matka jego jest branką samego Chana krymskiego, i że Chan wiedząc jako jest z majątnego domu, żąda znacznego okupu.

Lubo Pan Krzysztof, obywatel rządny i gospodarny, miał piękne zasoby i obszerne włości, jednakże po spustoszeniu tatarskiem, majątek jego znacznie ucierpiał; co było gotowego grosza, rozeszło się na potrzeby wojny i na poddanych, a pożyczycie nikt niechęciał, bo wszystka niemal szlachta okoliczna poniosła klęskę. Ubiegło więc blisko parę lat, zanim poczciwy syn zdołał zgromadzić sumę kilku tysięcy ówczesnych złotych na okup matki. Wybrał się więc w znacznym orszaku ludzi zbrojnych i konnych, (dla ostrożności w przebywaniu stepów napełnionych rozbójniczymi hordy) i wziął z sobą wygodną kolebkę czyli powóz, w którym matkę miał przywieść. Tak przysposobiwszy się do onej drogi na Krym, wyruszył i szczęśliwie przybył do Bacezy-Saraju, stolicy chańskiej. Przyprowadzony przed Chana, oświadczył, iż przywozi okup, i zaklina go, aby mu co najprędzej pozwolił widzieć najdroższą matkę. Chan z politowaniem i czcią spojrział na dobrego syna i dał rozkaz. Gdy tedy Pana Krzysztofa zaprowadzono do domu, gdzie się mieściło wiele brańców chrześcijańskich, owi brańce postrzegłszy go, ze łzami radości witali, zapytując, czy nieprzybywa z okupem dla wszystkich. — Przychodzę tylko po matkę moją, Panię Strząbską — odpowiedział. Co gdy brańce usłyszeli, z żałosnym krzykiem ozwali się: — Panie synu! czemuż tak późno? wasza matka dogorywa! — Pan Krzysztof uderzony temi sło-

wy, ledwo że niepadł na miejscu; ale reflektując się i niedowierzając tak srogiemu nieszczęściu, rozepchał tłum i wpadł do izby, gdzie w kącie ujrzał nędzne postanie i wynędzniałą i schorzałą niewiastę na niem, i jakiegoś starca klęczącego obok, który odmawiał na książce modlitwy. — Matko moja! — zawołał, padając przed nią na kolana. — Synu! — cichym głosem wyrzekła staruszka — przyjmij to ostatnie macierzyńskie błogosławieństwo! — Co powiedziawszy, wyschłą rękę położyła na głowie syna i ducha oddała. Biedny Pan Krzysztof gorzko zapłakał nad martwem ciałem, ale zarazem uczynił ślub, że zwłoki jej sprowadzi do ojczyzny i w świętej ziemi pochowa. Udał się więc do Chana o pozwolenie przewiezienia ciała. Chan zezwolił, wziąwszy okup jak za żywą. Pan Krzysztof wiedząc, iż Turcy i Tatarowie znają się na ziołach, i umieją ciała balsamować, zawezwał lekarzy, którzy nabalsamowali wonnościami ciało nieboszczki, żeby zepsuciu niepodpadło w tak długiej podróży i w porze gorącej. Gdy już wszystko było gotowe, kazał urządzić karawan, przykryć go kirem, trumnę nań włożyć, i tak w orszaku sług i dworskich, ubranych w czerni, przy śpiewie pobożnych pieśni kościelnych, ciągnął przez kraje tatarskie. O dziwny i niestychany był to widok dla pogańskiego narodu! wszędzie, gdzie przejeżdżano, wybiegali tłumami Tatarzy ze wsiów i miasteczek, nie w zamiarze, aby chrześcianom coś złego wyrządzić, lecz, aby podziwiać tak wielką miłość synowską. — Starzy Tatarowie nawet prowadząc dzieci swe, wskazywali im Pana Krzysztofa, jako człeka świętego, powiadając: — Patrzcie! oto syn, co swoją matkę kochał! za trupa jej takie same dał pieniądze Chanowi, jakby za żywą, i teraz prowadzi ją o kilkaset mil, by na własnej ziemi pochował! — Otóż kiedy Pan Krzysztof przebył tatarskie stopy, a wjechał w granicę Polski, zaraz w pierwszym kościółku, jaki natrafił, odbył nabożeństwo za nieboszczkę, i dopiero szczęśliwie dowiózł do wsi swojej dziedzicznej, gdzie ją z wielką paradą pochował.

2. Żywot Kazimierza Korsaka.

Kazimierz Korsak, urodzony z dawnego szlacheckiego i bogatego domu na Litwie, nie miał innego rodzeństwa, krom jednej siostry. Od pierwszej młodości czuł on wielką skłonność do Boga, do pogardy świata, jednak nie zaraz przyszło mu światło z góry, jakąby drogą to wykonał. Po skończonych szkołach udał się na chleb rycerski i wojny odbywał, chcąc podobnie jak przodkowie jego wywiązać się z długu ojczyźnie. I w tym jednak

zawodzie wskazywał mu Bóg przez częste natchnienia, aby w prostym wieśniaczym stanie szukał zbawienia duszy swojej. Wahał się długo Kazimierz, bo mu trudno było od razu zejść z wysokości pańskiej do ostatniego poniżenia i ubóstwa, w jakim zwykle żyją kmiotkowie. Gdy tak ze sobą walczy, do tego zwycięstwa nad pychą i próżnością świata pomógł mu następny przypadek:

Od pólkownika swego Kazimierz wysłany na podjazd, że o żadnym niebezpieczeństwie od nieprzyjaciela niesłyszał, na noc z żołnierzami swymi rozłożył się w jednej wsi i spokojnie zasnął. Wtém w głęboką noc przypadł nieprzyjaciel; na trwożę porwali się żołnierze, i Kazimierz się porwał, a z prędkości w ciemnej izbie zamiast swoich sukien, chłopską gunię wziął na siebie, i w niej wsiadł na koń, uderzył na nieprzyjacielskich Tatarów i odpędził ich szczęśliwie. Już też i świtać poczęło, a gdy po sobie pogląda Kazimierz, widzi się w owej guni, a nie w swój sukni, i zaraz głos wewnętrzny słyszy: — Otoż cię Bóg tak stroi; ta to jest sukienka, w którą cię Bóg chce zbawić. — Co gdy pilnie rozważa, niechęć się woli boskiej sprzeciwić, konie, suknie, sprzęty rozdał ubogim, osiadł na puszczy, i tam samemi korzonkami i ziołami żyjąc, trawił czas na modlitwie; jednak i tu niebył spokojny, bo mu się zdawało, że jeszcze nie tak robi, jak Bóg chce. Zaczem rozważając przeszłe natchnienia swoje do wiejskiego i pracowitego życia, przelamał w sobie resztę światowej pychy, i jako był wycieńczony postami, spalony od słońca, zarosły i obdarty, udał się do pewnej wioski, gdzie u chłopa służbę przyjął, a z taką ochotą i wiernością wieśniacze robocizny odprawował, jakoby do nich od urodzenia był przyuczony. Przymiłem zawsze był nabożny, w obyczajach skromny, pokorny i posłuszny. Widząc to jego gospodarz, a poważając go bardzo, przymiłem chcąc mu zawdzięczyć, córkę mu swoją jedynaczkę pragnął dać za żonę, ale się Kazimierz z tego wymówił, a bojąc się, żeby nań znowu nie nalegał, i żeby się jeszcze tym bardziej poniżył, przeniósł się do wsi niegdyś swój dziedzicznej, która teraz należała do jego sióstr, i tam poddanemu własnemu ofiarował się za parobka. Jako bardzo zarósł, wynędzniał i podstarzał się, tak go nikt a nikt z ludzi niepoznał, nawet i własna siostra, która go nieraz widywała, gdy na pańszczyznę chodził do dworu. Co więcej, ci, co u niego niegdyś służyli, pastwili się teraz nad nim, okładając nieraz kijmi, hańbiąc najczelźwyszemi słowy; siostra nawet sama, kobieta gwałtowna i okrutna dla poddanych, skazywała go na ciężkie bicie; on znosił to wszystko z świętą cierpliwością i milczeniem, i

prosił Boga, aby bóle jego przyjął jako małą pokutę za grzechy niedobrych panów. Siedem lat przetrwał na takich pracach i mękach, nakoniec zwątlony śmiertelnie, zachorzał; gospodarz jego widząc to, niezmiernie on się zasmucił, a Kazimierz go prosił, aby mu księdza sprowadził, mówiąc: — Idź na publiczny gościniec; księdza, którego tam spotkasz, sprowadź do mnie. — Chętnie uczynił to gospodarz, i napotkawszy w istocie jadącego księdza Podoleca, zaprosił do chorego. Kazimierz przywitał księdza po łacinie, czemu się ksiądz niezmiernie zdziwił. Poczém uczynił przed nim jeneralną spowiedź z całego życia, i opowiedział pociechy, jakich doznał od Boga w tym wzgardzonym kmiecyim stanie. Nakoniec zaklął, aby nikomu tej tajemnicy niewydał, i aby go pochowano na cmentarzu wiejskim, kładąc na grobie prosty krzyżyk drewniany. Dopełniwszy tego aktu, oddał czystego ducha w ręce boskie. Ksiądz Podolec wiernie dochował mu tajemnicy, gdyż dopiero po śmierci tego kapłana znaleziono w jego papierach opisaną całą historję o Kazimierzu Korsaku.

3. Młodość Tadeusza Rejtana.

Historja szeroko pisze o zasługach Pana Rejtana, gdy był wodzem konfederackim i posłem na sejm r. 1773; charakter jego i cnoty są tam wystawione w tém świetle, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu. Młode jego lata, spędzone w szkołach, zawczasu dały poznać, czém miał być na przyszłość; dla tego chcę wam skreślić kilka obrazków, iżbyście z tego brali pobudkę do wczesnego zamilowania cnoty i sprawiedliwości. Tadeusz urodził się w Struszowie, w województwie nowogrodzkim, roku 1742, z rodziców słynących starożytnością domu i pięknymi cnotami obywatelskimi; oni to wszczepili w serce dziecka wielką bogobożność i miłość ojczyzny. W szkołach Jezuickich w Nowogrodku, gdzie początkowe odbierał nauki, mały Tadeuszek potrafił sobie zjednać miłość, a nawet wysoki szacunek u swoich współuczniów, chociaż zwykle był ponurego charakteru, w zabawach zamyślony i niełatwy do prędkiego zaprzyjaźnienia się. Jeżeli jaki obywatel, nawiedzający ojców Jezuitów, o dawnych rzeczach narodowych rozprawiał; Pan Tadeusz wszelkie zabawy opuszczał, w głębokim milczeniu przysłuchiwał się tym opowiadaniom i już nic z zadumania rozerwać go nie mogło. Ze klasztor Jezuicki był fundacyi Jana Karola Chodkiewicza, sławnego pogromcy Szwedów i Turków, jego obraz w kościele wisiał: to

on bywało, jak oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a Professor musi go dobrze potrząść, nim się upamięta, że w kościele na oltarz, a nie na co innego patrzeć potrzeba. Ojcowie Jezuici długo usiłowali oduczyć go tego ustawicznego zamyślenia się, ale przekonawszy się, że to było napróżno, dali mu pokój, ile że w postępach swoich był bardzo łagodny i pokerny dla zwierzchności szkolnej. Chociaż Jezuici dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a Pan Tadeusz ani razu nie był strofowany. Raz tylko odebrał karę i silną, a to z powodu, że się był pokłócił z Panem Władysławem Oskierko o jego naddziada Hetmana Gosiewskiego, którego uważał za zdrajcę, sprzysięgającego się ze Szwedami przeciw własnemu Królowi. Z kłótni przyszło do bitwy; napaść była ze strony Tadeusza. Ksiądz Rektor zaparł go do kozy i cztery tygodnie trzymał o chlebie i wodzie. Dopiero kiedy Pan Kasztelan Oskierko, ojciec Władysława, przyjechał, sprawę całą złagodził; Pan Rejtan wypuszczony, podał rękę Oskierce i odtąd dochowywali sobie obopólnej przyjaźni.

W szkołach księży Jezuici zaprowadzili byli różne zabawy, które uczniom wielce smakowały: między innemi potykanie się na palcaty, czyli na kije. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie, czyli przy końcu przestrzeni, była mogiła usypana, którą nazywano taborzem. Szkoła dzieliła się na dwie części, niby na dwa wojska potykające. Cała wygrana zależała na opanowaniu taboru przeciwnego; młodzież zażarcie biła się, aby swój obronić, a nieprzyjacielski zdobyć. Zwyczajnie dzielono się na Polaków i Turków, a losy ciągnięte stanowiły, do której strony każdy miał należeć. To Pan Tadeusz, co był jeden z najlepszych w palcaty i niemiłosiernie w tych udawanych bojach częstował nacierających na niego, ile razy mu wypadło być Turkiem, najłabszym nawet bić się dawał. Kiedy mu się dziwiono, że guzy bywało nosi od takich, co ledwo palcat w rękę trzymać umieją, on, co sływał z siły i wyprawy, odpowiadał: — Cóż chcecie, kiedy ja i żartem znieść nie mogę, aby naszych Turcy bili.

Bywały, jakto zwyczajnie po szkołach, częste zatargi między studentami a przekupkami i Żydami, i o to tak gęste skargi do Professorów, że rady sobie dać nie mogli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Jezuici wpadli na myśl szczęśliwą, której skutecznienie wyrobili u Jabłonowskiego, Wojewody naówczas nowogrodzkiego; a to, aby był sąd szkolny, przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie sprawy ich z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporzą-

dzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki być w sprawach swoich na dyskrety studentów; ale wkrótce błogosławiły téj ustawie, bo większej sprawiedliwości pod słońcem naleźby nie mogły. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z Prezydenta, czterech Sędziów, dwóch Pisarzy, i Regenta. Studenci wnosili sprawy, a nawet żalące się stronie sąd dawał obrońcę studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w sądzie grodzkim; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia publicznie. Co roku sejmikowano dla wyboru urzędników, ale jak raz wybrano Prezydentem Pana Tadeusza, nie przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. To Pan Tadeusz bywało, aż mu książki z rąk wydzierają Professorowie, tak się prawa uczy, aby do niego wyroki swoje umiał stosować. Razu jednego brat jego, Pan Józef, przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał i o to się sprawa wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się upierała, aby koniecznie sądził; ale on tego nie przyjął, mówiąc: — Tu nie idzie o ufność, ale żeby robić jak prawo każe, a prawo niepozwała, żeby krewny krewnego sądził. Wolę prawa pilnować, niż się cieszyć chlubą, że w sądeniu, na rodzzonego brata nie oglądałem się. — A że jak co wyrzekł, od tego i przed hakamiby nie odstąpił, więc taki się usunął i nie sądził.

Jakim był w szkołach, to jest pełnym charakteru, prawości męstwa i poświęcenia się, takim w dojrzałszych latach był obywatelem. Kto czyta historję naszą, ujrzy jego czyny, jego bohaterką stałość w obronie praw i wiary, a oraz jego smutny koniec; trzeba bowiem wiedzieć, że z rozpaczy po wielkich nieszczęściach, jakie go dotknęły, dostał był pomięszania zmysłów, i w téj chorobie, szybę rozbiwszy, szkłem żywot sobie rozpruł. Przed skonaniem wróciła mu przytomność umysłu; przykładnie przygotował się na śmierć, i te ostatnie słowa wyrzekł: — Rozmyślnie nigdy mego Stwórcy nie obraziłem, i najmniejszego powątpiewania nie miałem o wierze. Mam nadzieję, że Jego miłosierdzie i zasługi Jego najdroższego Syna mię nieominą; a cierpienia mię nędznego, ofiaruję Tobie, o Panie! przyjmij je za grzechy moich współbraci!

4. Dziecięce lata Kazimierza Brodzińskiego.

Mąż, którego wam żywot dziecięcy opowiem, wysłużył sobie sławne imię w naszym narodzie; w młodzieńczych latach, w czasie wojen Napoleońskich, walczył jak żołnierz, potem zło-

żywszy broń, poszedł za skłonnością swoją do nauk i do poezji, z bogacił kraj pięknymi utworami, i jako professor uniwersytetu warszawskiego rozszerzał światło nauk i pojęć z wielkim pożytkiem dla kraju. W dziecięcych latach walczył z ubóstwem i z tysiącem przeciwności, lecz umysł wyższy wszystko zwyciężył i doszedł swojego celu.

Kazimierz urodził się r. 1791; od urodzenia był szczupły i słabowity; doktor mu przepowiedział, że dłużej nad tydzień niepożyje; tymczasem niebo inaczej zrządziło, bo sam doktor umarł w parę tygodni, a Kazimierz żył jeszcze lat czterdzieści kilka. Staranności wiejskich kobiet, ich pielęgnowaniu, winien Kazimierz, że został przy życiu; dla tego może tyle zawsze objawiał w pismach swych miłości do biednych wieśniaków.

Ojciec jego był plenipotentem Starosty Moszyńskiego, a przytém dzierzawcą dóbr lipnickich w krakowskiem. Była to wieś w uroczem położeniu. Dwór staroświecki z narożnikami i ogrodem w jak najprościejszych szpalerach. Po jednej stronie staw obszerne, w koło którego rozległe trawniki rzędami lip wysadzone; za niemi góry ozdobione rozrzuconemi chatami, drzewami owocowemi wszelkiego rodzaju, a najwięcej zasadzone chmielem, który umajając gęsto zasadzone tyki, całej okolicy postać winnicy nadawał. Na wschód łąka w nizinie, często wodą zalewana, przez którą długie ławki do prostego wiejskiego kościółka prowadziły. Kościółek ten stary, drewniany, otoczony smętaczem i lipami, oddalony od wsi, na wzgórk, miał postać dziwnie malowniczą.

Nabożeństwo było jego najmiłą zabawą. W jednej izbie dworca był ołtarz z jakiegoś kościoła; brat jego starszy, Andrzej, zawsze niby mszę odprawiał, a reszta mniejszego rodzeństwa chodziła za nim z dzwonekami. Dzieci wiejskie składały parafię; a święto Bożego-Ciała, Znalezienie ś. krzyża, obchodzone było processyją w kapach ze złotego papieru.

Kazimierz miał piąty rok, kiedy go odumarła matka. Z szczegółów śmierci jej dwie tylko rzeczy pamiętał; kiedy leżała w trumnie cała w bieli, i kiedy ksiądz rzucił drobną działwie straszną przepowiednię: — Dzieci! będzie was biła macocha. — Z opowiadań wiejskich kobiet o dobroci nieboszczki matki, wyrobił w swęj duszy to niezmiernie przywiązanie synowskie, i w najsmutniejszych wypadkach życia zawsze się modlił do niej, jako do świętej patronki. W dziecinnym nawet wieku napisał był elegiją do cieniów matki, pisał ją, zanosząc się od płaczu, w nocy, na oknie przy świetle księżyca. Starszy brat jego, Andrzej, powiadał, że to była bardzo rzewna i tkliwa

elegia. I tak Kazimierz, choć prawie niedoznał miłości macierzyńskiej, czuł, jak mało dzieci, co to jest matka. Imię jej, od lat najmłodszych było dla niego świętym nazwiskiem. Sam widok innych dzieci, doznających pieczętów macierzyńskich, napełniał go rzewnym uczuciem, i nigdy niemógł utulić się w smutku, gdy słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego; zdawało mu się, że synowie, mający matki, chociaż ubożsi od niego, są to jakoweś wyższe istoty, przeznaczone do szczęścia. Uczucie to każdy pojmie, kto lat dojrzalszych doszedłszy, nieznał, co uścisk rodzicielski. Niemiec matki, która jedynie wychowanie serca dać może; niemiec istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z onemi pierwszymi uczuciami, wywnętrzyć; to jest, co nam najwięcej nadaje owo uczucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziej niebaczość na swoje postępowanie, od drobnych nałogów, marzeń i przykładów począwszy. Jest to wrodzoną człowieka potrzebą, żeby kochał swą matkę; a kto jej niema, upatruje ją wszędzie i we wszystkim chce ją sobie nagradzać. Do znanj matki tęsknimy w całym życiu, jak do ziemi, na której się nasze życie rozwijać zaczęło; o nieznanj marzymy, jak o raj, lub świecie obiecany, a nagradzamy ją sobie, tworząc w myśli jak najdoskonalsze wyobrażenie.

Ojciec Kazimierza, po śmierci żony, przeniósł się do Lijnicy murowanej. Duże gospodarstwo i pięcioro drobnych dzieci, zniewoliły go, acz już był w podeszłym wieku, szukać powtórnej małżonki. Wkrótce nieszczęściem ją znalazł. Była to osoba ładna, lecz uboga. Spodobala się ojcu; on dostał żonę, dzieci macochę. Skromna i pokorna z początku, stała się wnet pysznym aniołem i cały dom w piekło zamieniła. Panując samowładnie nad słabym i powolnym mężem, stała się postrachem nietylko domu, ale całej wsi i okólnych sąsiadów. Pijaństwo, obok najgwałtowniejszych passyj; brak wszelkiej znajomości świata, obok wielomowności; chciwość robienia majątku niegodziwemi sposobami, obok chęci okazałości; duma z swego rodu, od którego była nienawidzoną; były to jeszcze lekkie jej wady. Ojciec powolny, skąpy, ale jak najmniej gospodarny, ceniący spokojność, choćby z ofiarą wszelkiego dobra, w domu nic nieznaczący, łagodny i względny dla każdego, a z natury najcierpliwszy, gorszą niż Sokrates szkołę tej cnoty przebył u swojej Ksantypy. Umiała ona wszelką intratę z dóbr na swoją tylko korzyść obracać, i z majątku męża osobny zbierać dla siebie; procesa z gromadą, z plebanem, z sąsiadami, z każdym, o kogo można było zahaczyć, prowadziła najzapamiętałiej. Dom stawał się

zbiorem owych niezemnych prawników, którzy ją tyle swojej sztuki wyuczili, że ich znowu w łapki prawnicze chwyciła. Kiedy ją zwykła wściekłość napadła, stawała się podobną do jędy piekielnej; nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy parobek, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu niebył bezpiecznym. Umiała równie głosem jak razami zagłuszyć. Sędziwy ojciec uchodził w ten czas w pole, śpiewając łacińskie psalmy, a dzieci do niego się tuliły. Kiedy ją ta wściekłość mijała, udawała boleńie serca i kolki, i w ten czas krzyczała, że na całą wieś było słyhać. Plagi, bicie wieśniaków i służących, rzucanie sprzętów za ojcem, pakowanie rzeczy do pojazdów, w celu porzucenia ni-by na zawsze ojca, były to zwykłe dzienne i wieczorne zabawy.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wychowanie taka macocha mogła dać swoim pasierbom. Najstarszą siostrę Kazimierza wysłał ojciec do krewnych, a czterech małych chłopaków zostało się w domu. Dzieci te rzadko przystęp miały do pokoju rodziców. Izba czeladnia i chaty wieśniacze, były zwykłym ich przytułkiem. Kiedy się pochorowali na odrę, leżeli pokotem w małej izdebce kuchennej, a żaden ze służących niemógł z rozkazu pani do biednych sierot przystąpić, aby niezarazić małej jeszcze córki macoszyniej, która opływała we wszelkie rozkosze. Starszy brat Kazimierza umarł; reszta zaś chłopców wyzdrowiała staraniem kobiet ze wsi, które ulitowawszy się nad sierotami, przynosiły im lekarstwa i opatrzenie. Najprzywiązansza i najlitościwsza z tych poczciwych wieśniaczek nazywała się Róża. Była to kobieta już stara, prawdziwa matka, bo wypiastrowała każde z tych dzieci. Ona to znosiła od macochy najgrubsze łajania, kulaki i służbę najprzykrzejszą, a wszystko nie dla jakiej nagrody, ale z czystej miłości, powiadając, że nieboszczka matka zakłęła ją przed śmiercią, aby nad sierotami miała opiekę.

Acz ojciec był dobry, jednak o dzieci mało dbał, i nie lubił ani je pieścić, ani z niemi rozmawiać. Wychowanie więc biednego Kazimierza było zupełnie zaniedbane, rósł sobie jak drzewko w polu, dziki, nieśmiały, ale swobodny, używał wolności w ten czas, kiedy użycie jej niemogło być szkodliwe. Bujając wolno po polach i górach, wczesniej nabrał zamiłowania natury, bo ta była mu jedyną przyjaciółką, przed którą mógł się być z świeżych swych uczuć spowiadać. Ten rodzaj życia w półdziki, a przytém poetyczny, wykształcił charakter jego, i na los dalszy wpłynął. Położenie Lipnicy murowanej było bardzo uroczce. Dwór leżał w dolinie, oblany rzeką, która z gór szumiąc spadała. Chaty rozrzucone po wyżynach, wśród sadów, czarujący w jesieni dawały widok. Młyn wodny nad stawem napelniał

łaskotem cichą dolinę. Pobok rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek wzniesione ku niebu Karpaty zdawały się być granicą ziemi. O kilkanaście staj widać było na wzniesieniu miasteczko, murowaną Lipnicę, z trzema starożytnymi kościołami, ku któremu droga wierzębami wysadzona i ścieżka przez piękną łąkę i cmentarz idąca. Widok tego miasteczka zawsze sprawiał Kazimierzowi odrazę. Była tam szkołka elementarna, do której musiał z bratem uczęszczać. Ulęwy, zaspasy śniegu, niemogły ich od przykrój podróży uchronić; w zimie była to wyprawa na cały dzień z kawałkiem chleba posmarowanego masłem. Nauczyciel owój szkoły był jakiś pocieszny i straszny człowiek: włosy miał pudrowane, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co, przy spiczastém czole, szczególną figurę czyniło, i różniło go od wszystkich innych mieszkańców, ubierających się po polsku. Żona jego wyglądała jak śmierć; chuda, wysoka, i ze złośliwém spojrzeniem. Okropny był dla dzieci widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie różgi w cebrzyk wodą napelniony składała. Tę brzezinę sam pan professor zwykł był ze spaceru przynosić. Na brzezinę gruntowała się u niego wszelka nauka. Wnętrze szkoły miało widok przerażający; w środku wisiał wielki krucyfiks; za ręce i za nogi Chrystusa i na gwoździach zatknięte były różgi, kilka prętów i dyscyplina. Był to wizerunek szkolnego męczeństwa. Pan profesor wszedłszy do szkoły z groźną twarzą, naprzód brał różgi i próbował je, i wydawały świst przeraźliwy. Miewał on często dziwny humor do bicia dzieci; za każde zająknięcie, każdą myłkę, smagał po rękę.

Dniem najokropniejszym była zawsze sobota. Na ten dzień przeznaczony był zawsze katechizm dawany po niemiecku, którego polskie dzieci ani z treści, ani z języka nierozumiały. Mało kto był, często nikt, żeby za katechizm chłosty ująć zdołał. Trwoga i cichość i roztargnienie, jakie w ten dzień panowały, trudne do opisania. Każdy zapytany, po pierwszym zająknięciu występował na środek klęczyć, i tak całe ławki się wypróżniły; wszystko klęczało, czekając w niezmiernj trwodze ostatniego, który ma być na to miejsce egzekucyi wskazanym; poczem nastąpił jeneralny płacz i prośby, wśród których każdy podług wieku odbierał przeznaczoną mu ilość plag. Zamykano w ten czas okno, płakać głośno broniono, gdyż często zdarzało się, że matki przechodzące, lub blisko mieszkające, usłyszawszy płacz dziecięcia, wpadały. W téj okropnej szkole przebył Kazimierz 3 lub 4 lata, nauczywwszy się ledwo czytać i pisać po polsku i

po niemiecku. Przestając najwięcej z wiejskimi chłopcami, zabrał z niektórymi przyjaciółmi i w ich towarzystwie używał zabaw wieśniaczych. Co to za rokosz była, po ukończonej nauce puścić się między góry i sady, dostać się po kilkogodzinnym głodzie i nudach na drzewo wiśniami lub gruszkami ciężące, pojechać na onych małych konikach, prowadzonych na paszę w dalekie dąbrowy, kąpać się i brodzić bosą nogą środkiem piaszczystej krynicy! W tych zabawach z prostymi wieśniakami był prawdziwie szczęśliwy! W domu nikt się o niego nie troszczył; niemiano mu za złe, choć się najdłużej bawił. Życie takowe zrobiło go nieśmiałym do ludzi wyższego stanu; a jednak wiele dobrego w niem zacerpnął. Nietylko bowiem słabe jego zdrowie nabrało sił i rzeskości, ale przytém serce nabrało przywiązania do rolników, którymi zepsuty świat pogardza. Z jakąż rokoszą przypominał sobie w późniejszych latach, gdy go chłopaki wiejskie uczyły konia dosiadać, iść za broną i umieć konia na inny zagon nawracać. Podczas mglistej jesieni trawiał często późne wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzach; gdy przy ognisku bajki opowiadano, które pod ów czas składały dla niego jedyną literaturę i zastępywały książki. Przez zaprzyjaźnienie się z synem jednego garncarza, nabrał był chęci do tego rzemiosła; cnotliwy garncarz widząc w nim ochotę i zdolność, zachęcał go do tego rzemiosła, mówiąc: — iż lepiej swobodnie pracować, niż być sierotą u macochy, która cię dziś zupełnie zaniedbuje, a po śmierci ojca z domu wypędzi. — Wieśniacy w tamtej okolicy więcej mają oświecenia, są porządniejsi i trzeźwiejsi, niż w innych prowincjach Polski; handel owocami, chmielem, płótnem, czyni ich zamożnymi. Stary Brodziński mało zasięwał gruntu; ubogim wyrobnikom i żołnierzom wysłużonym przeznaczał części na swoich łąkach, z bardzo małym czynszem. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie tak do ojca jak do dzieci, było bez granic. Żadna wieśniaczka, ani chłop, nieprzyszedł do domu, żeby dzieciom tajemnie przed macochą owoców lub kukiełek z jarmarku nieprzyniósł. Dla sierot i dzieci opuszczonych w tém wielkie jest szczęście, że współzucie i litość w obcych ludziach wzbudzają.

W lecie mieszkaniem Kazimierza i braci jego była stodoła; obok mieszkał staruszek ze swoją żoną, zwany gospodarzem, do którego dozór gruntów dworskich i wszelkie gospodarstwo należało. Mała ich izdebka była w zimie zwykłym mieszkaniem dzieci; ciepła, z palącym się ogniem na kominie, przy którym ci staruszkowie siedzieli. On był starym żołnierzem, ona dawniej służywała po dworach. Przyjemne to były wieczory, kiedy sta-

ruszek opowiadał o krajach włoskich i francuskich, a ona rozwijała niewyczerpany zapas różnych powieści. Jemu to winien Kazimierz tęsknotę do ziem nieznanych, do podróży. Opowiadanie o pięknych krajach włoskich i francuskich w tym sposobie, jak je mógł prosty żołnierz uważać, nappełniło dziwnymi marzeniami duszę dziecięcą. Żona jego niemniej obudzała w nim niespokojność, opisując różne zdarzenia przy dworach panów polskich; jak to młodzi ludzie i ubodzy odbierają od nich wychowanie, jak paradują, na koniach jeżdżą, jak dalekie podróże odbywają z panami, i tym podobne. Wszystko to było przypomnieniem obyczajów, które się już zmieniły; a on myślał, że kraj za górami tak jest szczęśliwy, jak sobie w niewinnej duszy wystawiał. Życie przy redzicach, mało on dbających, tem bardziej budziło w nim chęć do szukania szczęścia po świecie. Stał się odtąd smutnym i zamyślonym; a im bliżej ku wiosnie się miało, tem więcej umysł jego był niespokojny. Nakoniec z młodym bratem zaczął układać zamiar tajemnego wybrania się z domu i puszczenia się w świat na bożą opatrzność. Często wdarłszy się na dach folwarku, dumiał o szerokim świecie i przeglądał widokrąg, jak daleko tylko mógł okiem zasięgnąć. Ażeby ten zamiar przywieść do skutku, trzeba było zwierzyć się komuś; obrali więc za powiernika starego gospodarza. Człowiek ten prosty pochwalił zamiar i dodał zachęty. Nadmieniał jednak konieczną potrzebę pieniędzy i podał środek do ich nabycia. Ojciec ich odbierając co kwartał raty czynszowe, składał trzygroszniaki w osobny kufer. Było tej miedzi z pół kufra, który stał w osobnym niezamieszkałym pokoju. Gospodarz poradził, żeby nabrać tych pieniędzy, bo ojca prosić o nie niemożna. Za każdą więc sposobnością biedne dzieci brały po garstce trzygroszniaków, które składali w ręce gospodarza. Gospodarz lubił się czasami upijać; wysłany więc pewnego dnia na jarmark, błąkał się gdzieś ze trzy tygodnie, nakoniec z niczém do domu powrócił. Postępek dzieci wydał się, ojciec ich ukarał; a odtąd wielka przyjaźń ze starym żołnierzem była zerwaną.

Kazimierz żyjąc ciągle prawie z wieśniakami, przyznawał w dalszém swém byciu, iż łatwiej mu zawsze było postawić się w stanie prostych ludzi, niż wykształconych wychowaniem, z którymi żył później. Kilka słów wieśniaczki wystarczały dla niego, iżby wszedł w jej uczucie.

Jednym z najprzyjemniejszych wspomnień jego dzieciństwa były wesela wiejskie. Prostý nasz lud niema nad to ważniejszej uroczystości. U wieśniaków w krakowskiém trwa wesele blisko tydzień, a każdy dzień ma inne obrządki. Był piękny

zwyczaj, że każde wesele przez jedną noc bawiło się we dworze, w którym nowożeńcy z całym gronem doznawali gościnności i zarówno się z panami bawili. Muzyka, złożona z skrzypków i basisty, grywała codziennie przy ranniej i wieczornej zorzy, a jeden z družbów miewał oracyje wierszami o stanie małżeńskim. Widzieć te druchny, w kwiatach na głowie i mnóstwie wstęg różnego koloru na plecy spadających, różczkę starosty, to jest pięciogałęzią jodłę, umajoną rutą, stokrocią, jabłkami i orzechami, było dlań uroczą przyjemnością. Serce jego radowało się na widok orszaku, powiewającego na wzgórkach chustkami, na laskach zawieszonemi, i na odgłos muzyki wiejskiej. Do uroczystości wiejskich liczą się także święta religijne. Dzień Bożego Narodzenia pełny cudów, w którym o samej 12. w nocy przemawiać miały wszystkie zwierzęta, gdy sianem potrząsano podłogę i stoły, a po wsi wszędzie brzmiały wesole kolędy. Boże Ciało, Matka Boska zielna, a szczególnie Dni krzyżowe, w których obchodzono z processyją stare, po górach rozproszone kaplice, śpiewając litanie do Wszystkich świętych, podczas gdy echo dolin powtarzało każde: zmiłuj się nad nami!

W takimto prostym i religijnym świecie pędził pierwsze lata życia Kazimierz, wszystko to obudzało w nim uczucia poetyczne i religijne; tém więcej, gdy przypadkiem w starych szpargałach znalazł był żywoty Świętych polskich. Po stodolach i strychach czytywał to dzieło, i nie żartem przemyślał o życiu świętobliwem, takim, jakiego przykłady wyczytał w tém dziele.

Ojciec, lubo skąpy, widząc podrastających synów, oddać ich był zmuszony do szkół do Tarnowa. Szkoły pod ów czas były najgorzej urządzone. Uczono tylko po niemiecku i po łacinie; nic nie tłumaczono na polskie, jeno zadawano tyle a tyle i kazano się uczyć na pamięć. Młodzież nic zatem korzystać nie mogła, nieumiejąc po niemiecku. Kazimierz mało miał ochoty do tak niewdzięcznej nauki, za to skłonniejszy był do dumania, mianowicie w rzeczach religijnych. Z bratem starszym, Andrzejem, który był w wyższych klassach, mieszkał razem u jakiejś starej wdowy, która miała dwóch bardzo rozpustnych synów. Wdowa ta, osobliwie śmieszna osoba, miała pretensyję pochodzić ze szczerpu jakiegoś ksiąząt Spicimirów; synaczkowie jej także tą pychę się przejęli i najokropniej prześladowali biednych Brodzińskich, których mieli w podejrzeniu, że niesą szlacheckiego rodu. Po dwóch latach mieszkania u wdowy, ojciec ich uznał potrzebę umieścić ich gdzie indziej; następczo mu krawca, który tanio się zgodził; ale był to pijak zawołany; i najczęściej,

kiedy wszystko przepił, wynosił na zastaw dane do roboty sukno, a nawet i odzież biednych studentów, nietylko tę, co była w kuferku, ale i tę, co z siebie na noc zdjęli. Tym sposobem nieraz po kilka dni nieszli do szkoły, znosząc głód, zimno, przekleństwa nieszczęśliwej krawcowej, i skwierk zgłodniałych dzieci. Kazimierz przymuszony zostawać w zimnej izbie, nieraz po całych dniach siedział w pościeli, czytając nabożne książki, tę jedyną w strapieniu pociechę. Szczęściem nadjechał ojciec i wyrwał ich z tego piekła, najawszy stancję u jednego z kancelistów sądowych, którego mieszkanie po dawniejszemu zdawało im się pałacem. Kancelista był rodem Węgrzyn, niezmiernie powolny, przystojny, i także lubiący butelkę. Życie tam mieli dobre, nawet za nadto huczne, ale tylko na początku każdego kwartału, gdy kancelista pensję odebrał, ale koniec zawsze bywał smutny dla zupełnego braku funduszków. Wszystko szło na zastaw, nawet suknie dziecinne. Kazimierz był faworytem kancelisty, który go zwykł był brać do szynkowni z sobą, gdzie pito miód i wino; on zaś lubo w szklankach nie miał udziału, za to wynagradzał sobie bułkami dawanemi do przekąski.

Przez ten czas parę razy jeździli do domu na wakacje, gdzie się macosze nawet niepokazywali na oczy, trawiąc całe dni w polach i lasach. Jednego roku w zimie sąsiedzi przysłali po nich do Tarnowa, gdyż ojciec był śmiertelnie zachorował. Stało się to bez wiedzy macochy. Przybywszy, zastali ojca spowiedź czyniącego; przy łóżku obok krucyfiksa świece górzwały. Był to właśnie moment, w którym ojciec podpisał testament. Skoro takowy odczytano, macocha wpadła w taką passję, iż w pokoju chorego porywała obrazy i inne sprzęty i z krzykiem największym ku łóżku miotała. Ojciec modlił się tylko po łacinie. Macocha gdy ujrzała w tej chwili wchodzących pasierbów, gniew jej zwrócił się ku nim, a mianowicie ku obecnym sąsiadom, za to, że ich sprowadzili dla zabrania majątku po ojcu. W ojcu widać było mocne poruszenie, rzucił na dzieci żalonym wzrokiem, i kazał je oddalić. Nazajutrz uzyskawszy przystęp do chorego ojca, odebrali od niego błogosławieństwo i kazał im do szkół odjechać. Wszyscy domownicy płakali biednych dzieci, mianowicie żyd arendarz, koło którego przejeżdżali, obdarzył ich różnemi lakotkami i każdemu dał po dwa złote; była to summa, jakiej nigdy w życiu nie mieli. Andrzej ukończywszy gimnazyjum w Tarnowie, został przeniesiony na Uniwersytet do Krakowa, Kazimierz mu towarzyszył. W Krakowie także trafili na nieszczęśliwą stancję; ojciec, skąpy zawsze, umieścił ich u stolarza, wielkiego pijaka i oszusta. Dzieci umierając prawie

z głodu, bez spokojnego kąta, gdzieby się uczyć mogły, w najsmutniejszym były położeniu, aż obcy jakiś człowiek zlitował się nad niemi, i umieścił ich gdzieindziej, gdzie i stół znaleźli porządny i dobre mieszkanie, i innych uczniów. Był to raj prawdziwy dla sierot. Gdy Andrzej oddawał się naukom w Akademii, i sił swoich próbował w poezyi, Kazimierz zostawiony samemu sobie, cały czas trawił na samotnych przechadzkach i rozmyślaniach, i na zbieraniu i zaszuszeniu ziół, na czem całe przedpołudnia trawił na górze Ś. Bronisławy. Książek nieczytywał, bo ich nie miał; historyczne pomniki Krakowa nieobchodziły go, bo nie znał historii swojej ojczyzny. Ojciec wyszedłszy z długiej choroby, przybył nakoniec; zapłacił nowemu ich gospodarzowi; lecz zaraz po jego odjeździe doszła ich wiadomość, że życie zakończył. Był to starzec szanownej postaci, noszący się starannie po polsku; niepodgolał włosów, ale je zaczesywał od czoła, spuszczać siwe loki na plecy; powolny, milczący, wtenczas się tylko do dzieci odzywał, gdy na polajanie zasługiwały. Wymyślny sam w pięknym ubiorze polskim, synom rzadko nowe suknie sprawiał; lecz z swój garderoby przerabiać kazał dla nich kapotki. Co rok, w czasie wakacyj, rozwieszano na dziedzińcu do stu kontuszów i żupanów, i czyniono z krawcem przegląd, które z nich dla dzieci przerobione być mają; zład to miewali nieraz suknie w różnych dziwacznych kolorach. Andrzejowi pewnego razu przypadła suknia z żółtymi pasami, z której frak mu zrobiono; wyśmiewany był od wszystkich uczniów.

Po śmierci ojca, gdy się nikt do nich nie zgłaszał, aby im stancję zapłacić, obaj Brodzińscy znaleźli się prawie bez sposobu do życia; Andrzej zarabiał sobie cokolwiek, pisząc u Adwokata; Kazimierz przedsięwziął udać się do macochy. Uszywszy sobie z prześcieradła torebkę, zabrawszy manatki, puścił się w drogę o 8 mil do miejsc rodzinnych; słabe zdrowie, brak wprawy, zaledwo dały mu tę podróż ukończyć. Stanąwszy w Lipnicy, ze drzeniem serca zbliżał się do domu. Nie zastał tam macochy, która, jak się dowiedział, zadzierzawiła plebanią w Rajbrodzie, o pół mili od Lipnicy. Jeden wieśniak go tam odprowadził; po drodze wstąpili na grób ojca i modlili się razem. Przyjęcie u macochy niebyło takie, jakiego się obawiał; czy to zmiana losu, czy głos sumienia, sprawiły, iż mu nieodmówiła przytułku, dopóki by opiekunowie nim nierozrzadzili.

Kazimierz niemając żadnego towarzystwa, ani zatrudnienia w Rajbrodzie, żadnej książki, prócz łacińskiej i niemieckiej grammatyki, jedyne towarzystwo miał w drzewach i strumykach, z którymi czas spędzał. Dumania po polach były dlań zawsze

jakąs rozkoszą, połączoną z tęsknotą. W szczupłym mieszkaniu macochy, nietroszcząc się o jego próżniactwo, miał izdebkę na strychu, do której wlaził po drabinie. Tam, między innymi rzeczami, postrzegł wór papierów po ojcu. Między listami, rejestrami, było wiele drukowanych pism, jako mowy sejmu 4letniego, wiersze najwięcej na imieniny różnych panów, lub króla Stanisława. Z chciwością więc wybierał te skarby, a biorąc po świstku w pole, czytywał sobie głośno. Między temi płaskimi płody znalazły się czasem wiersze Trembeckiego, które mu wyższemi się zdawały i zaraz w pamięci utkwily. — One to obudziły w nim chęć pisania, a przynajmniej naprowadziły na sposób składania wierszy. Był on jak pisklę w gniazdzie, które instynktem samym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje. Najczęściej śpiewał nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodia naprowadzała go na wyrazy, które zaraz śpiewał. Były to zwykle wyrazy tęsknoty za matką, której nieznał, i więcej jeszcze piosneczki miłosne, naśladowane z dumek słyszanych od żniwiarok. Wtedy czuł się najszczęśliwszym, dnie jego były zapelnione; choć bez żadnego zapasu nauki i wiadomości, układał projekta do dużych poematów. Nadeszła zima, a z nią ubyla mu towarzyska natura, z którą lubił przestawać namiętnie; przepędzał ją więc bez żadnych książek; wieczór tylko chodził do czeladnej izby, najszczęśliwszy, jeżeli trafił na dzień, kiedy parobki i prządki opowiadały tak zwane gadki i bajki, lub kiedy śpiewano pobożne pieśni. Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą. Kazimierza zajęło wielce nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą, należał w części do czynności kościelnych. Uderzały go szczególniejsz psalmy, śpiewane przez niego, psalmy przy grobie Chrystusa. Naprzód śpiewał je z organistą, potem już sam; a urok, jaki na nim sprawiały pienia Dawidowe, mocno utkwil w sercu. Po skończeniu uroczystości wielkanocnych, uprosił sobie u organisty książkę z psalmami, i uchodząc w pole, czytywał ją. Marzenia jego zaczęły być nietylko poetyckie, ale i religijne; od smutku i tęsknoty przeszedł do błogich marzeń o piękniejszej nadziei. W tym czasie odebrał był list od brata Andrzeja, który przybył z Akademii do stryja, proboszcza w Wojniczu, o 4 mil od Rajbroda. Brat pisał mu o poczyi, której się z zapalem oddawał, i przysłał mu wierszem kilka rozdziałów z dzieła Tomasza z Kempis o naśladowaniu Chrystusa. Donosił mu o książkach, jakie czyta, także o poznaniu się z księdzem Juszyńskim, literatem i uczonym polskim, którego rad zasięgał. Kazimierz posłał mu nawzajem wiersze swoje, i odebrał odpowiedź zachęcającą, pełną

miłości braterskiej. Nie sypiał z tęsknoty do brata, do jego książek, do poezji; w domu niedbano o niego, sam niewiedział na co żyje, więc umyślił puścić się do stryja, który był zarazem jego opiekunem. A że był zupełnie obdarty, trafiło się, że znalazł na strychu surdut po służącym, dał go przerobić wiejskiemu krawcowi, i tak wystrojony puścił się do Wojnicza. Stryj jego był oświeconym i przykładnym kapłanem, żył dobrze i miał piękne dochody, lecz obciążony dziećmi braci swoich i familiją, często niemógł nastarczyć. Kazimierza niezbyt uprzejmie przyjął, ale chłopak niewziął tego do serca, bo go pocieszała myśl połączenia się z rodzeństwem.

Wojnicz leży w przyjemnym położeniu; na probostwie był piękny ogród; było miłe dlań towarzystwo brata i dwóch sióstr stryjecznych; całém ich zatrudnieniem było, chodzić po pięknych spacerach i czytywać wiersze. Ksiądz stryj także lubił poezję. W jednej altanie ogrodu leżała spora księga, gdzie wszyscy zapisywali różne wiersze, koncepta i powiastki. Najulubieńszą ich zabawą było czytywać sielanki Gesnera, tłumaczone po polsku. Życie ich rodzinne przedstawiało obraz także sielankowy. Kazimierz przywiązał się do siostry swój stryjecznej, z którą zgadzał się w uczuciach i wyobrażeniach. Gdy ta wyprowadziła się z matką do pewnych państwa w sąsiedztwie, Kazimierz pisywał do niej listy ledwo nie codziennie, lub też biegał do ogrodu, gdzie mu siostra wynosiła kwaśnego mleka i chleba, i różne książki, które z biblioteki brała. Z tém wszystkiém niemógł on się oswoić z ludźmi wyższego wychowania; zawsze dziki, nieśmiały, tracący przytomność, gdy go zapytano; ucickał najczęściej, gdy postrzegł jaką damę; a jednak rozmarzona jego wyobraźnia w najpiękniejszych kolorach wystawiała sobie towarzystwa wyższego świata.

Dla tego to nawet w późniejszym życiu, kiedy wyszedł był na człowieka ze znaczeniem i sławą, niemógł się pozbyć nieśmiałości swój, i zawsze był skromnym i potulnym.

Gdy się opiekunowie zajęli majątkiem pozostałym po ojcu, pokazało się, że wystarczy na jakie parę lat na utrzymanie ich w szkołach. Andrzej udał się do Krakowa, Kazimierz zaś do Tarnowa. Fundusze wystarczały mu tylko na rok jeden, a on potrzebował trzy lat do ukończenia szkół. Zmuszony więc był uczyć dzieci po domach; a lubo mu to przynosiło jakikolwiek dochód, jednakże własne jego nauki na tém cierpiały. Między profesorami, ludźmi złego bardzo sposobu życia, znalazł się jeden, nazwiskiem Szmidt, człowiek rzadki, łagodny i przywiązany do swego stanu i uczniów. Pierwszy on postrzegł naturalny ta-

lent w Brodzińskim, zaprosił go do siebie na podwieczorek, i wybadywał, a przekonawszy się o niepospolitych jego zdolnościach do pisania poezyi w polskim języku, zaczął go namawiać, aby w tym niewdzięcznym (jak mówił) języku niepisał, tylko w niemieckim; i tym końcem dał mu do czytania poetów niemieckich. Kazimierz przynosił mu z nich przekłady na polskie, ale Szmidt niebył z tego kontent. Czuł to biedny młodzieniec, że mu potrzeba wzorów polskich, aby na nich swój język wykształcił; ale na nieszczęście nigdzie polskich książek niebyło! Uzbierawszy sobie sumkę 10 złotych, znalazł sposobność sprowadzić sobie parę książek z Krakowa. W szkołach zakazane było czytanie polskich książek; a gdy Prefekt dowiedział się, że Kazimierz sprowadził sobie: Wybór poezyi polskiej, dla szkół wydany w Warszawie, i Pawła i Wirginię, udał się do jego stancyi, i mimo prośb i zaklęć młodzieńca, skonfiskował mu takowe. Z jakiemż to przeciwnościami musiał walczyć biedny Kazimierz! pragnął nabycia nauki, poznania ojczyztego języka, poezyi, historyi, a wszędzie napotykał przeszkody, nawet we własnych professorach. Następujący wypadek przekonywa, jak w chęci swojej obeznania się z literaturą narodową był nieszczęśliwym: Jednego razu kupując u przekupki jagody, postrzegł, iż dla zrobienia trąbki na nie, udarła z dawnej książki kartkę z gockim drukiem, na której dostrzegł napis: Rymy Jana Kochanowskiego. Słyszał on już o wzniosłych utworach tego wielkiego poety, i zachwycony tym skarbem, bez żadnego namysłu, porwał książkę, a raczej resztkę książki, i najspieszniej z nią począł uciekać. Przekupka, a za nią wszystkie towarzyski narobiły hałasu; Prefekt przypadkiem znalazł się na rynku, i tak zdobytą książkę jako winowajca oddać musiał, i jeszcze poszedł na kilka godzin do kozy, rozmyślając nad swoją nieroztropnością, iż z właścicielką niewszedł w układy, któraby zapewne rymy Jana Kochanowskiego była zamieniła na inne studenckie szpargały.

Wśród tych przeszkód zapal i miłość jego do poezyi z każdym dniem wzrastały; najwięcej czuł przyjemności, ukryć się w zbożu i tam ołówkiem pisać, co mu natchnienie niesło. Któż opisze jego radość, jego łzy, gdy brat Andrzej wydrukowawszy tomik swoich wierszy, zamieścił oraz kilka poezyj Kazimierza, i przysłał mu tę książeczkę ze Lwowa! Był to pierwszy krok Kazimierza w zawodzie poetyckim, pierwszy raz nieznanie imię jego wyszło na świat; odtąd, choć dużo jeszcze przeciwności przebywał, cierpiał, wątpił, upadał, jednak coraz rósł w sławie u narodu, nie w próżnej sławie, tém dziecku pychy, ale w tej, która jako rosa ożywna na cały kraj spływa.

5. Klementyna Tańska.

Pan Bóg przysyłając nas na ten świat ku nauce i wysłudze, naznacza nam pewien szczególny cel, który dla nas jest powołaniem. Szczęśliwy, kto swoje powołanie odgadnie; szczęśliwszy, kto je dopełni. Do tej liczby wybranych możemy policzyć Klementynę Tańską; od młodych lat poczuła w sobie talent pisarski i zdolność wychowywania dzieci, i dopełniła powołania swego z największym pożytkiem dla kraju, bo dzisiaj prawie całe pokolenie dobrych obywaterek i matek winno jej swoje ukształcenie.

Klementyna urodziła się 23. Listopada 1798 r., właśnie z końcem ośmnastego wieku, który tyle zepsucia i zgorzenia naniósł do Polski. Dziad jej i babka zginęli okrutną śmiercią w czasie rzezi na Pradze, kiedy ją Suwarów zdobył. Ojciec zaś, człowiek uczony, obywatel i urzędnik gorliwy, po stracie rodziców, majątku, usunął się od świata, i osiadł w zaciszu wiejskiej. W skromnym domku, pod słomianą strzechą, przyszła na świat Klementyna; i tém lepiej. Przyzwyczajona za młodu do ubóstwa, do oszczędnego życia, nawykła zawczasu do pracy, do rzędnosci i umiarkowania, a razem do łagodności, uprzejmości i pokory względem bliźnich. Uczucia jej i wyobraźnia szczęśliwie się rozwijały w zacisznym ustroniu pośród cnotliwych osób. Szczęśliwy, kto pierwsze lata spędzi na wsi; tam dusza nasza dotyka się Boga bliżej w dziełach jego, obejmujących nas zewsząd. Na wsi czujemy ciągłą potrzebę opieki i błogosławieństwa bożego; w mieście przeciwnie, człowiek zdaje się sobie wystarczać. W mieście i zieleność jak sztuczny kobierzec, w mieście i drzewo wymuszone, nędzne i okryte kurzem. W mieście choć i zwierzę, to na uwięzi, a uczone; w mieście choć i bydło, to w zaprzęgu; w mieście choć i ptak, to w klatce. Wszystko tam sztuczne, ciasne i prawie nieboskie. Żałujmy serdecznie tych dzieci, które się muszą wychowywać na bruku wielkich miast. Pełno najmilszych i najwznioślejszych wrażeń zostanie im zupełnie obcych, albo też później nieporuszają ich serca.

Wszakże i pobyt w wielkim mieście potrzebny jest do rozwinięcia rozumu człowieka i nabycia wielu pożytecznych nauk. Klementyna, która miała być nauczycielką dla drugich, i tę szkołę przejść musiała, nie dla nabycia zewnętrznej ogłady i wykwintnych obyczajów, gdyż tego nie potrzebowała, albowiem każda osoba skromna, niewinna, pobożna, naturalnie jest dobrze wychowana i pięknie ułożona. Wszedłszy w wyższe towarzystwo, gdzie zwykle panują kłamstwo, udanie i przesada, umiała

tego uniknąć, a tylko to wciągała w siebie, co było prawdziwie pożytecznem i godnem. Tak się kształcąc, doszła do 18. roku życia swego. Kształciła się najwięcej na francuskich książkach; bo takie było dawniej złe wychowanie u nas, że pierwój uczono obcego języka niż ojczystego. Szczęśliwy jednakże dla niej wypadek zdarzył, iż spotkała człowieka z duszą chrześciańską i polską, który jej nowy świat otworzył. Był to wieszcz narodowy, znany z cnót swoich i nauki: Kazimierz Brodziński. Klementyna odczytawszy jego wiersz tęskny i pałący, pod tytułem: Żal za polskim językiem, uczuła w sobie żądę doskonałego obeznania się z językiem i dzieły polskimi. Od razu wzięła się do czytania ksiąg Jana Kochanowskiego, Skargi, Reja, Górnickiego, Krasickiego, Trembeckiego, Woronicza i innych znakomitych pisarzy, i niebawem do tój doskonałości przyszła, że mogła ich oceniać, i tak pięknie myśli swoje wylęwać na papier, jak oni.

Czując niedostatek dzieł naukowych i moralnych dla dzieci, zaczęła pisać książki w tym przedmiocie. Zdawałoby się, że to mała rzecz pisać książki dla dzieci, a tymczasem jest to jedna z najświętszych i najważniejszych prac. Przecież sam Chrystus przedewszystkiem ukochał dziatki; on, który się ukazał pośród ludzi dziecięciem, dla oswojenia ich z sobą, dla pociągnięcia ku sobie; on je błogosławił, on je uczył, on je za wzór dla chcących zbawić się przedstawiał, grożąc najokropniejszymi karami gorszytelom młodości. Ale nie dosyć chcieć i zajmować się dziatkami, trzeba jeszcze umieć. Celowała w tём Klementyna. Praktycznie zajmując się młodemi krewnemi, nabyła tój wielkiej sztuki rozwijania stopniowo zdolności dziecięcych. Słusznie powiedziano, iż ten dopiero prawdziwie jest uczony, który swęj mądrości równie dziecku jak nieukowi udzielić potrafi. Wiązanie dla Helenki; Rozrywki dla dzieci; Powieści z Historji świętęj; — oto są tytuły ksiązek, które napisała, i za które dzieci polskie winne jej dozgonną wdzięczność.

Zajmując się dziećmi, musiała pomyśleć także o matkach. Trzeba bowiem wiedzieć, żeby w narodzie kwitnęły cnoty, pobożność, dobre przykłady i obyczaje, niewiasta musi być dobrze wychowaną, czyli dopełniać obowiązków obywatelki, matki i żony; przeciwnie, kiedy niewiasta zepsuta, bezbożna, rodzą się bezbożne syny, zaczęm i upadek narodu nastąpić musi. Podobnie i ojczyzna nasza tylko przez bezbożność i zepsucie jej synów rozpadała się w gruzy jak dom, który fundamentów niema. Klementyna pojmowała głęboko te rzeczy, i starała się zapobiedz większym nieszczęściom, zwracając myśl swą do matek, którym

chciała wlać uczucia religii i powinności chrześcijańskiej. W tym celu ułożyła książkę, pod tytułem: Pamiątka po dobrej Matce, i drugą: Amelia Matką. Widać, że trafiła w potrzebę czasu, że właśnie matki łaknęły tego pokarmu, kiedy pomienioną książkę ośm razy przedrukowano. Niespodziewała się wtenczas, że córki polskie, biorąc jej dzieło do ręki, wspominając ją będą długo jako dobrą, wspólną ich wszystkich matkę; niespodziewała się, w ilu córkach polskich, Żywoty świętych niewiast, przez nią napisane, obudzą wyższe duchowe życie i do szczytnych poświęceń zapalą. Niespodziewała się, ale pragnęła; pragnęła czysto, pragnęła gorąco, i dla tego Bóg wszystko w jej rękę błogosławił.

Wiele innych, równie pięknych, jak pożytecznych dzieł napisała w swém życiu. Dziecko, doszedłszy lat, w których może już ocenić myśli piękne i wysokie, uczuć trafność obrazów, zajmując się opowiadaniem szczegółów historii narodowej, powinno wszelkimi siłami starać się o dostanie książki Klementyny Tańskiej, a przeczytawszy takową, dopiero uczuje wewnętrzną radość i nagrodę za poprzednie przykładanie się do nauk.

Tak wysokie cnoty Klementyny, jak jej talent i naukę, umiał rząd polski ocenić. W Warszawie skoro tylko założoną została Szkoła Guwernantek czyli Nauczycielek, zaraz wezwano Klementynę, aby wykladała w tej szkole naukę obyczajową; a jeszcze większy dano jej dowód zaufania, gdy ją zrobiono Nadzorczynią wszystkich szkół żeńskich w Warszawie. Tak ważne jej zatrudnienie, obok imienia znanego w literaturze, uczyniły dom Klementyny ogniskiem najświetlejszych osób stolicy, a razem szkołą dla młodzieży wchodzącej na świat. Życie towarzyskie, wieczorne zgromadzenia, zabawy, nawet biesiady, wiele mogą się przykładać do rozpowszechnienia światła i dobrych obyczajów, jeżeli niemi myśl wyższa kieruje. W rozmowie krótkiej i jasnej, człowiek udziela odkrycia i postrzeżenia, nieraz długimi laty prac, poszukiwań i natężenia umysłu nabyte; wreszcie też w rozmowie łagodzą się przesadzone wyobrażenia, zuchwale sądy, a natomiast nabywa się zdań gruntowniejszych. Klementyna zgromadzając w stolicy takie towarzystwa naukowe, i sama drugim udzielała swojej nauki i wynosiła z nich niepoślednią korzyść.

W roku 1829 połączyła się ślubem małżeńskim z Karolem Hofmanem, mężem znanym z naukowych prac, i znalazła w nim domowego, światłego, a bezstronnego doradcę. Jednakże wielkie wypadki krajowe wyrwały ją z zakresu jej życia literackiego i nauczycielskiego; Klementyna wyjechała za granicę, i tam

przeniosła cnoty swoje domowe i publiczne. Dla wszystkich zawsze uprzejma, gościnna, pobożna, cichym czynem raczej niż głośnym słowem, jak na niewiastę przystoi, cudem najrzadszym, zyskała serca wszystkich. Zdrowie Klementyny zawsze słabe, coraz się bardziej chyliło do upadku. Niezwalniała przecież w pracy. Jak mocna niewiasta Salomonowa, chleba leniwie niepożywała, pracując wciąż dowcipem rąk swoich. A kiedy pióra trzymać niemogła, jeszcze czytała; kiedy i czytać trudno było, dyktowała. Podróż, do Włoch i Rzymu odbyta, zamiast ją zmocnić na zdrowiu, do reszty osłabiła ciało. Nagle i niepostrzeżenie zasnęła w Panu na dniu 21. Września 1845 r., jak gdyby i skon chciała mieć cichy i śmiercią samą niechciała być głośna.

ROZDZIAŁ VI.

Opisy i obrazy moralne.

Zabawki dziecinne.

Wędwie zaczynasz chodzić i mówić, dziecię moje! już stawiają zabawki przed tobą. Oprócz rodziców, starsi bracia, siostry, ciotki, babki, krewni, przyjaciele, wszyscy zarzucają cię tyśiącem drobiazgów, jak: lalki, koniki, wózki, batożki, żołnierze, pieski, które cię bawią na pierwsze spojrzenie, a w kwadrans zaczynają nudzić, i ciskasz je z gniewem, druzgocesz i psujesz. Ileż to złego nauczyć cię mogą te nieprzeliczone zabawki, któremi cię obsypują! Naprzód nauczysz się niestałości, będziesz nienawidził to, co cię zachwycało przed półgodziny; doznasz niesmaku i nudów; bo jakżeż często widzieć można dzieci zasypiające z unudzenia pośród nieprzeliczonych zabawek! Dla tego, dzieci, nigdy nienapierajcie się u rodziców, aby wam przywozili coraz nowe zabawki, a starajcie się szanować i niepsuć te, jakie macie. Pytam was, czyli chłopak, który zawsze jeden wózeczek ciągnął za sobą przez całe lato, nie jest szczęśliwszy od tego, co ma całą szafkę napełnioną zabawkami? patrzcie! dyszel mu się złamał, koło spadło — dobywa nożyka, struże dyszel, oś zabija patyczkiem — i cieszy się ze swęj zręczności, i przywyka do porządku; gdy przeciwnie, dziecko mające cały sklep zabawek, niech jaką połamie, ciska zaraz w kąt, a natomiast co

innego bierze i znowu psuje, i tak się powoli kształci na psotne i szkodliwe stworzenie.

Pacierz.

Odmówiwszy pacierz z gorącością ducha, azaliż nieczujecie, że wam jakoś lżej na sercu, że jakaś wstąpiła wewnątrz wesołość i spokojność?

Modlitwa ma ten przymiot, że czyni wszelkie umartwienia znośniejszymi, a wszelkie radości i wesela czystsze; do pierwszych dodaje coś wzmacniającego i łagodzącego, a do drugich zaprawia wonią niebieską.

Cóż tu robisz na ziemi? czyliż nie masz o nie prosić tego, który cię na nią zesłał?

Jesteś jako człowiek podróżny, który szuka swojej ojczyzny. Niezwieszajże głowy do ziemi, ale podnieś oczy ku niebu, abyś poznał swą drogę.

Ojczyzną twoją jest niebo; ilekroć w nie patrzysz, czyliż nieczujesz w sobie żadnego wzruszenia? Żadnaż chęć cię niebierze wznieść się tam myślą? czyż nigdy nietęsknisz za wiekustem szczęściem?

Na tym padole wieją gorące wiatry, które wysuszają duszę człowieka; ale modlitwa przybywa w pomoc, jest ona jak rosa niebieska, ożywiająca usychający kwiatek.

Obowiązki względem rodziców.

Dziecię dobre i cnotliwe powinno szanować wszystko, co rodzice postanowią; ze czcią i ostrożnością mówić o rzeczach, które oni uznali za pożyteczne lub zbawienne. Dziecię powinno pierwsze stawać w obronie ojca i matki, gdyby ktoś sławę ich czernił; jeżeli zdarzy się, że rodzice są źli i na drodze występku lub zbrodni, i wtenczas jeszcze pocziwe dziecię niepowinno nimi pogardzać; taka pogarda, lub zaparcie się dawców życia, byłaby zbrodnią wołającą o pomstę do Boga. Dziecię niemogąc radą i prośbą zwrócić występnych rodziców na drogę cnoty, niech lepiej milczy: albo też o ile może pokrywa ich błędy i ułomności przed okiem ludzi. Pogardy godne to dziecię, które zdradza hańbę ojca lub matki! a przekleństwo spada na nie, jeżeli głuche na głos natury oskarża rodziców przed sądem ludzi! Żaden wzgląd, żaden przypadek niemoże nas uwolnić od uszanowania, jakie winniśmy dawcom naszego życia.

Wygnaniec.

Idzie błąkać się po szerokim świecie; Boże! prowadź biednego wygnańca!

Przechodziłem przez różne narody, spoglądały na mnie, spoglądałem na nie, i niepoznały się. Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Nieraz, kiedy przy schyłku dnia ujrzałem dym z jakiej chatki podnoszący się w dolinie, mówiłem sobie: Szczęśliwy, kto znajdzie w wieczór domowe ognisko i usiądzie przy niem wśród swoich! Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Dokąd płyną te chmury pędzone wiatrem i burzą? i mnie jak chmury burza pędzi, a niewiem dokąd! Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Piękne to drzewa, te kwiaty piękniejsze; ale ani te drzewa, ani kwiaty niesą ojczyste, i nieprzemawiają do mojej duszy. Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Strumyk płynie szmerząc po dolinie; czemuż szmer jego nie ten sam, jaki słyszałem w dzieciństwie? czemuż żadnego wspomnienia w sercu niebudzi? Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Słodkie te śpiewy; wszakże smutek i radość, jakie wzbudzają we mnie, są niepodobne do smutków i radości moich własnych. Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Zapytywano mię: Czemu płaczesz pielgrzymie? A kiedym powiedział, czemu płaczę, nikt nademną niezapłakał, ponieważ mię nierozumiano. Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Widziałem starców otoczonych dziatwą, jak stoletnie drzewo drobnymi latoroślmi, lecz żaden z tych starców synem mię nienazwał, żadne z dzieci nienazwało bratem. Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Widziałem młode dziewice, uśmiechające się anielskim uśmiechem do oblubieńców swoich; dla mnie żadna niemięła takiego uśmiechu. Wygnaniec wszędy jest samotnym,

Przyjaciele, małżonki, ojcowie, bracia, są tylko w ojczyźnie. Wygnaniec wszędy jest samotnym.

Biedny wygnańcze! przestań narzekać; wszyscyśmy jak ty wygnańcami na tym padole; wszyscy tracimy ojców, braci, małżonki, przyjaciół

Ojczyzna nasza nie tutaj; człowiek próżno jej szuka, i to, co ojczyzną nazywa, jest ledwo przytulkiem na noc jedną.

I dalej idzie błąkać się po szerokim świecie. Boże prowadź biednego wygnańca!

Śmierć młodego poety.

Uśmiech nieschodził z jego ust, a jego anielskie poddanie się wyrokowi nieba łagodziło rozpacz nieszczęśliwej matki. „Cóż pomoże? — mówił — wyrzekać przeciw śmierci? tylko poddając się jej, można ją zwyciężyć. Co we mnie było od Boga, teraz powraca do Boga. Mamże się smucić, opuszczając tę ziemię, gdzie żyłem obcy ludzkim zapędom, daleki od ich żądz i zabiegów; gdzie napróżno szukałem drugiej duszy, płonącej tymże samym ogniem, który moją pożera? Świat ten nigdy nie miał dla mnie powabów; kochałem tylko w nim ów inny świat niebieski, za którym zawsze tęskniłem; a jeżeli poezycja namiętnie ośwładnęła moją duszę, niewątpię, że mi to Bóg przebaczy, ponieważ poezycja jest marzeniem o tej szczęśliwości, jaką Twórca zachowuje dla swoich dzieci; poezycja jest pokochaniem się w niewidzialnej piękności i wspaniałości boskiej. Matko, otrzyj te łzy, niebawem obaczymy się w lepszej ojczyźnie.“

To natchnienie poetyczne i religijne nieopuszczało go aż do ostatniej chwili skonania. Powoli gasnął; dla duszy jego spokojnej widok bliskiej śmierci był przedmiotem głębokich uwag. Niedługo przed końcem kazał był sobie czytać psalmy Dawida w przekładzie Jana Kochanowskiego; umysł jego zdawał się być swobodny, i miał dość siły wyrazić swoje podziwienie nad szczytnością tych pieśni; „Boże! jaka to cudna poezycja!“ wyrzekł cichym głosem. Wtém skinął na matkę, aby się zbliżyła. „Godzina moja nadeszła, zanieście mię do okna, umrę patrząc na te łąki i pola, gdzie pierwsze kroki stawiał.“ — Uczyniliśmy, co żądał — ostatni raz uśmiechnął się do słońca padającego na jego oblicze i ducha oddał.

Co to jest prawda?

Prawda na wszystkie cnoty jest prawie jako majowy deszcz na wszystkie zioła, na ziemi rosnące, bo i sam Pan Bóg tém przewiskiem mianować się raczył; podobno to musi być nielada coś, dla tego ją każdy pocziwy człowiek na wielkiej pieczy mieć ma, aby słowa jego wedle rozkazanja pańskiego zawzdy były: jest, jest; niemasz, niemasz; a iżby się z nią nieuchylał, jako stara przypowieść jest, ani na lewo, ani na prawo. Albowiem to jawnie widzimy, niechaj kto będzie ozdobion najpiękniejszą urodą, najwymyślniejszemi kształty i ubiory, niechaj też będzie ozdobion i statecznością, i pomiara, i powagą wspaniałą, a jeżeli prawdy niebędzie, a będzie słówka dziwnie

przegryzował, a ludzie to postrzegą, tedy się tylko na śmiech i wzgardę wystawi.

A niedarmo to oni zacni, a święci przodkowie nasi, ten potrzebny obyczaj między sobą zachowywali: iż czyni co chcesz, żartuj jako chcesz, przymawiaj jako chcesz, ale grzecznością i dworskością to pokrywając. Ale gdy kto się z nieprawdą na plac wytoczy, to już tam dalej od gęby żadnej apelacyi niemasz. Zapewne obaczyli, iż to miało być coś szkodliwego w pocziwych ludzkich sprawach. Bo jakoż tak jest, iż choćby tam jaka insza pocziwemu człowiekowi na umyśle jego przywrzała przywara, tedy tym szlachetnym płaszczem, z sławniej prawdy urobionym, snadnie zawždy może być pokryta, i snadnie ozdobiona. Dla tego prawda jest najdroższym klejnotem pocziwego człowieka.

○ wielomowności.

Wielomowność zwykła się rodzić z trzech rzeczy: z próżnej chwały, z natkania brzucha i z przewrotnego zwyczaju. I tak jest zaiste; próżnochwalkowie wiele gadają tych rzeczy, które do ich próżnej chwały należą, aby się udali za takich, którzy wiele wiedzą, czytają, słyszą, wiedzieli, czynili; aby wszystek świat o nich wiedział, jakimi są albo byli. Bywa to często, im kto uboższy w chwałę prawdziwą, tém bardziej fałszywą łąwi, próżna albowiem chwała jest jedna z córek hardości. A którzy półmiskami brzuch napelniają, prędko się porywają do słów uszczypliwych i nieuczciwych żartów; do zwad, do próżnej mowy tacy skłonni.

Do milczenia inne są powody, i tym wszystkim przeciwne: pokora, trzeźwość, zwyczaj hamowania języka. Kto pokorny, pogardza sam sobą; nietrudno takiemu milczyć. Trzeźwy, trzeźwie mówi, wstrzymywa się od żartów wszetecznych i od wszelakich słówek plugawych; pijaństwo wiele gada, trzeźwość pomilczenie miłuje. Pamiętajcie na owo zdanie: kędy słów wiele, tam najczęściej ubóstwo ducha; bo jako latorośle winne, które bogate są w liście, nie wiele wina rodzą, tak, którzy wiele o cnotach szczebiocą i nagadają, rzadko kiedy przyzwoite cnotcie dzieła robią.

Częstokroć bywa, że słowo jedno, lada jak wymówione, rozrywa przyjaźni bardzo dobre i z dawna związane; niewieć tego, iż dla jednego słoweczka ciężkie wojny, rokosze w królestwach powstały. O języku! języku! w piśmie świętym strzałe ostrzej i brzytwie słusznie bywasz przyrównan; więcej albowiem i przeraźliwiej niż żelazna strzała zabijasz. Wymówi się słó-

weczko, które aby cofnąć nazad, dałby człowiek niewiem co jako ptaka, który się z ręką wydrze, zatrzymać, porwać nazad trudno; jako okrętu, który uciekł pełnemi żaglami z portu, nie możesz zawściągnąć: tak i słowo raz wypuszczone, leci niepomahowane; słowo odleci, ale żelezce w sercu zostawi: trwa ból zadany, gwałtownie umysł robi na gniewy, i warzy w sobie pomstę wielką.

Miluj bliźniego jako sam siebie.

Pomyślmy jeno sobie, gdybyśmy taki dom, takie pomieszkanie i towarzystwa, takie miasto znaleźli, w którymby to prawo: Miluj bliźniego jako sam siebie, doskonale było dochowane; żeby synowie rodzicom, słudzy panom swoim z uprzejmój ku nim miłości, posłuszeństwo oddawali, a ojcowie, starsi i panowie, potrzeby ich wszystkie, z téjże szczerój miłości, jako ku samym sobie opatrowali: gdzieby żaden waśni na nikogo niemiał, ni z kim się niewadził, jeden drugiemu niezazdrościł, a życzył jako sobie: gdy jeden zachoruje, aby wszyscy o jego zdrowie się starali: gdzie komu czego niedostaje, aby mu wszyscy cierpieć nędzy niedopuszcili: gdzie kto zasmucony i strapiony, aby do pociechy jego wszyscy przybiegali: gdzieby niebyło swarów, złorzeczenia, fukania, wołania jeden na drugiego: gdzieby jeden o drugim rozumiał, iż on lepszy i czcigodniejszy niżeli ja; a nie na swoje, ale na jego cnoty patrzył, a wszystkiego mu dobrego tak jak sobie życzył: jego niedostatki znosił i wymawiał u siebie i u drugich. O Boże! jakieby tu było na ziemi rajskie prawie pomieszkanie. O! jakobyśmy się do takiego miasta, domu i towarzystwa kwapili!

O ubogich.

Są ludzie prawdziwie ubodzy, którym schodzi i na siłach i na żywności, ci niech będą opatrzeni; ale ci, którzy po ulicach żebrzą, zmyśliwszy sobie jaką niemoc albo chorobę, a jeśli tu bylecy a mogą robić, niech je przymuszają do roboty; jeśli obcy, niech je do swoich miast odeszlą; bo godzi się, żeby każde zgromadzenie miało staranie o tych, którzy się w niem porodzili; w każdym mieście są dochody roczne naznaczone ubogim, i powiększajmy je darami; udzielajmy rzeczy doczesnych tym, którzy nas do wiecznych domów przyjąć mają; kładźmy ochotnie do skrzyń po kościołach i innych miejscach będących; prawdziwa to szczodroliwość uczynić dobrze temu, kto tego żadnym spo-

sobem niemoże nagrodzić. Wszakże nieomyli nas w zapłacie on najłaskawszy Ojciec niebieski, który i szklanę wody zimnej w imię swoje podaną obiecał nagrodzić. Wszyscy jesteśmy bracia, jednego Ojca niebieskiego synowie; słuszną jest rzecz bratu w potrzebie podać ratunek. Powinien być tedy urząd, któryby miał staranie o ubogich, i tém dobrze szafował, co będzie na ich potrzeby naznaczone.

Kapłan.

Kapłan z obowiązku swego jest przyjacielem i żywą opatrnością wszystkich nieszczęśliwych, pocieszycielem strapionych, obrońcą bezbronnych, podporą ubogiej wdowy, ojcem sieroty, prostującym wszystkie zbrocenia i nieład, pochodzące z naszych namiętności i przewrotnych nauk. Całe jego życie jest długim bohaterskim poświęceniem się dla uszczęśliwienia bliźnich. Jeszcze ze snu nieprzetarłeś oczu, a on, człowiek miłosierdzia, uprzedzając wschód słońca, rozpoczyna szereg dobroczynnych dzieł swoich: Wsparcie dał ubogiemu, nawiedził chorego, otarł łzy strapionemu, lub je wycisnął żalującemu za popełniony występki; on to oświeca ciemnego, pokrzepia upadłego na duchu, umacnia w cnocie dusze miotane namiętnościami.

Skończywszy dzień, w którym tyle dobrych uczynków wykonał, nadchodzi dlań wieczór, ale nie spoczynek. W godzinie, gdy inni światowi ludzie szukają zabaw, widowisk, tańców, ktoś spiesznie przybiega do świętobliwego kapłana i daje znać, że jakiś chrześcianin bliskim jest rozstania się ze światem; umrze więc, a kto wie, azali nie z zaraźliwej gorączki; — mniejsza o to — kapłan niezważa na nic, i niedopusci, aby owieczka jego pożegnała ten żywot bez ostatniej religijnej pociechy; idzie więc modlić się przy łożu boleści, i w sakramencie ostatniego olejem świętym pomazania, daje umierającemu rękojmię wiecznego żywota.

O wojnie.

Kto się krzywdy uczynionej przystojnie mści, kto o nabożeństwo, o dom, o żywot, o majątność ludzi swoich walczy; ten ma sprawiedliwą przyczynę do wojny, ten zwycięstwa spodziewać się może. Ale kto wojnę wszczyna li dla sławy, albo dla rozszerzenia państwa, ten źle czyni i rozślawi swe imię płaczem i narzekaniem ludzkim, frasunku sobie doda: bo cóż inszego jest szerokie państwo, jedno wielkie a ustawiczne frasowanie; i któż może onym tak rozlicznym sprawom podołać? Tatarska

to rzecz i turecka, mocą, ogniem, mieczem, pustoszeniem pól, krwią ludzką nabywać krajów i sławy, i Bóg takowej wojnie chyba na karę zwycięstwo dawa. Wojna zaś sprawiedliwą i świętobliwą nazwać się może; bo przestronny zawód okazuje mnogim i wielkim dzielnościom: męstwu, miłosierdziu, wierze, bojaźni Pana. A przeto wy wszelkiego stanu ludzie, którzy ojczyzny mieczem bronicie, gdy się gotujecie na wojnę, nie gotujecie się jako na łup, ani jako na rozpustę, ale jako do roboty świętej, do posługi Bogu i ludziom wielce wdzięcznej.

Jeśli w jakiej rzeczy, to w rycerskiej potrzeba biegłości, i jako wszystkie nauki, tak i rycerska rośnie wychowaniem i ćwiczeniem; niech więc dziatki hartowane będą i w sprawach rycerskich ćwiczone; niechby ku temu i szkoły były osobne; niechby dorośli rycerze w czasie pokoju nieodwykali od broni i niewygód, niechby się młodzi i starsi w obrotach wojennych ćwiczyli, niechby na każdy rok był czas, którego by się na pewne miejsce wszystkich stan rycerski zjeżdżał, z bronią, z końmi, z opatrzeniem, tak jako na wojnę jechać winien. O konie ujeżdżone, wszystkie przybory, o dobrą broń, o proch i olów, powinni starać się i robić zapasy, gdyż nieczas szukać konia, kiedy trzeba nań wsiadać.

O powinności żołnierza.

Żołnierzom żywot taki wieść trzeba, któryby je okazał być bojącymi się Boga, a miłośnikami uczciwości, bo któż będzie śmiały w rzędzie stać, kiedy go sumienie będzie trwożyć; nie tylko nieprzyjaciel, ale szum listków na drzewie będzie go trwożą napelniał. Niechajże tedy żołnierze miłują Boga, a przykazaniu jego posłuszni będą; imienia jego niech nie bluźnią, niech miłują trzeźwość, zbytku i wszelakiej rokoszy się strzegą; skromność i mierność w każdej rzeczy niech zachowują; nikogo niech nie zbijają, cudzych rzeczy niebiorą, niech przestawają na swym żołdzie; kto by przeciw temu wykroczył, niech będzie surowo karany. W wojsku niech panuje zgoda, bo trudniej czasem swoich utrzymać, niż na nieprzyjaciela uderzyć; niech także żołnierze powolni starszym będą, albowiem, cóż jest męstwo żołnierskie bez posłuszeństwa, jedno upór? Żołnierzom nie płacą za radę, ale za pracę. A przeto chociaż niewie rady starszych swoich, ma być posłuszny, i chociażby o życie szło, nie ma się zbraniać rozkazaniu.

Pożytek z uczenia się historii.

Mądry pyta się i szuka mądrości starowiecznych, a to najwięcej z czytania ksiąg i dziejów, które przed nami były, to jest z historii. Bo wielce zacna i użyteczna rzecz, mieć rozum pełny wiadomością historii; wiedzieć, przez jakie koleje ojczyzna przechodziła, co było przyczyną jej upadku; niemniej, jak poić się i unosić wielkością dusz znamienitych mężów i królów, i kształcić swój charakter na tych poważnych wzorach. Historia więc jest mądrość razem złożona, rozum ludzi wielu w jedno zebrany. Kto jej niewie i w niej się niekocha, a mądrym chce być, jest jako dziecko, które ojca i matki niezna.

O domach ochrony.

Dzieci dostatnich rodziców! otoczone pieczęią i miłością, wy, co każdego wieczora kładąc się spać, znajdujecie wygodne i miękkie łóżeczko, a budząc się z rana, znajdujecie gotowe śniadanko i sukienki czyste — może ani wyobrażacie sobie, że może gdzie w sąsiedztwie, albo na strychu nad wami, znajduje się rodzina niemająca ani co jeść, ani przyczem się ogrzać; obok was, kto wie, jaka uboga matka, wyrobница, zmuszona iść na robotę na dzień cały, aby zarobić kawałek chleba na wyżywienie rodziny, kłopotuje się o małe dziatki, które niema przy kim zostawić. U niej w domu niema żywej duszy do pilnowania dzieci, niema ani babuni, ani służącej, ani poczciwej sąsiadki; z ubogim mieszka tylko ubóstwo; każdy tam musi pracować z dnia na dzień, z godziny na godzinę, na utrzymanie własnego życia. Ileżto biednych matek, których praca z domu wygania, a znowu myśl opuszczenia dzieci wstrzymuje, znalazło się między dwoma ostatecznościami: albo z głodu umierać, albo dzieci zostawić na opatrzność bożą.

Jakimże sposobem dać pomoc tej nieszczęśliwej matce, która ani w domu pozostać, ani dzieci zabrać z sobą niemoże?

Oto dobroczynni i rozumni ludzie wymyślili, aby w każdym mieście, miasteczku, po wsiach nawet, dla małych dzieci wystawić osobny dom, nie wspaniały, nie zbytkowy, ale dobrze zaopatrzony i ciepły w zimie, mający słońce w lecie i zdrowe powietrze. Taki dom nazywa się ochronką. Co rano, każdy ojciec idący w pole pracować, każda matka, która idzie mężowi pomagać, lub zarabiać osobno, prowadzą dzieci swoje do domu ochrony. Tam dziecko żegna się z matką na resztę dnia, i wchodzi do swego mieszkania. Z uprzejmością i dobrocią przyj-

mują tam wstępujące dziecię. Znajduje ono tam mnóstwo innych małych towarzyszy i towarzyszek, i przestaje być samotnym i opuszczonym. Dzieci spoglądają po sobie; rozumieją się nawzajem; wkrótce przyjaźni się wiąże, razem dzielą swą nędzę, dzielą się skromnym śniadaniem i sprawdzają przypowieść: daję ci z tego, co mam; a ty mi dasz z tego, co będziesz miał.

I te dziatki w domku ochrony, ubogie rano, teraz bogate, mogą swobodnie używać dziennej szczęśliwości. Igrają, śpiewają, swawolą sobie, otaczają pocziwą osobę, która zastępuje im miejsce matki, a która od czasu do czasu stara się opowiadać różne piękne i ciekawe powiastki. Kiedy dzieci tak zatrudnione i opatrzone, ojciec i matka tymczasem, spokojne o los ich, pracują w dwójnasób, szczęśliwi tą myślą, że ich dziatwa się bawi, że mają około niej pieczę, że opływa w wygody i głodu niecierpi.

Dzięki tym cnotliwym zakładom! dziecię ubogiego wyrobni-ka wchodzi na świat bez owęj goryczy, która nienawiść do rodu ludzkiego obudza; oddycha swobodnie, śpiewa, bawi się, rośnie, nabiera dobrego przykładu i moralnych zasad, i o tyle jest szczęśliwe, o ile dziecię szczęśliwym być może; ma powietrze, kwiatki, słońce, wesołych i dobrych przyjaciół.

ROZDZIAŁ VII.

Przysłowia i przypowieści polskie.

1. **B**ez lejca na wóz, bez wiosła na wodę, bez ostróg na konia, nie wsiadaj.
2. Bezpiecznie myszy biegają, gdy kola doma nie mają.
3. Biedna starości! wszyscy cię żądamy, a kiedy przyjdziesz, to zaś narzekamy.
4. Biada tój kokoszy, na którą jastrzębia łowią.
5. Błogosławieństwo rodziców wiele może.
6. Brzegowi poderwanemu nigily nie dufać.
7. By nie mróz na złe pokrzywy, byłby ten chwast zawsze żywy.
8. By pies na sianie, sam go nie je i krowie go nieda.
9. Bys swemu psu i nogę uciął, przecie on za tobą pójdzie.
10. By koń o swój sile wiedział, żadenby na nim nie siedział.
11. Czasu wojny i czasu powietrza najwięcej nowin.

12. *Co się prędko wznieci, nie długo świeci.*
13. *Czego się zrazu skorupa napije, to się z niej potem nigdy nie wymyje.*
14. *Czapkę, chlebem i solą, ludzie ludzi niewolą.*
15. *Cnota i pokora, niema miejsca u dwora.*
16. *Co na sercu u trzeźwego, to na języku u pijanego.*
17. *Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal.*
18. *Cudze ręce lekkie, ale nieużyteczne.*
19. *Ciężka bolesć, gdy się chce jeść: jeszcze cięższa, kiedy jedzą, a nie dadzą.*
20. *Chceszli przyjaciela stracić, pieniędzy mu pożycz.*
21. *Co tobie nie miło, tego drugiemu nie czyni.*
22. *Co wino radzi pijają, a tłuste kąski jadają,
Nie zbiorą tacy pieniędzy, owszem zawsze będą w nędzy.*
23. *Czego kto pragnie na jawi, to mu sen przed oczy stawia.*
24. *Darowanemu koniowi nie patrzą w zęby.*
25. *Dobre daleko słychać, a złe jeszcze dalej.*
26. *Do prawa jednego woru z pieniędzmi, a drugiego z pilnością potrzeba.*
27. *Doma strojny, na wojnie hojny, u dworu myślny,
w karczmie zwadlany, nigdy nie wskóra.*
28. *Daj Boże! wszystko umieć, a nie wszystkiego używać.*
29. *Dwóch głupich na świecie: Pan, co niechętnego sługę chowa; a sługa, co niechętnemu Panu służy.*
30. *Dla przyjaciela najlepiej kukielkę kupić; bo jeżeli mu się niepodoba, tedy ją sam zjesz.*
31. *Fortel na hardzego, nie niedbać o niego.*
32. *Furman w złym razie odrzeka się swego stanu, a przyjechawszy na nocleg znouu wóz smaruje.*
33. *Gdzie miło, tam oczy; gdzie boli, tam ręce.*
34. *Grzechy młodości, karze Pan Bóg na stare kości.*
35. *Głodnych i mucha powadzi.*
36. *Głupi, kiedy milczy, za mądrego wjdzie.*
37. *Gdzie cię radzi widzą, tam nie często bywaj; a gdzie nie radzi, tam nigdy.*
38. *Gniew bez siły, nie jest.*
39. *Gdy szukasz rady, strzesz się pilnie zdrady.*
40. *Gdzie dwaj rzekną, żeś pijany; możesz iść spać bez nagany.*
41. *Grzegórz! — Czegóż? Pójdź robić! — O nie mogę chodzić! — Pójdźże jeść! — Toć muszę poleść.*
42. *Gdy się kto tobie bardzo ofiaruje — albo już zdradził, lub zdradzić gotuje.*

43. *Gdzie złe przypadki, tam przyjaciel rzadki.*
44. *Głupiemu służyć, w nocy jeździć, w karczmie gospodarować, wszystko za jedno.*
45. *Gdzie zgoda, tam Pan Bóg mieszka.*
46. *Hamuj kota z góry, chcąc ochronić skóry.*
47. *Jeden jest sposób urodzenia, a tysiąc zginienia.*
48. *Jednemu szydła gotą, drugiemu i brzytwy niechcą.*
49. *Jeden ojciec dziesięciu synów wychowa, a dziesięć synów jednego ojca wychować nie mogą.*
50. *Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.*
51. *Jedna baba kamień do studni wwali, a dziesięć go chłopów nie dobedzie.*
52. *Kto się na mleku sparzy, ten na wodę dmucha.*
53. *Kiedy niedźwiedzia uderzy gałąź, tedy ryknie; a kiedy go drzewo przywali, tedy milczy.*
54. *Kociół garkowi przygania, a oba smolą.*
55. *Kto z przyrodzenia głupi, i w Paryżu sobie rozumu nie kupi.*
56. *Kto pod kim dolki kopie, sam w nie wpada.*
57. *Kogo się nieszczęście imie, ten sobie nos ucierając palec wywinie.*
58. *Kto chce być dobrym opowiadaczem, trzeba żeby był pierwój dobrym słuchaczem.*
59. *Kto miecz trzyma, pokój miewa.*
60. *Kto dobrze robi, śmierci się nie boi.*
61. *Kto słucha pochlebę, mądrym być niechce.*
62. *Kto we żniwa patrzy chłodu, naciępi się zimie głodu.*
63. *Każdego zdanie przyjmiej, a swego rozumu się trzymaj.*
64. *Krowa, która siła ryczy, mało mleka dawa.*
65. *Kto z młodu chodzi jako stary, na starość skacze jak młody.*
66. *Kiedy niedźwiedzia prowadzono do miodu, tedy mu uszy oberwano; a kiedy od miodu, tedy ogon.*
67. *Komu Bóg nieobiecał śmierci, ten się i z grobu wywierci.*
68. *Kto po kładkach mądrze stąpa, ten się rzadko w błocie kapa.*
69. *Kiedy kogo Bóg chce karać, tedy mu rozum odejmie.*
70. *Komu szczęście dogadza, tego w głupstwo wprowadza.*
71. *Kiedyby ubogi panu nie dawał, przedkoby pan zubożał.*
72. *Lepsza kopa za żywota, niż po śmierci sterta.*
73. *Kto cię w małej rzeczy skrzywdzi, skrzywdzi i w wielkiej.*
74. *Kto w dziesięciu leciech nie będzie nadobny, w czterdziestu mądry, w pięć-*

dziesiąt bogaty, w sześciudziesiąt nabożny; tedy już do śmierci takim nie będzie.

75. Kto raz milego wstydu przeskoczy granice, ten już znacznie będzie miał niewstydlive live.

76. Kto ojcu nie wycierpi, ten drugim oczy wylupi.

77. Kiedy niedźwiedzia raz przemożesz, już go gdzie chcesz za nos powiedziesz.

78. Łacno o przyczyne, kto chce bić chudzinę.

79. Łakomy tak tego używa co ma, jako i tego czego niema.

80. Lepiej niegrzeszyć, niż pokutować.

81. Lepsza trocha dobrego, niżli wiela złego.

82. Lepsza enota w błocie, niż niecnota w złocie.

83. Ludzka rzecz upaść, a diabelska w błędzie trwać.

84. Ma chleb rogi, a nędza nogi.

85. Małe złodziejce wieszają, a wielkim się kłaniają.

86. Musi żyć w nędzy, kto niema pieniędzy.

87. Na pochyle drzewo i kozy skaczą.

88. Nie za jeden dzień Kraków zbudowano.

89. Nie przyleć do lenia pieczone gołąbki, by siedział i nadsiedział zgotowawszy ząbki.

90. Nie mieć kości pod stół, niech się psy nie wadzą.

91. Nużby niebo upadło i skowronki poltukło?

92. Na miejscu kamyl mchem obrasta.

93. Nie wie co to pokój, kto nieskosztował wojny.

94. Nietrzeba się żadnej rzeczy odrzekać, chyba kraść, a nosa sobie ukąsić.

95. Nieźądaj złego nikomu, byś tego niedoznał w domu.

96. Na wojnie naprzód się niewymykaj, a pozad się nie zostawaj.

97. Nie trzeba tam łgać, gdzie człek pieszo dojdzie, albo na koniu dojedzie.

98. Oho pańskie konia tuczy.

99. Opuszczeni od ludzi są w opiece od Boga.

100. Pijany a dziecię prawdę powie.

101. Pojmałem Tatarzyna. — Wiedźże go sam! — Niechce ść. Pójdźże ty sam! — Niechce mię puścić.

102. Przyszłej rzeczy nie żałuj, niepodobnej rzeczy nie wierz, o nierówną się nie kuś, tedy sobie głowy niezfrasujesz.

103. Poślesz li do Paryżu osielka głupiego, jeśli tu był osłem, tam nie koń z niego.

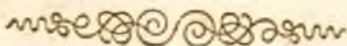
104. Po obietnice trzeba na prędkim koniu jechać.

105. Posel, jako osiel, co nań włożą, to niesie.

106. Przez niezgodę, tracą ludzie swobodę.

107. Próżnowanie w rychłą nędzę przychodzi.
108. Półjednana przyjaźń jak marcowy lód.
109. Pan się na służę za żywota jeży, po śmierci równo z nim w kosnicy leży.
110. Przyjaciel nie ma być jako kwiatek, który póki świeży, póty miły.
111. Po groszu zbierając, zbierzesz; po szelągu ciskając, rozciśkasz.
112. Rychlój chudzina dla chudziny uczyni, niżli dostatni.
113. Rannego wstania, wczesnego zasiania, młodego ożenienia, nikt nie żałował.
114. Ręczemu guz na brzuchu rośnie, a leniwemu na grzbiecie.
115. Raz tnij, dwa pełnij, gdy o gardło idzie.
116. Rozum bez cnoty, miecz w ręku szalonego.
117. Rzadko rzecz uczciwa, bez pożytku bywa.
118. Robiąc uziąbł, a jedząc zapocił się.
119. Sprawiedliwe nabyćie i na morzu nie ginie.
120. Słówko wróblem wyłeci, a wolem wraca.
121. Szpetna przysada, kto cudnie mówi, a źle myśli.
122. Szpetną twarz cnota przyzdobić może, ale niecnotie gładkość (piękność) nie pomoże.
123. Śmiały, co się z dwoma bije, ale śmielszy, co się żeni, a nie ma nic.
124. Staremu, bywałemu i wielkiemu panu, musi człowiek wierzyć.
125. Spyta się zima zarazem, byleś lecie gospodarzem?
126. Stary gospodarz Pan Bóg; wie, komu czego potrzeba.
127. Śmielszy kur (hogut) na swoich śmieciach, jak na cudzych wrotach.
128. Tego, co robić nie chce, mąka w ręce kole.
129. Trzy rzeczy w szlacheckim mieście baczni nagany być godne upatrują: kędy dwór wyższy niżli koscioł; karczma ołazalsza niżli ratusz; psiarnia budowniejsza niżli szpital.
130. Trudno z jednego wołu dwie skóry zedrzeć.
131. Tłustego polcia nie trzeba smarować.
132. Tak to prawda, jako kiedy żywe kielbasy po świecie latały.
133. Trudno przeciwko wodzie pływać.
134. Trzeba się zmaczać, kto chce ryby łowić.
135. Torowanym gościńcem lada kto się wlecze.
136. To pewna nowina: bywszy lato, będzie zima.
137. Uczyni mnie wieszczem, a uczynię cię bogatym.

138. Uszy słuchając, język mówiąc, ręce do siebie garnąc,
serce pożądając, nigdy się nienasycą.
139. Ukrzywdzonemu szkoda może się nagrodzić, ale lzy nigdy.
140. W odmęcie ryby najlepiej łowić.
141. W dostatku trudno miarę zachować.
142. W karczmie, w łaźni, w młynie i w kościele, nie znać
Pana.
143. Wodę ten czerpa przetakiem, kto bez ksiąg chce być
żakiem.
144. Wszędzie dobrze, a doma najlepiej.
145. Wszystko się nagrodzić może, tylko strach nie.
146. W domu przed gościem, w domu za gościem.
147. Wielka tarapata, dziurawa w deszcz chata.
148. Wielkie bogactwo, wierna miłość, ciężka choroba i zra-
żone sumienie, nie mogą być zatajone.
149. W tym się polu dobrze rodzi, po którym gospodarz chodzi.
150. Złe nabyte, nie bywa dobrze pożyte.
151. Zgadzać się gębo z mieszkciem (workiem).
152. Zaden się na świat z rozumem nie rodzi.
153. Złego człowieka kazi Pan Bóg przez gorszego.
154. Z wielkiej chmury mały deszcz.
155. Zły szkapa kiedy się uprze, i z góry nie pociągnie.
156. Zono, pójdźmy do kościoła! — Nie mam w czem miły.
— Pójdźmy do karczmy. — Dziewko! daj sam stare buty, są
tam gdzieś pod ławą.
157. Za młodu gałązki nachylać potrzeba, bo kiedy się
zrośnie, tedy się już złamie.
158. Znać dobrze po mowie, co się dzieje w głowie.
159. Zaden tego nienawróci, od kogo Bóg twarz odwróci.



...	202
...	203
...	204
...	205
...	206
...	207
...	208
...	209
...	210
...	211
...	212
...	213
...	214
...	215
...	216
...	217
...	218
...	219
...	220
...	221
...	222
...	223
...	224
...	225
...	226
...	227
...	228
...	229
...	230
...	231
...	232
...	233
...	234
...	235
...	236
...	237
...	238
...	239
...	240
...	241
...	242
...	243
...	244
...	245
...	246
...	247
...	248
...	249
...	250
...	251
...	252
...	253
...	254
...	255
...	256
...	257
...	258
...	259
...	260
...	261
...	262
...	263
...	264
...	265
...	266
...	267
...	268
...	269
...	270
...	271
...	272
...	273
...	274
...	275
...	276
...	277
...	278
...	279
...	280
...	281
...	282
...	283
...	284
...	285
...	286
...	287
...	288
...	289
...	290
...	291
...	292
...	293
...	294
...	295
...	296
...	297
...	298
...	299
...	300

INDEX

SPIS RZECZY.

	<i>Strona</i>
Rozdz. I. Czytanie początkowe:	
1—4. Rodzina	1
5. Mieszkanie	3
6. Sąsiedztwo	4
7. Wieś	4
8. Miasto	5
9. Zwierzchność	6
10. Ziemia, i co się na niej znajduje	7
11. Firmament	9
12. Dzień i Rok	10
13. Bóg	11
Rozdz. II. Powiastki moralne:	
1. Pokusa	17
2. Dąsy	18
3. Lenistwo	18
4. Kłótnik	19
5. Z cichapek	19
6. Kłamstwo	20
7. Gadulstwo	21
8. Sumiennosc	21
9. Miłosierdzie	22
10. Oko Boskie	23
11. Muchy i pająki	24
12. Pory roku	25
13. Echo	27
14. Brzoskwinie	28
15. Najlepsza spuścizna	29
16. Natura i sztuka	30
17. Orzech włoski	31
18. Kmiotek i syn jego	31
19. Drzewo rodzące dukaty	32
20. Pastuszek	33
21. Źródło	34
22. Mały Kościuszko	35
23. Woreczek z pieniędzmi	37
24. Co lepsze?	39
25. Modlitwa	40
26. Podróż	41
27. Róża	42
28. Podwieczorek	43
29. Stodczy pracy	44
30. Kto z Panem Bogiem, Pan Bóg z nim	47
31. Kanarek	48
32. Wschód słońca	50
33. Sprawiedliwy sędzia	51
34. Mały pastuszek	55
35. Sierota	57

36.	Sięw boży	Strona 61
37.	Najpierwszy ból	62
38.	Tajemnicze kwiaty	63
39.	Sen Joha	65
40.	Obecność boska	67

Rozdz. III. Powiastki wschodnie :

1.	Początek powieści	69
2.	Sąd boży	69
3.	Ciało i dusza	70
4.	Wąż	71
5.	Trzech przyjaciół	71
6.	Złote owoce	73
7.	Skarby	74
8.	Gody królewskie	75
9.	Dzień dobry	76
10.	Bóg wie co robi	76

Rozdz. IV. Legendy:

1.	Legenda o śmierci Najświętszej Panny	78
2.	Piastun Chrystusa	82
3.	Chleb kamienny	84
4.	Legenda o dumnym królu	85
5.	Kłosa	89
6.	Polowanie	90
7.	Dzbanuszek łez	91
8.	Brzoza gryżyńska	92
9.	Legenda o świętych Pustelnikach w Kazimierzu	92
10.	Legenda o wizerunku Zbawiciela w trybunale lubelskim	96

Rozdz. V. Rysy życia ludzi świątobliwych i uczonych:

1.	Miłość synowska	97
2.	Żywot Kazimierza Korsaka	99
3.	Młodość Tadeusza Rejtana	101
4.	Dziecięce lata Kazimierza Brodzińskiego	103
5.	Klementyna Tańska	116

Rozdz. VI. Opisy i obrazy moralne:

Zabawki dziecinne	119
Pacierz	120
Obowiązki względem rodziców	120
Wygnaniec	121
Śmierć młodego poety	122
Co to jest prawda?	122
O wielomowności	123
Mituj bliźniego jako sam siebie	124
O ubogich	124
Kapłan	125
O wojnie	126
O powinności żołnierza	126
Pożytek z uczenia się historii	127
O domach ochrony	127

Rozdz. VII. Przysłowia i przypowieści polskie 128

2

Biblioteka WSP Kielce



0181534